

NAJBARDZIEJ EMOCJONUJĄCA POWIEŚĆ AUTORKI ZAPŁĄTANYCH

# Emma Chase

## *Skazanie*

RYCERZ W ZNISZCZONEJ ZBROI WCIĄŻ JEST RYCERZEM



*Legal* seria  
*Briefs*

# Emma Chase

## *Skazanie*

*Legal* <sup>seria</sup>  
*Briefs*

Przełożyła  
Katarzyna Agnieszka Dyrek

**FILIA**



*Dla bohaterów.  
Dla czempionów.  
Dla tych, którzy postępują  
odważnie, honorowo i właściwie.  
To dzięki wam wierzymy  
w szczęśliwe zakończenia.*



# PROLOG

Nie używam budzika. Jestem jednym z tych, którzy mają wewnętrzny zegar, wyrywający ich co rano z łóżka, bez względu na to jak są zmęczeni, czy jak późno położyli się spać. Byłem żywym dzieckiem – matki wiedzą o czym mówię. Dzieckiem, przy którym błagacie o choćby chwilę odpoczynku, aż ustalacie zasadę, że dzieciom nie wolno wychodzić z pościeli, zanim słońce nie pokaże się na niebie.

Dlatego też, mimo niedzieli, moje powieki unoszą się punkt piąta rano. Rozciągam zeszywniałe mięśnie. Zawdzięczam ten stan niedostatecznej dawce snu oraz wyczerpującej aktywności jakiej oddałem się po powrocie z baru.

Odrzucam kołdrę, wstaję nagi i w drodze do łazienki mijam blond loki wystające spod okrycia. Odcedzam kartofelki, pozbywam się paskudnego zapachu z ust i ochlapuję twarz chłodną wodą, przeciągając dłonią po niesfornych czarnych włosach. Z jękiem poruszam głową na boki i rozciągam ramiona.

*Robię się za stary na to gównu.*

Jednak przypominam sobie szczegóły wczorajszego wieczoru. Dreszczyk nowej znajomości, werbalne gierki – mówienie właściwych rzeczy w należyty sposób. Ostra gra wstępna, żywiołowe, mocne pieprzenie, długie nogi na moich ramionach. Aż się uśmiecham.

*Nie można być na to za starym.*

Idę do garderoby po T-shirt i spodnie od dresu, po czym po cichu wchodzę do kuchni. Włączam ekspres do kawy – zapomnijcie o psach, najlepszym przyjacielem człowieka jest dobry sprzęt do parzenia małej czarnej. Czekać na napar, włączam niewielki płaski ekran zamontowany nad blatem. Poranne wiadomości informują o wczorajszych okropnościach na świecie, wydarzeniach sportowych i pogodzie.

Stanton, mój współlokator ze studiów, przeprowadził się w zeszłym roku do Sofii – koleżanki z naszej kancelarii. Stanton jest twardzielem, a Sofia jest świetną kobietą. Swój związek zaczęli od bycia kumplami do łóżka, ale od dawna wiedziałem, jak się to skończy. Posiadanie całego mieszkania tylko dla siebie jest naprawdę fantastyczne. Nie żeby Stanton był niechlujem. Jest raczej chłopakiem z bractwa. Ja jestem zorganizowany, uwielbiam mieć rzeczy poukładane po swojemu. Lubię rutynę. Dyscyplinę. Czystość i prostotę. Mama zawsze mówiła, że świetnie odnalazłbym się w wojsku, gdybym nie miał problemu z autorytetami. Jedyne rozkazy, którym się podporządkowuję, to moje własne.

Z czarnym parującym płynem w kubku wychodzę na balkon, popijam powoli kawę, obserwując wciąż ciche ulice Waszyngtonu, budzące się powoli do życia.

Głos spikera wiadomości niesie się przez otwarte drzwi:

– Droga I-495 została wczoraj zamknięta na kilka godzin z powodu poważnej kolizji, w której wraz z żoną poniósł śmierć działający na rzecz ochrony środowiska lobbysta, Robert McQuaid. Policja prowadzi dochodzenie w sprawie przyczyn zdarzenia.

Przejdźmy do lokalnych wiadomości...

Delikatne ramiona obejmują mnie od tyłu w pasie, a małe dłonie łączą się na moim brzuchu. Czuję na plecach miękkie policzek.

– Wracaj do łóżka – nalega słodko. – Jest bardzo wcześnie.

Przykro mi, Kopciuszku, zegar wybił północ. Karetą zamieniła się w dynię, czas pozbierać swoje szklane pantofelki. Nigdy nie udawałem księcia z bajki.

Niektóre kobiety potrafią poradzić sobie z bezimiennym, jednorazowym numerkiem lub niezobowiązującym bzykaniem, jednak, szczerze mówiąc, większość tego nie umie. Póki rozumieją, że seks jest jedynym, co mam im do zaoferowania, jedynym, czego od nich chcę, jestem gotów na powtórne spotkanie. Jednak kiedy widzę w ich oczach sentyment – albo, co gorsza, zranienie – dziękuję im. Nie mam czasu na gierki, nie mam ochoty rozmawiać o tym, gdzie *to* by mogło nas zaprowadzić.

Opuszczam ramiona blondynki, ona idzie za mną do kuchni, gdzie wstawiam pusty kubek do zlewu.

– Idę pobiegać. W dzbanku jest kawa, pieniądze na taksówkę masz na stole. Nie musisz czekać na mój powrót.

Pełne usta, które wczoraj tak uroczo obejmowały mojego fiuta, teraz wyginają się w podkówkę.

– Nie musisz zachowywać się jak dupek.

Wzruszam ramionami.

– Nie muszę, ale tak jest prościej.

Wkładam buty do biegania i zamykam za sobą drzwi.







*Miesiąc później*

– Potraktowano mnie jak pospolitego przestępcę! To poniżające!

Milton Cooper Carrington Bradley. Spadkobierca luksusowego, renomowanego, międzynarodowego imperium hotelarskiego i mój odwieczny klient. Wiek metrykalny? Dwadzieścia lat. Stopień dojrzałości? Czterolatek.

– Głupie sługusy, nie wiedzieli z kim mają do czynienia! Mówiłem im, że wylecą z pracy.

Tak, on naprawdę nazywa się Milton Bradley<sup>[1]</sup>. Najwyraźniej jego rodzice nie byli normalni.

– Zwłaszcza główna stewardesa, głupia zdzira. Grasz w *racketballa* z prezesem tej linii lotniczej, prawda, tato? Chcę, żeby wyleciała z pracy.

To jabłuszko spadło bardzo niedaleko jabłoni.

Rozpieram się w fotelu, słuchając jak żali się ojczulkowi, że załoga pokładowa nieładnie go potraktowała i dlatego chce ich zwolnienia. Jestem adwokatem w sprawach karnych w kancelarii Adams&Williamson. Jestem jedną z elitarnych, wschodzących gwiazd w tym biurze. Jednak to mój szczególny rok. Czas, żeby odłączyć się od stada i udowodnić partnerom, że jestem jednym z nich. Pokazać, że jestem przywódcą. Najlepszym z najlepszych.

W przeciwieństwie do moich współpracowników, którzy również są moimi najbliższymi przyjaciółmi, w karierze nie przeszkadzają mi takie sprawy jak rodzina, dziewczyny, małżeństwo, dzieci – prawdziwe piąte koło u wozu. Nie rozpraszam się, dlatego łatwiej mi udowodnić swoje oddanie i wykazać się różnorodnymi umiejętnościami. Lubię swoją pracę. Nie powiedziałbym, że ją kocham, ale jestem w niej cholernie dobry. Jest interesująca. Wymagająca. Stawia przede mną wyzwania. W obronie w sprawach karnych nie chodzi o ochronę słabych czy niewinnych – to gra. Biorąc do ręki karty – fakty w danej sprawie – trzeba wykorzystać je na swoją korzyść. Przechytrzyć i wykiwać oskarżenie. Wygrać, choć wszystko mówi, że to niemożliwe.

Minusy?

Muszę spędzać czas z popaprańcami takimi jak Milton Bradley.

Wyciąga papierosa z kieszeni i odpala zapalniczką Zippo. Potrząsa głową, odsuwając z czoła blond kosmyki, jednocześnie nosem wypuszcza chmurę toksycznego dymu. Niczym smok nedorajda, który nie potrafi zionąć ogniem.

– Tutaj nie wolno palić.

– Kto tak twierdzi? – odpowiada z zaczepką w głosie.

Wstaję z fotela i podchodzę do niego, przypominając chmurę gradową. Jestem świadomy swojej postury – mam metr dziewięćdziesiąt pięć, ważę sto dwa kilogramy, w tym twarde jak kamień mięśnie, więc wiem, jakie wrażenie wywieram na ludziach.

Jestem dość przerażający, nawet zbytnio się nie starając. Jednak w tej chwili?

W tej chwili się staram.

– Ja tak mówię – rzucam cichym, groźnie niskim tonem.

Jeśli chcecie coś przekazać, mówcie poważnie i dokładnie, a rzadko będziecie musieli podnosić głos. Krzyk jest przejawem desperacji, wskazaniem, że kończą się wam możliwości i że nie pozostało wam już nic innego.

Wyciągam w jego stronę plastikowy kubek z niewielką ilością zimnej kawy znajdującej się na dnie. Bez słowa skargi Milton wrzuca do niego papierosa. Słychać syk, po czym unosi się nieprzyjemny zapach.

Większość moich klientów jest bogata, choć nie wszyscy aż tak bardzo. Jednak każdy z nich trafia do mojego gabinetu z powodu podobnych cech osobowości. Oszukują, kantują, wydaje im się, że prawo ich nie dotyczy, ogólnie nie przestrzegają zasad, dodatkowo, za uśmiechem skrywają gwałtowną naturę. Obrona w sprawach karnych nie różni się od proktologii. W obu przypadkach mamy dupka za dupkiem. To nie jest praca dla osób słabych, trzeba mieć nerwy ze stali. A moje takie właśnie są.

– W jaki sposób możemy się z tego wyplątać, Jake? – pyta starszy z Bradleyów, siedzący w fotelu obok syna. Jego oczy, niemal tak ciemne jak garnitur, wbite są we mnie z umiarkowanym szacunkiem. Ponieważ ojciec rozumie to, czego nie może pojąć jego synalek: że choć dla niego pracuję, on potrzebuje mnie bardziej niż ja jego.

Wracam za biurko i przyglądam się raportowi z aresztowania.

– Świadkowie zeznali, że twoje zachowanie było gwałtowne, groziłeś im.

– Kłamią. Zazdrosne bydlaki – prycha Milton.

– Stewardesa twierdzi, że wyczuła marihuanę, gdy wyszedłeś z toalety.

Milton przez chwilę nerwowo zerka na ojca, po czym znów patrzy na mnie. Trzyma głowę wysoko, jakby był obrażony.

– Ja też ją czułem. Musiał ją palić ktoś przede mną.

Robię notkę, głównie ku własnej uciechu.

*Mam większe kamienie nerkowe niż ten dzieciak mózg.*

Uzasadnienia i wyjaśnienia. Czasami czuję się, jakbym słyszał już wszystko. „Nie mogłem się powstrzymać”. „On mnie do tego zmusił”. „Sama się o to prosiła”. „Spałem”. „Wyprowadzałem psa”. Byłoby miło, gdyby w te odpowiedzi włożyli czasem choć trochę pracy. Oryginalność niekiedy coś znaczy.

– Mam dla ciebie radę na przyszłość – mówię do młodego Milтона. – Nie przeginaj z administracją nadzoru lotniczego. Są ostatnio bardzo wrażliwi, mają budżet na to, żeby uprzykrzyć ci życie. – Zwracam się do ojca. – A odpowiadając na twoje pytanie, Malcolmie, łatwiej byłoby wyplątać się z tego, gdyby twój syn co kilka tygodni nie dawał się aresztować.

Dwa zarzuty prowadzenia pojazdu pod wpływem środków odurzających, zakłócanie porządku i napaść w barze, wszystko zaledwie w trzy miesiące. Założę się, myślicie, że to rekord.

Wcale nie.

– Zatem mówisz, że nie możemy wygrać? – pyta Milton, łamiącym się głosem niczym Bobby z *Grunt to rodzinka*.

Uśmiecham się chłodno.

– Oczywiście, że wygramy. Przed lotem wzięłeś lekarstwo uspokajające. Taką przyjmujemy linię obrony. Źle zareagowałeś na te pastylki, co wyjaśnia twoje dziwaczne zachowanie. Oświadczenie lekarza biegłego powinno wystarczyć.

To niemal zbyt łatwe.

Wskazuję na niego palcem.

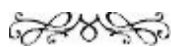
– Jednak przez następne sześć tygodni musisz zostać w domu. Niech twoje nazwisko nie pojawi się przypadkiem w gazetach czy na portalach plotkarskich. Nie prowadź samochodu, nie chodź do klubów, nawet nie puszczaj bąków w publicznych miejscach. Zrozumiano?

Malcolm uśmiecha się i kładzie dłoń na ramieniu syna.

– Tak. – Wszyscy wstajemy. – Jak zawsze, dziękuję ci, Jake. Mamy szczęście, że nas reprezentujesz.

– Odezwę się.

Ściskamy dłonie, po czym wychodzą.



Dwie godziny później zdejmuję marynarkę, gotowy iść na lunch. Rozluźniam krawat, odpinam guzik kołnierzyka, ujawniając tatuaż, który mam na obojczyku i prawym ramieniu sięgającym aż do nadgarstka. Jest to niewygodne w lecie, ponieważ nie jest mile widziane przez sędziów i denerwuje bogatych klientów.

Do gabinetu wchodzi moja sekretarka, pani Higgens. Jest starszą kobietą z klasą, nosi perłowy naszyjnik i okulary, bardziej pasuje do bujanego fotela, robótki na drutach i gromadki wnucząt niż do pracy w kancelarii. Jednak jest wspaniała. Przy wielu okazjach nazywany byłem bezdusznym draniem, ale nie wiem, czy byłbym na tyle okrutny, żeby kiedykolwiek ją zwolnić.

– Jake, przyszła do ciebie młoda dama. Nie była umówiona.

Nie znoszę takich wizyt. Są nieoczekiwane i nieprzewidywalne. Rozpieprzają mi grafik, a harmonogram to świętość.

– Właśnie wychodzę.

Pani Higgens zerka na mnie z ukosa i mówi z aluzją:

– Ale jest bardzo ładna.

Spoglądam na zegarek.

– Dobra, ale proszę jej powiedzieć, że ma jedynie pięć minut.

Wracam za biurko. Chwilę później do mojego gabinetu wchodzi drobna, ciemnowłosa kobieta. Powiedziałbym, że jest przed trzydziestką. Atrakcyjna, ma apetyczne ciało odziane w beżowe spodnie i jasnożółty zapinany sweter. Jednak rozbiegane oczy i stremowane ruchy odbierają jej urok.

Wygląd ma znaczenie, ale to pewność siebie dodaje kobietom najwięcej seksapilu.

Pani Higgens zamyka za sobą drzwi, brunetka staje bezpośrednio przed moim

biurkiem.

– Cześć – mówi, zerkając krótko na moją twarz. Zaraz ponownie patrzy pod nogi, jednocześnie zakładając włosy za uszy.

– Cześć. W czym mogę pomóc?

Unosi głowę.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – pyta nerwowo, splatając palce.

Przyglądam się jej twarzy, tym razem jeszcze uważniej. Nie jest ani wyjątkowo piękna, ani też paskudna. Po prostu zwyczajna. Przeciętna.

– A powinienem?

Unosi ręce, żeby zakryć twarz i mamrocze:

– Rany, myślałam, że i tak będzie to trudne. – Siada w fotelu naprzeciw mojego biurka, właściwie na jego krawędzi, jakby chciała być gotowa do ucieczki. Po chwili mówi: – W zeszłym miesiącu spotkaliśmy się w Angry Inch Saloon. Miałam czerwoną sukienkę.

Nie, nie dzwoni żaden dzwonek. Poznaję w barach wiele kobiet, jednak preferuję blondynki. Nie są fajniejsze, tylko bardziej namiętne.

Odsuwa ciemną grzywkę na bok i próbuje po raz kolejny.

– Poprosiłam, żebyś postawił mi drinka, co też zrobiłeś. To był *cosmopolitan*.

Wciąż nic.

– Później poszliśmy do ciebie. Opowiedziałam ci, że przyłapałam swojego chłopaka uprawiającego seks z moją najlepszą przyjaciółką.

Pusto.

– Miał wtedy na sobie moją ulubioną różową haleczkę.

No i już wiem. Teraz pamiętam. Pomyślałem wtedy o Marvie Albercie, tym komentatorze sportowym, który lubi zakładać damskie ciuszki i ma zarzut napaści oraz pobicia, choć wciąż pracuje w telewizji.

Takie rzeczy są możliwe jedynie w Ameryce.

– Tak. Teraz cię pamiętam. – Chociaż wciąż staram się zgadnąć jak ma na imię.

– Lainey.

– Lainey. – Pstrykam. – Tak. Co mogę dla ciebie zrobić? – Zerkam na zegarek, zostały mi dwie minuty do wyjścia.

Dziewczyna znowu się denerwuje i wierci.

– Dobra, nie wiem, jak to delikatnie ująć, więc powiem prosto z mostu.

Brzmi, jakby miała plan.

Bierze głęboki wdech i mówi:

– Mój chłopak nie tylko zabrał mi haleczkę i przyjaciółkę, ale również coś zostawił. – Jak poetycko. – A jest to kiła.



Ten dźwięk, który właśnie słyszeliście? To ja, zastanawiający się, co ona, u diabła, powiedziała? Właściwie wsadziłem palce do uszu, żeby je przeczyścić, bo może woda z porannego prysznicza uniemożliwia mi normalne słyszenie.

Jednak powtarza to i brzmi dokładnie tak samo:

– Tak, to kiła.

Żołądek mi się kurczy, istnieje spora szansa na powrót mojego śniadania.

– Kilka dni temu dostałam wyniki badań. Lekarz powiedział, że muszę się skontaktować ze wszystkimi, z którymi po zerwaniu z moim chłopakiem uprawiałam seks. A robiłam to tylko z tobą. Zapamiętałam, jak się nazywasz i to, że jesteś adwokatem. – Klaszcze. – Więc oto jestem.

Może lepiej, żeby przesunęła się trochę w prawo, bo będę rzygał.

Oddycha teraz z łatwością, jakby jej ulżyło, kiedy już to z siebie wyrzuciła. Jak cholernie miło z jej strony.

– Masz jakieś pytania, Jake? Chcesz coś powiedzieć?

*Szlag by cię trafił, miałem iść na lunch!*



[\[1\]](#) Milton Bradley – amerykański wynalazca (1836–1911), założyciel Milton Bradley Company. O tym imieniu i nazwisku mamy również amerykańskiego baseballistę, ur. 1978 r.



Nie zawsze byłem wyznawcą harmonogramów, zwolennikiem rutyny. W latach młodości byłem uosobieniem buntownika. Im działa się gorzej, tym dla mnie lepiej. Mam blizny, tatuaże oraz kartotekę młodocianego przestępcy. Miałem wtedy nieokrzesany temperament i urazę do świata, a to niebezpieczna kombinacja. Pozwalałem, żeby obydwie te rzeczy kontrolowały mnie jak koks ćpuna. Dopiero gdy poważnie się wystraszyłem – popełniłem błąd, który nieomal zaważył na całym moim życiu – spoważniałem. Pod opieką starego, gnuśnego sędziego, który wziął mnie pod swoje skrzydła i przysłowiowo nakopał do dupy, byłem w stanie utemperować swój charakter buntownika, zamknąć na kłódkę i wyrzucić klucz.

Dlatego, że ten człowiek zobaczył we mnie coś, czego sam nigdy nie widziałem. Potencjał. Możliwości. Załączek wielkości. Jasne, matka zawsze to we mnie wyczuwała, ale przynajmniej póki miałem pstro w głowie, nie przejmowałem się w ogóle jej słowami. Każda matka uważa, że jej dziecko to kolejny nieodkryty Einstein, Gates czy Mozart.

Jednak Sędzia zaakceptował mnie takim, jakim byłem, z całym gównem i w ogóle. Chociaż nie przyjmował do wiadomości, że tylko na to mnie stać. Kiedy ktoś w ciebie wierzy, wychodzi dla ciebie ze skóry, chociaż wcale nie musi, to wywiera na ciebie wpływ. Chciałem spojrzeć w lustro i dostrzec mężczyznę, którym mogłem się według niego stać.

W tej chwili to właśnie taki sukinsyn spogląda na mnie z lustrzanego odbicia. Władczy. Silny. Lider. Jasne, czasami mój temperament odzywa się w klatce, choć nigdy nie puszczam go wolno. Buntownik jedynie w określonych sytuacjach może dorzucić swoje trzy grosze. Jest trzymany na bardzo krótkiej smyczy. Kobiety uwielbiają ostrych facetów, mają kisiel w majtkach na widok twardzieli, więc wtedy pozwalałam mu się nieco ujawnić. Bo jeśli chodzi o pieprzenie, jak już mówiłem, im gorzej tym lepiej.

Rutyna każe mi iść na lunch, nawet jeśli jedzenie jest ostatnią rzeczą, na którą mam w tej chwili ochotę. Jednak to rytuał. Ja, Sofia, Brent i Stanton – wspaniały kwartet obrońców. Czasami spotykamy się w którymś z naszych gabinetów, w większości jednak w barach lub kawiarniach niedaleko kancelarii. Teraz siedzimy właśnie w jednym z takich miejsc, przy okrągłym stole z kraciastym obrusem, znajdującym się przed kawiarnią. Marcowe słońce jest na tyle intensywne, że możemy zjeść na zewnątrz. Poranna rozprawa Stantoną przeciągnęła się w sądzie, więc jest spóźniony.

Sofia wstaje, gdy go widzi, poprawia elegancką czarną spódnicę. Kiedy nosi dziesięciocentymetrowe szpilki jest niemal równa wzrostem swojemu chłopakowi, który całuje ją z uśmiechem i mówi:

– Cześć, kochanie.

Sofia przesuwa palcami po jego jasnych włosach.

– Hej.

Brent odchyła się na krześle, jego ciemnoniebieskie oczy błyszczą psotnie.

– Ja nie dostanę buzi?

Stanton odsuwa dla Sofii krzesło, po czym siada obok.

– Mój tyłek zawsze służy pomocą, Mason.

– Mówiłem do Sofii.

– Jej tyłek jest poza twoim zasięgiem – odpowiada Stanton, przeglądając menu.

Stanton Shaw jest poczciwy w każdym znaczeniu tego słowa. Pochodzi z Missisipi, gdzie mieszkał na farmie. Jest uczciwy, lojalny, nie toleruje ściemniania, emanuje urokiem, który kobiety uważają za nieodparty, tak samo jak sędziowie. Poznaliśmy się na studiach i wkrótce zostaliśmy współlokatorami. Dobrze wykonuje swoją pracę, jego wyniki są niemal tak samo imponujące jak moje. Także liczy na fotel partnera. Choć w przeciwieństwie do mnie, Stanton ma bagaż. Fajny, słodki, ale jednak bagaż.

Nie lubię dzieci. Są zbyt wymagające i hałaśliwe. Córka Stanton, Presley jest wyjątkiem. Mieszka w Missisipi ze swoją matką, a była dziewczyną Stanton, jednak przylatuje do Waszyngtonu na tyle często, że mój kumpel zdobył przydomek tatulka. Podoba mu się to. Gdyby słońce przybrało ludzką postać jak w greckich mitach, wyglądałoby jak Presley Shaw. Wspaniały z niej dzieciak.

Zamawiamy jedzenie, rozmawiamy o ostatnich rozprawach w sądzie i o tym, co dzieje się w kancelarii. Kto komu nadepnął na odcisk, a kto komu wbił nóż w plecy. To nie są plotki, to strategia. Przykładanie ucha do ścian pomaga nam przy następnym ruchu.

Dostajemy jedzenie, więc rozmowa schodzi na politykę. Nasza stolica to duże miasto, ale jeśli chodzi o strategię i sojusze, przypomina odcinek *Rzykantów*. I nikt nie może się doczekać, żeby zagłosować i wywalić kogoś z wyspy.

Jednak dzisiaj przysłuchuję się rozmowie jednym uchem. W mojej głowie nieustannie pojawia się wyznanie Lainey. Niemożliwe, żebym ponownie zapomniał to imię. Próbuję zachować spokój, ale zdradzają mnie spocone dłonie. A ja się nie pocę. Chyba że uderzam w worek na siłowni lub przebiegam dziesięć kilometrów. Rozważam możliwość wystąpienia u mnie choroby i jej konsekwencji. Myślę o tym, jak do tego doszło. Zastanawiam się, co zrobić, żeby uniknąć mdłości. Jak na razie lunch stoi przede mną nietknięty.

Z zamyślenia wyrzywa mnie Brent.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Patrzę na niego pustym wzrokiem.

– Dlaczego uważasz, że coś jest nie tak?

Wzrusza ramionami.

– Za dużo milczysz, o co chodzi?

Brent jest gadatliwy. Rozprawia o wszystkim. Pochodzi z rodziny, której bogactwo sięga kilku pokoleń wstecz, jednak jego rodzice nie są zimnymi, milczącymi arystokratami, jakich można sobie wyobrazić. Jasne, są trochę ekscentryczni, co jest



cholernie zabawne, ale są też mili, ciepłi, zabawni i przekazali te cechy synowi. Ponieważ nie pracują, członkowie rodziny Brenta mają zbyt wiele wolnego czasu, więc często angażują się w życie osobiste innych. W klanie Masonów nie ma tajemnic. W zeszłym miesiącu kuzynka Carolyn rozesłała e-mailem po rodzinie datę swojej owulacji, żeby każdy trzymał kciuki za udane poczęcie.

Nie żartuję. To dość histeryczny *reality show*.

Kiedy Brent był dzieckiem, miał wypadek – wpadł pod samochód. Przeżył, choć amputowano mu nogę poniżej kolana. Ale pogodził się z tym, uzalanie się nad sobą nie leży w jego naturze. Jego ładna buźka zapewne mu w tym pomaga, jak i to, że kobiety praktycznie błagają, żeby je przeleciał. Jest też zwolennikiem psychoterapii. Podejrzewam, że na terapeutów wydał przez dziesięć lat więcej niż na zakup domu.

Ja nie lubię się uzalać i dzielić życiem prywatnym. Jednak się dogadujemy – no wiecie, jak *jin* i *jang*. Brent ma dryg do wyciągania mnie ze skorupy w taki sposób, że nie mam ochoty mu przywalić.

Jednak dziś jest inaczej.

– Nie chcę o tym gadać.

Spogląda na mnie niczym pilot myśliwca na cel. Albo wkurzający młodszy brat.

– Cóż, teraz to musisz powiedzieć.

– Nie sądzę – odpowiadam oschle.

– No weź, wyrzuc to z siebie. Powiedz. Powiedz. Wiem, że tego chcesz. No dawaj.

Stanton się śmieje.

– Równie dobrze możesz odpuścić i powiedzieć, Jake. On się nie zamknie, dopóki tego nie zrobisz.

Podsuwam zastępczy pomysł:

– Lub nie złamię mu szczęki. Z drutami na zębach z pewnością się zamknie.

Brent głaska się po świeżej, choć wypielegnowanej brodzie.

– Zniszczyłbyś wtedy to bezcenne dzieło sztuki. To byłaby zbrodnia. Po prostu nam powiedz. Nawijaj.

Otwieram usta, ale się nie odzywam, wpatruję się niepewnie w Sofię.

Rozumie natychmiast i przewraca tylko piwnymi oczami.

– Dorastałam z trzema starszymi braćmi. No i mieszkam z nim. – Wskazuje na Stantona. – Nie ma mowy, żeby to, o czym powiesz, było dla mnie nowe.

Dobra. Biorę wdych i wyduszam z siebie:

– Dowiedziałem się, że kobieta, którą zaliczyłem miesiąc temu ma kiłę. Muszę się przebadać.

Sofia krztusi się napojem.

– Poprawka, tego jeszcze nie słyszałam.

Ten gnojek, Brent rechocze ze śmiechu.

– Rany, to straszne.

– Dzięki, dupku. – Piorunuję go wzrokiem. – Słysząc, że naprawdę mi współczujesz.

Brent trochę odpuszcza.

– Nie zrozum mnie źle, to do dupy, ale kiła jest uleczalna, mogło być gorzej. – Ścisza głos. – Za zabawę nieraz trzeba zapłacić. Zdarza się najlepszym. Sam raz złapałem insekty.

– Insekty? – pyta Sofia.

Stanton wyjaśnia:

– Wszy łonowe, kochanie.

Kobieta się krzywi.

– Fuuuuj!

Stanton wskazuje mnie palcem.

– Mówiłem ci, że pewnego dnia te jednorazowe numerki się na tobie zemszczą.

– Dzięki za wsparcie.

– Proszę.

Kiedy nie był z Sofią, Stanton nie zachowywał się jak mnich, jednak jego partnerki nie zmieniały się tak szybko jak moje. Chodził na randki. Dbał, aby nawiązać z kobietą wystarczającą więź, żeby swobodnie zadzwonić do niej i zaprosić na szybki numer.

Ja tak nie działałam. To wymaga sporej energii i zabiera zbyt dużo czasu. Nie kręci mnie ani kobiecy umysł, ani osobowość. To jej ciału chcę poświęcić całą uwagę.

Czuję jakbym musiał się bronić.

– Sami też nie jesteście wybredni. Widziałem nieraz, kogo posuwaliście. Nie wszystkie te laski były z górnej półki.

– Obrażasz mnie – mówi Brent, choć uśmiech zdradza, że wcale tak nie jest.

– Wiedziałem przynajmniej, jak miały na imię – mówi Stanton. – Dowiadywałem się nieco o ich życiu, historii...

– Jasne – mówię – bo zaraz po: „Ładna pogoda”, panna powie: „A tak w ogóle to mam kiłę”.

Stanton myśli przez chwilę, po czym wzrusza ramionami.

– Właściwie, czemu nie. Zdziwiłbyś się, czego można się dowiedzieć, poświęcając kobiecie trochę czasu. A nawet jeśli nie powie wprost, gdy ją poznasz, będziesz wiedział, jakiego pokroju jest osobą. To dłuższa droga w podejmowaniu decyzji w kogo chcesz włożyć fiuta.

Nie chcę przyznawać mu racji, ale wiem, że ją ma. Biorę ją sobie do serca. Jeśli moje wyniki badań okażą się w porządku, postaram się poznać następną kobietę, którą postanowię zaciągnąć do łóżka. Przynajmniej trochę. Aby nigdy, przenigdy nie musiał ponownie mierzyć się z czymś takim.

Sofia przysuwa się, opiera ręce na stole.

– Dzwoniłeś do lekarza?

– Tak, wieczorem mam umówioną wizytę.

Unikam lekarzy jak zarazy. Wiem, że to pewna ignorancja, ale uważam, że stres związany z wieścią o śmiertelnej chorobie może zabić szybciej niż sama choroba. Raczej wolę nie wiedzieć.

Wybieram nagły atak serca w trakcie wspaniałego bzykanka lub kłótni na środku sali sądowej. Tak właśnie chciałbym odejść. Choć za wiele, wiele lat.

– Wiesz, co w tym najgorsze, prawda? – pyta Brent. Ten drań wciąż się uśmiecha.

– A jest jeszcze coś gorszego?

Kiwa głową.

– Tak. Celibat, mój drogi. Zakaz wszelakich zabaw zapewne na jakieś dwa tygodnie.

Przynajmniej dopóki nie dostaniesz wyników badań.

– Dwa tygodnie? Wkręcasz mnie? – Na samą myśl czuję ból w pachwinie, równie dobrze mogą to być dwa lata.

Szturcha mnie w ramię, przez co mam ochotę mu walnąć.

– Niestety. Przez chwilę czeka cię wyłącznie związek z Renią.

Mrużę oczy, bo nie mam bladego pojęcia, o czym mówi.

– Jaką Renią?

Wyciąga dłoń.

– Renią Rączkowską.



*Dwa tygodnie później*

Brent miał rację. To były najdłuższe dwa tygodnie mojego życia. Ćwiczyłem tak dużo, że straciłem na wadze. Spędzałem też zbyt wiele czasu z Renią. Seks z nią robi się nudny, a ona zaczyna się czepiać. Czas z nią zerwać.

Nie jestem uzależniony od pieprzenia, nie muszę robić tego co noc, jednak dwa tygodnie posuchy to problem. Nie było fajnie, mój nastrój też nie był fajny. Z każdym mijającym dniem stawałem się coraz bardziej nie do zniesienia. Byłem spięty. Wybuchowy. Ledwie się trzymałem.

A moje napalenie sięgnęło granic.

Stanton zaczął unikać przebywania ze mną w gabinecie. To, że zagroziłem, że wyrwę mu ten wstrętny ozór, kiedy świntuszył z Sofią przez telefon, mogło mieć z tym coś wspólnego.

A choć dziś jest dzień, w którym to wszystko ma się zakończyć, lęk przed poznaniem wyników badań sprawia, że jestem jeszcze bardziej nerwowy. Jest to naprawdę niekorzystne dla klienta, który właśnie wchodzi do mojego gabinetu.

A to Milton „Nie potrafię przestrzegać prostych zasad” Bradley.

Milton „Zostałem aresztowany w samochodzie z heroiną w schowku” Bradley.

Drzwi skrzypią, gdy zamykam je za nim i piorunuję śmiercionośnym wzrokiem. Trzymając ręce w kieszeniach, podchodzi do fotela, jakby spacerował sobie beztrudnie po parku.

*Nie dzisiaj, gnojku.*

Kiedy zajmuje miejsce, wracam za biurko i składam ręce w obawie, że mu przywalę.

– Co ci mówiłem? – pytam.

– Nie była moja.

Ściszam głos, wyostrzam go i cedzę każdą sylabę osobno:

– Co ci mówiłem?

Spuszcza głowę niczym posłuszny pies.

– Mówiłeś, żebym został w domu, ale...

Unoszę palec.

– Nie ma żadnego „ale”. Mówiłem, żebyś nie wyciągał żałosnej dupy z domu, a ty jesteś zbyt wielkim kretynem, żeby się dostosować.

Wstaje, jego twarz z poblądłej robi się wściekle różowa.

– Nie możesz tak do mnie mówić! Mój ojciec płaci ci pensję.

Również wstaję, a jestem bardziej przerażający niż on.

– Siadaj.

Wykonuje polecenie. Ja zostaję na nogach.

– Będę mówił, jak mi się podoba, dupku. Piorun mnie przez to nie strzeli, więc się przyzwyczajaj. A jeśli chodzi o twojego ojca, to nie on płaci mi pensję. Ale jeśli nawet byłoby tak, nie wahałbym się nazwać cię kretynem czy debilem bez jaj, bo właśnie nim jesteś.

Milton z każdym moim słowem robi się coraz bardziej czerwony.

Siadam i zwracam się bardziej filozoficznym tonem:

– Wiesz, co dzieje się z chłopaczkami takimi jak ty w więzieniu, Miltonku? Bogatymi, ładniutkimi, uśmiechniętymi chłopcami?

W nanosekundzie z czerwonego znów staje się blady.

– No chyba że fantazjujesz w duchu o rozerwaniu dupy na strzępy. W przeciwnym wypadku musisz zacząć polegać na jedynym, który stoi między tobą a kolegą spod celi o ksywie Chewbacca, czyli na mnie.

W końcu wygląda na przerażonego.

– A ponieważ na tym polega moja praca, będę trzymał twój zasrany tyłek z dala od krat, czy zechcesz ze mną współpracować, czy też nie. Rozumiesz?

Kiwa głową i rozsądnie trzyma gębę na kłódkę.

– A teraz powiedz, czy na torebkach heroiny znajdują się twoje odciski palców?

Kręci głową.

– Nie. Nie dotykałem ich.

Idealnie. Istnieje szansa, że go z tego wyciągnę.

Z górnej szuflady wyciągam wizytówkę.

– Kiedy ode mnie wyjdiesz, udaj się prosto pod ten adres.

Bierze wizytówkę.

– Co tam jest?

– Firma zajmująca się monitorowaniem. Założą ci na kostce nadajnik, który da im znać, jeśli wyjdiesz z domu. A jeśli to zrobisz, oni poinformują mnie.

Otwiera usta, żeby się spierać.

– Ani jednego pieprzonego słówka, Milton. To twoja ostatnia szansa. Spieprz ją, a plan B wejdzie w życie.

– A jaki jest plan B? – pyta, jakby chciał go rozważyć.

– Taki, że wjebię ci tak, że będziesz leżał w domu i nie wpakujesz się już w żadne kłopoty.

Słyszę, jak z trudem przełyka ślinę.

– Do... dobrze – jąka się. – Tym razem naprawdę posłucham.

Moja twarz pozostaje bez wyrazu, ciało nie drga nawet o centymetr.

– Dla własnego dobra, lepiej, żebyś tak zrobił.



Dwie godziny później siedzę na stole pokrytym tym głupim papierem, marszczącym się pod moimi beżowymi spodniami. Zerkam na zegarek. Lekarz się spóźnia. Jakby

mój nastrój nie był wystarczająco zły. Naprawdę nienawidzę czekać.

Nie mając nic lepszego do roboty, rozglądam się po gabinecie. Na ścianach wiszą oprawione dyplomy z Yale, plakat uczący poprawnego mycia rąk, reklama szczepionki na grypę oraz przypomnienie o konieczności badania prostaty.

Zastrzelcie mnie. Zakończcie tym moje cierpienie.

Podobnie jak milion razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, zaklinam się, że już nigdy nie wpakuję się w podobną sytuację. Koniec z jednorazowymi numerkami. Koniec z laluniami z problemami, szukającymi obcego faceta, żeby je przeleciał. Od tej chwili tylko randki. Będę poznawał te kobiety. I będę wybredny, bez względu na to, jak kiepsko to brzmi.

W końcu drzwi się otwierają, wchodzi jakiś nieznajomy gostek w białym kitlu. Ma jasnobrązowe włosy, ciemne oczy i gładkie policzki, które wyglądają, jakby nigdy nie widziały maszynki.

Wygląda na pieprzone dwanaście lat.

– Mogę jakoś pomóc? – pytam.

Patrzy na mnie ponad dokumentami i się uśmiecha.

– Dzień dobry, panie Becker, jestem doktor Grey.

Zerkam przelotnie na drzwi, spodziewając się, że wejdzie jego ojciec.

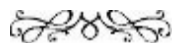
– Na pewno?

Uśmiecha się dobrodusznie.

– Tak, na pewno jestem lekarzem, chociaż nowym w tej klinice. Doktor Sauer miał pilną sprawę rodzinną, więc zastępuję go dzisiaj. – Obraca stronę w dokumentacji i czyta. – Zanim jednak omówimy wyniki pana badań, porozmawiajmy o zasadach prowadzenia bezpiecznego życia seksualnego, uwzględniając prezerwatywy, środki plemnikobójcze, tabletki antykoncepcyjne.

Unoszę rękę.

– Może jednak nie. Znam je. Proszę powiedzieć wprost: mój wynik jest pozytywny czy negatywny?



Unoszę butelkę piwa, stukając nią o trzy uniesione szklanki.

– Czysty jak łza. – Nie uśmiechałem się tak szeroko chyba odkąd wygrałem swoją pierwszą sprawę. Na litość boską, niemal chichoczę. Od śmiechu zaczynają boleć mnie policzki.

– Gratulacje – mówi z zadowoleniem Sofia.

– Zdrowy, bogaty i mądry – rzuca Stanton. – Za to, żeby tak zostało.

– A pewnie, że tak. – Pociągam łyk z butelki. Zazwyczaj nie piję na lunchu i nigdy się nie upijam, nawet w weekendy. Upojenie zawsze kojarzyło mi się ze słabością, brakiem kontroli, nieudolnym myśleniem i godnymi pożałowania działaniami. Jednak to wyjątkowa okazja.

– Więc, jaki masz plan? – pyta Brent. – Jakbym już go nie znał, ty napalony draniu. Widziałem, jak zerkasz na biedną panią Higgens. Jesteś aż tak zdesperowany?

Pokazuję mu środkowy palec. Pani Higgins jest jedyną kobietą w moim otoczeniu, na którą tak nie patrzę. Co prowadzi do kolejnego pytania:

– Jak zazwyczaj przebiega randka? Długo trzeba czekać, zanim się weźmie panienkę do łóżka?

– Potrzeba trzech randek – odpowiadają jednocześnie.

Unoszę brwi.

– Trzech randek? Poważnie? Jesteście bardziej religijni, niż do tej pory zakładałem?

– Nigdy nie słyszałeś o zasadzie trzech randek? – Sofia wkłada sałatkę Cezar do ust.

Kiedy kręcę głową, Stanton wyjaśnia:

– Na pierwszej randce rozmawiasz i sprawdzasz, czy wytrzymasz z nią ponad godzinę w tym samym pomieszczeniu. Druga randka jest weryfikacją, czy naprawdę jest tym, kim była na pierwszej randce. Trzecia jest najlepsza, pozwalasz na zabawę.

Wygląda na to, że trzeba się natrudzić, żeby sobie pobzykać. Zastanawiam się, czy cipka jest fajniejsza, gdy facet zna imię dziewczyny.

– Czekaście – wcina się Sofia. – Pytasz, bo nigdy nie byłeś na randce? Nigdy nie miałeś dziewczyny? Nawet w szkole średniej?

Kręcę głową.

– W liceum nie było ze mnie dobrego materiału na chłopaka. Dziewczyny, z którymi się spotykałem nie były czymś takim zainteresowane.

– To nawet słodkie, Jake – droczy się. – To tak, jakbyś był prawiczkim.

Marszczę czoło.

– Oprócz tego, że nie jestem.

– Umówiłem się na randkę na piątek – informuje nas Brent. – Z Lucy Patterson z Emblem&Glock.

Emblem&Glock jest kolejną kancelarią prawną w Waszyngtonie, z którą rywalizujemy o klientów.

– Sypiasz z wrogiem, co? – pyta Stanton.

Brent wzrusza ramionami.

– Jest bystra, piękna i nie ma mnie za fiuta, gdy narzekam na początkującego oskarżyciela, który nie chce iść na ugodę. Dodatkowo, konkutowanie zawodowe mnie kręci. – Spogląda na mnie. – Mogę zapytać, czy nie ma jakiejś koleżanki. Moglibyśmy iść na podwójną randkę.

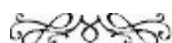
Robię szybkie wyliczenia w głowie.

– To oznacza, że najwcześniej mógłbym mieć ją w łóżku w niedzielę i to tylko po tym, jak straciłbym cały weekend na dziewczynę, której w życiu na oczy nie widziałem.

To mi nie pasuje.

– A masz inne wyjście? – pyta Brent.

Właściwie to tak.



Niektórzy faceci mają problem ze spotykaniem się z koleżankami z pracy. Boją się,

że później będzie dziwnie. Że wszystko się skomplikuje. Jednak ja nie. A zwłaszcza nie w tym przypadku. Pomyślałem, że skoro znamy już swoje imiona, widzimy się od czasu do czasu od siedmiu lat, odejmie to przynajmniej jedną z trzech wymaganych randek. Popieram efektywność.

Camille Longhorn pracuje w księgowości naszej kancelarii. Jest sama, ma ponad metr siedemdziesiąt i waży coś koło pięćdziesięciu pięciu kilo. Ma długie nogi, fantastyczny tyłeczek, dzikie blond włosy i twarz, która przypomina młodą Elle Macpherson. Kiedy cztery godziny temu zapraszałem ją na kolację, miałem nadzieję, że nie tylko jej fryzura będzie dzika.

Jednak to było wcześniej.

Teraz już tak nie uważam.

Po wysłuchaniu rzeczy, które obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg, parskania piskliwym śmiechem, który sprawia, że mimowolnie się wzdrygam, po przyglądaniu się, jak w tiku nerwowym kręci włosy na palcu i drapie się po głowie, jakby miała tam rój jadowitych pająków – już nie jestem nią zainteresowany.

W ogóle.

Można to porównać do Gwyneth Paltrow zakładającej kostium grubaski w filmie *Płytki facet*. W jednej chwili jest apetyczna, w drugiej już nie.

– ...a wtedy powiedziałam, że mi za to zapłaci.

*Pisk i prychnięcie.*

*Pisk i prychnięcie.*

*Pisk i prychnięcie.*

*Boże. Proszę, niech ona się zamknie.*

Próbuję o tym nie myśleć. Skupić się na ważnych rzeczach, jak krągłości jej cycuszków wypychających beżowy sweter. Wyobrażam sobie, jak to będzie poczuć je w dłoniach, ustach, na języku, kiedy będzie siedziała na mojej pachwinie i...

I ma szpinak między zębami. Albo rukolę.

Mój fiut zwiesza główkę. Mimo to udaje mi się utrzymać obojętnie uprzejmy wyraz twarzy, kiedy mówię:

– Masz coś...

– Och, dzięki!

Unosi nóż i szczyrzy zęby do swojego odbicia.

Nie zakładałem nawet, że poznawanie kobiety przed zaciągnięciem jej do łóżka może skończyć się brakiem ochoty na pieprzenie. Że osobowość może mieć tak destrukcyjny wpływ na ten akt. To przygnębiające. Cały mój światopogląd właśnie legł w gruzach.

Kiedy kelner przynosi rachunek, Camille wyciąga z torebki portfel, ale macham ręką. Rzucam na stół kilka banknotów, po czym wstajemy, zakładamy płaszcze i wychodzimy z restauracji. Przyszliśmy tu po pracy, więc dobrą rzeczą jest to, że nie muszę odwozić jej do domu.

– Dziękuję za kolację, Jake. – Uśmiecha się do mnie. – Było miło. Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.



Już otwieram usta, by odmówić, bo zawsze wierzyłem w szczerłość i nie mam czasu na takie gierki, ale milczę, ponieważ takie są randki. Półprawdy, kręcenie, lekkie kłamstewka, otwarte drzwi i określone zachowania są ich nieodłącznym elementem. A może miała dzisiaj zły dzień? Może, gdy spotkamy się następnym razem, nie będzie taka wkurzająca i będę chciał ją pieprzyć? To przecież możliwe. A nie chciałbym strzelać sobie w fiuta, jeśli istnieje nawet najmniejsza szansa, że ta laska wyląduje w moim łóżku.

Zatem lecę standardem:

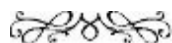
– Zadzwoń.

Camille staje na palcach i całuje mnie w policzek.

– Dobranoc, Jake.

– Pa, Camille.

Samotnie wracam do pustego mieszkania, ale przypominam sobie, że mogło być gorzej. Mógłbym mieć kiłę.



Następny dzień jest trochę rozmyty. Spędzam go, przeglądając dokumenty, głównie medyczne, przygotowując się do sprawy dotyczącej przemocy w rodzinie. Senator William Holten jest odnoszącym sukcesy politykiem, działającym na wielu płaszczyznach. To czyni z niego groźnego przeciwnika i jeszcze potężniejszego sojusznika. Został oskarżony o kilkukrotne pobicie swojej żony. Mój szef, Jonas Adams jest dobrym przyjacielem Holtena i prosił mnie osobiście, żebym zajął się sprawą. Ten proces jest cholernie ważny. Może zaważyć na mojej dalszej karierze w kancelarii.

Właśnie dlatego nad nią pracuję, choć uważam, że Holten jest płaski i wyprany z emocji, a to niepokoi. Sam widok zdjęć z obdukcji żony sprzed kilku lat sprawia, że czuję się nieswojo. Kurczy mi się żołądek, bo dobrze to znam.

O piątej postanawiam się przewietrzyć. Idę ulicą, chcąc rozprostować nogi. Dziś jest chłodniej, niebo ma szary kolor, wiatr przewiewa moją granatową marynarkę. Mimo to, po całym dniu spędzonym w ścianach biura, dobrze go poczuć. Zamykam oczy i oddycham głęboko. Czuję, jak zimne powietrze rozszerza mi płuca. Nagle zderzam się z czymś małym i ciepłym.

Odbija się ode mnie z miękkim:

– Aua!

Spoglądam w dół w wielkie kobaltowe oczy. Zauważam brązowe loki i jasną skórę usianą piegami. Chłopiec nie może mieć więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Siedząc na chodniku z rozchylonymi ustami, przygląda mi się przez chwilę i oddycha ciężko ze zdziwienia. Obraca się na bok, wkłada rękę do plecaka, sprawdzając, czy nic nie wypadło mu z licznych kieszonek.

– Wszystko dobrze, młody? – pytam, wyciągając rękę, żeby pomóc mu wstać.

Przygląda się mojej dłoni z wahaniem, zanim ją chwyta. Podciągam go w górę.

– Tak, dobrze. Przepraszam pana. – Opuszcza głowę i zarzuca brązowy, skórzany plecak na ramię.

– Uważaj, jak chodzisz – mówię. – Gdybym jechał rowerem, mogłaby ci się stać krzywda.

Chłopiec szybko mamrocze:

– Dobrze. – Odwraca się i odchodzi.

Zmierzam w przeciwnym kierunku, jednak po kilku krokach orientuję się, że coś jest nie tak.

Jest mi lżej.

Nierówno.

Natychmiast sięgam do kieszeni marynarki. W prawej mam komórkę, a w lewej nie mam portfela.

Obracam się na pięcie, przyglądając się przechodniom walczącym z wiatrem, dopóki nie odnajduję wzrokiem dzieciaka, który jest już całą przecznicę dalej.

– Hej! – Mój głos dudni niczym armata. Kilkoro ludzi zatrzymuje się i patrzy na mnie.

Nawet z tak znacznej odległości wiem, że dzieciak patrzy mi w oczy. Jego diaboliczna mina mówi sama za siebie. Pewny siebie uśmiezek, ukazujący białe ząbki i zwycięski błysk w kocich oczach, ponieważ sądzi, że go nie dogonię.

Unosi prawą rękę i pokazuje mi środkowy palec.

Bezczelny gówniarz.

Puszcza się biegiem wzdłuż ulicy.

*Nie nawiejesz mi, młody.*





Machając rękami, pędzę chodnikiem. Skręcam w lewo w przylegającą ulicę, starając się nie potrącać przechodniów. Przemierzając w trzech susach jezdnię, uchylam się przed trąbiącymi samochodami, po czym biorę po dwa betonowe schody naraz i wpadam przez drzwi centrum handlowego wychodzące na ulicę, na której wcześniej widziałem dzieciaka. Mijam sklepy i przemierzam strefę jedzenia.

– Uważaj! – krzyczy siwy mężczyzna, wymachując laską.

Wypadam tylnymi drzwiami na ulicę.

Rozglądam się najpierw w prawo, potem w lewo. Dostrzegam gówniarza, który wciąż biegnie. Jego plecak jest jak latarnia w gasnącym słonecznym świetle. Krople potu spływają mi po czole, gdy biegnę w górę ulicy i z wprawą płotkarza przeskakuję hydrant. Wyciągam rękę, rozkładam palce i chwytam małego gnojka za kołnierzyk białej koszuli.

*Mam cię!*

Mały piszczy z oburzeniem, obraca się i próbuje uwolnić niczym ryba złapana na haczyk. Jednak nie ma mowy, żeby mu się udało.

– Puszczaj! Puść mnie!

Potrząsam nim, żeby zwrócić jego uwagę i warczę:

– Przestań!

Małe pięści opadają na moje ramię i naciskają na brzuch. Ponownie nim potrząsam.

– Mówiłem, żebyś przestał! Teraz. – Dodaję ciszej: – Nie zrobię ci krzywdy.

Jednak on jest zdeterminowany.

– Ratunku! – krzyczy, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z przyglądającymi się nam przechodniami. Większość postronnych osób idzie dalej, myśląc, że zainterweniuje kto inny, więc nie muszą się trudzić. Mały gnojek wykrzykuje mantrę wtłaczaną dzieciom do głów przez nadopiekuńczych rodziców oraz organizacje zajmujące się pomocą młodocianym:

– Nie jesteś moim ojcem! Nie znam cię! Pomocy!

Tym razem potrząsam nim mocniej, aż dzwonią mu zęby. Syczę:

– Naprawdę chcesz zwracać ich uwagę, wciąż mając w plecaku mój portfel?

To go nieco uspokaja, choć nadal dyszy i wierci się niczym lis schwyty w sidła. Piorunuje mnie wzrokiem, w dodatku ściągając brwi, czym udowadnia, że ma jaja i się nie boi.

– Co się tu dzieje?

Pytanie pochodzi z ust umundurowanego policjanta, zbliżającego się z mojej prawej strony. Przygląda się zajściu z władcą miną. Spogląda na mnie i na jego twarzy maluje się wyraz świadczący o tym, że mnie rozpoznaje.– Cześć, Becker.

Większość policjantów instynktownie nie lubi obrońców. Rozumiem w czym rzecz. Ryzykują życie, żeby posprzątać ulice ze śmieci, a osobnicy mojego pokroju

wypuszczają ich z powrotem. Najczęściej w poniedziałkowe poranki przepytują policjantów z ich postępowania: w jaki sposób przeprowadzili aresztowanie, czy mieli ku temu przesłanki, tylko po to, żeby znaleźć sposób na uwolnienie klienta. W tej relacji jesteśmy naturalnymi wrogami.

Osobiście nie mam nic do policji. Jasne, są twardzielami i czasami ponosi ich ambicja i władza, jednak w większości to przyzwoici ludzie, starający się sumiennie wykonywać swoją trudną pracę.

Paul Noblecky jest policjantem z prewencji, który ćwiczy na tej samej siłowni co ja. Kilka razy graliśmy razem w kosza, a później wysączyliśmy parę piwek.

– Co tam, Noblecky?

Kiwa mi głową.

– Nie mogę narzekać. – Wskazuje na dzieciaka, którego wciąż trzymam za kołnierzyk niczym zagubionego szczeniaka. – O co chodzi?

Zanim mam szansę wytłumaczyć, szczeniak mówi:

– Tak się tylko wygłupiałem. Becker miał się mną zajmować. Powiedziałem mu, że jestem szybszy, ale on nie uwierzył.

W pierwszym odruchu mam ochotę się roześmiać, bo gówniarz naprawdę potrafi ściemniać. Zastanawiam się nawet, czy myślał nad karierą prawnika lub polityka. W drugim odruchu mam ochotę go wydać, podkablować, rzucić Noblecky'emu na pożarcie. Odejść i umyć od tego ręce.

Jednak coś w jego twarzy nie pozwala mi tego zrobić. Jego spojrzenie wyraża mieszaninę rozpacz i goryczy. Liczy na moją pomoc i litość, jednocześnie nienawidząc za to, że tego potrzebuje. Jest w nim także pewna niewinność, której nie mają dzieci ulicy. Coś mi mówi, że dla niego wciąż jest ratunek.

I że jest wart uratowania.

Czochram go po włosach, robiąc widowisko.

– Mówiłem, że cię dogonię.

Noblecky się śmieje.

– Poważnie ktoś dał ci dziecko pod opiekę? – Zerka na małego. – Moje kondolencje.

Dzieciak wzdryga się w odpowiedzi niemal niezauważalnie. Jednak czuję to.

Noblecky szturcha mnie łokciem i mówi w żartach:

– Ile bierzesz jako niańka? – Sam ma pięcioletnie dziecko. – Jeśli wkrótce nie wezmę Amy na kolację, rozwiedzie się ze mną.

Kręcę głową.

– To jednorazowa fucha. Dzieci mnie nie kręcą.

Obraca się.

– Do zobaczenia, Becker.

– Na razie – wołam za nim, gdy odchodzi.

Kiedy tylko Noblecky znika z zasięgu wzroku, ciągnę gówniarza na drugą stronę chodnika, żeby znaleźć się blisko ściany budynku. Wyciągam rękę.

– Oddawaj.

Przewraca oczami, grzebie w plecaku, po czym mocno uderza portfelem o moją dłoń. Nie sądzę, żeby miał czas go opróżnić, ale dla pewności sprawdzam gotówkę i karty.

Zadowolony chowam portfel do kieszeni.

– Jak się nazywasz?

Przygląda mi się.

– Jesteś gliną?

Kręcę głową.

– Prawnikiem.

– Jestem Rory.

– A co z nazwiskiem?

– McQuaid.

Spoglądam na niego. Ma białą elegancką koszulę i beżowe spodnie – mundurek prywatnej szkoły. A do tego trampki za dwieście pięćdziesiąt dolarów i plecak z prawdziwej skóry. Muszę zapytać:

– Dlaczego ukradłeś mi portfel?

Kopie jakiś kamyk.

– Nie wiem.

Oczywiście, że nie wie.

Wzrusza ramionami.

– Chyba tylko po to, żeby sprawdzić, czy mi się uda.

Oto moment, kiedy zastanawiam się, co mam z nim zrobić. Powinienem dać mu nauczkę, odpuszczenie tej sytuacji nie przyniesie mu niczego dobrego. Musi się nauczyć, że głupota ma swoje konsekwencje – i to ogromne. Jeśli teraz tego nie zrozumie, w przyszłości podejmie wiele złych decyzji i zapłaci jeszcze większą cenę.

Wskazuję na koniec ulicy.

– Dobra, idziemy.

Rory nie rusza się z miejsca.

– Nigdzie z tobą nie idę. Możesz być pedofilem.

Krzywię się.

– Nie jestem pedofilem.

– Powie każdy pedofil.

Unoszę brwi.

– Kieszonkowiec mądrała, co? Świetnie. To musi być mój szczęśliwy dzień. – Ponownie wskazuję na koniec ulicy. – Odwiozę cię do domu. Powiem twoim rodzicom, co zrobiłeś i oni się tobą zajmą.

Moja matka często zносиła podobne wizyty. Przychodzili nauczyciele, pedagodzy, życzliwi policjanci. Choć nigdy to nie zmieniło mojego nastawienia ani głupich wyskoków, matka doceniała informacje na temat niepoprawnego zachowania syna. Niestety, pracowała zbyt wiele godzin w ciągu doby, żeby cokolwiek z tym zrobić.

Na twarzy Rory`ego maluje się cień.

– Nie musisz tego robić. Już nie będę więcej kradł.

– Powie każdy złodziej.

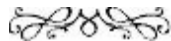
Parska niechętnie śmiechem, jednak wciąż się waha.

– Słuchaj, młody, albo odwiozę cię do starych, albo zawołam tu Noblecky'ego.

Wybieraj.

Ponownie kopie jakiś kamyk, przeklinając przy tym pod nosem. Poprawia plecak na ramieniu i patrzy mi w oczy.

– Gdzie zaparkowałeś?



Kiedy docieramy do mojego mustanga, Rory bez szemrania wskakuje na tylne siedzenie i zapina pas. Podaje adres, to zaledwie piętnaście kilometrów od miasta, więc ruszamy.

– Naprawdę nazywasz się Becker? – pyta po kilku minutach.

Spoglądam na niego w lusterku wstecznym.

– Tak, Jake Becker. – Zadaję swoje pytanie: – Ile masz lat, młody?

– Za pięć miesięcy będę miał dziesięć.

Powoli kiwam głową.

– Czyli masz dziewięć.

Uśmiecha się.

– A mnie nazwałeś mądralą.

Przez resztę drogi milczy i patrzy przez okno, jednak gdy skręcamy w kierunku Rock Creek Parkway, gdzie przy ulicach o nazwach Whitehaven, Foxboro i Hampshire rosną wielkie, stare dęby, a podjazdy do domów znacznie się wydłużają, Rory staje się coraz bardziej ponury. Emanuje od niego smutek, widać go w sztywnych ramionach i zaciśniętych dłoniach.

– Nie będą dla ciebie za surowi, prawda?

Mam na myśli jego rodziców. To, że wydaje się czysty, zadbany i bez siniaków, nie oznacza, że nic złego nie dzieje się w jego domu.

– Nie – odpowiada bez wahania. – Nic mi nie będzie.

Kiedy podjeżdżam pod wskazany przez Rory'ego adres, ciężka kuta brama otwiera się automatycznie. Rozległy podjazd tworzy podkowę, są przy nim latarnie i drzewa wiśniowe. Dom jest majestatyczny, ceglany, w stylu gregoriańskim, odrestaurowany, z czarnymi okiennicami i białymi listwami wokół czternastu okien. Obok jest garaż na trzy samochody, duży dziedziniec otoczony murkiem z naturalnego kamienia i jasny, zielony ogród.

Gaszę samochód i spoglądam na dom, zastanawiając się, czy dzieciak nie próbuje mnie wykiwać.

– Mieszkasz tutaj?

– Tak.

– Jesteś dzieckiem ogrodnika czy kogoś takiego?

Rory marszczy czoło.

– Nie. To jest dom moich rodziców. – Po czym dodaje ciszej pod nosem: – Był...

Nie wyjaśnia nic więcej, tylko wyskakując z auta i zabiera plecak. Stawiam długie kroki, żeby go dogonić, więc wkrótce stoimy przed masywnymi dębowymi drzwiami. Chwytam go za kark, aby przygotować się, w razie gdyby chciał mi nawiać. Naciskam dzwonek.

Natychmiast rozlega się dźwięk ujadania małego psa. Słysząc wewnątrz szuranie, po czym drzwi się otwierają.

Powietrze ucieka mi z płuc.

Ma jakieś metr sześćdziesiąt pięć, może ciut więcej i długie, smukłe nogi odziane w czarne getry. Szczupłą talię okrywa bawełniana koszula, która u góry ma guziczki rozciągnięte przez pełne, jędrne, idealne piersi. Ma elegancką, kremową szyję, a jej twarz – Jezu – aniołki Victoria's Secret mogą się schować. Mocno zarysowany podbródek, wysokie kości policzkowe, pełne, naturalne usta, zadarty nos i intensywnie niebieskie oczy, które połyskują niczym diamenty w zimowy, słoneczny dzień. Błyszczące kasztanowe włosy są upięte wysoko na głowie, kilka wolnych pasemek okala jej twarz. Jej oczy nieco przysłaniają okulary w ciemnych kwadratowych oprawkach, przez co wygląda jak seksowna bibliotekarka lub cholernie apetyczna uczennica.

Próbuję przełknąć ślinę, ale zasycha mi w ustach.

– Rory – mówi z ulgą, skupiając się na chłopaku, jednak szybko okazuje wzburzenie. – Gdzie byłeś? Powinieneś wrócić już dawno temu! I dlaczego nie odbierasz telefonu?

Dzieciak wyrывa się z mojego uścisku, przechodzi przez rozległe, wyłożone czarno-białymi płytkami foyer i maszeruje wprost na schody, nawet na nią nie patrząc.

– Rory! Hej! – woła za nim. Bezskutecznie.

Knykcie bieleją jej od zaciskania na drzwiach. Odwraca się do mnie.

– Witam?

To raczej pytanie niż powitanie.

– Witam – odpowiadam i gapię się dalej. Rozkoszuję się widokiem.

Cholera, ale jestem napalony.

Kręcę głową, wychodząc z idiotycznego transu wywołanego zbyt długą posuchą.

Próbuję ponownie, wyciągając rękę.

– Dzień dobry, Jake Becker. Jestem adwokatem. – Dobrze to ujawnić, ponieważ tak samo jak w przypadku policjantów, natychmiast wzbudza to zaufanie, nawet jeśli człowiek pracujący w tym zawodzie nie bardzo na nie zasługuje.

– Chelsea McQuaid. – Podaje mi swoją małą ciepłą rękę i potrząsa mocno moją.

– Odwiozłem Rory'ego.

Przechyla głowę, a na jej twarzy maluje się podejrzliwa ciekawość.

– Serio?

– Muszę porozmawiać z panią o synu – mówię, zakładając, że właśnie w ten sposób jest spokrewniona z małym złodziejaskiem.

Przygląda mi się uważnie, widzę, jak trybiki obracają się w jej głowie. Zastanawia się, czy w dzisiejszych czasach można wpuścić nieznanego mężczyznę do domu. Nie



wątpię, że kosztowny garnitur i przystojny wygląd przechyła szalę na moją korzyść.

– Dobrze. – Stawia krok w tył. – Zapraszam do środka, panie Becker.

Przechodzę przez próg.

– Jake, proszę. – Zamyka za mną drzwi, zasuwając u góry blokadę. Zza jej nóg wyskakuje niewielka kulka karmelowo-czekoladowych włosów i rzuca mi się do nogi, wachając i warcząc, piszcząc i szczekając.

Najbardziej typowe zachowanie małego pupilka.

– Coś, przestań! – karci go Chelsea.

Uśmiecham się lekko.

– Twój pies nazywa się Coś?

– Tak. – Również się uśmiecha, i to cholernie oszałamiające. – Kuzyn Coś. Kojarzysz

*Rodzinę Addamsów?*

Coś szaleje coraz bardziej, wygląda jak wściekły mop.

Patrzę jej w oczy.

– Twój syn...

– Właściwie to bratanek. Jestem ciotką Rory'ego.

Przyglądam się jej uważniej i stwierdzam, że nie ma na palcu żadnego pierścionka, więc istnieje szansa, że jest wolna.

Najlepsza wiadomość tego popieprzonego dnia.

Ostry płacz niemowlaka dochodzi z innego pomieszczenia. Chelsea natychmiast odwraca głowę.

– Możesz iść ze mną? Muszę...

Idzie, więc podążam za nią.

Mijamy łukowe przejścia do biblioteki i pokoju muzycznego, w którym stoi wielki fortepian, następnie kierujemy się do przestronnego salonu z ogromnym kominkiem i katedralnym sufitem. Meble są gustowne, pokój urządzone jest w ciepłych kolorach ziemi. Na ścianie wiszą dziesiątki zdjęć dzieci. Chelsea wchodzi do kuchni, gdzie płacz słychać jeszcze głośniej.

Kuchnia jest wielkości niemal całego mojego mieszkania. Ma drewnianą podłogę, mahoniowe szafki i wyspę z marmurowym blatem, gdzie znajduje się podwójny zlew, a obok poukładane są sprzęty ze stali nierdzewnej. Okrągły stół kuchenny z ośmioma krzesłami ustawiony jest przy francuskich drzwiach otwieranych na kamienny taras i ogród z brukowanymi ścieżkami i basenem w dalszej części.

Niemowlę znajduje się w przenośnym łóżeczku ustawionym niedaleko wyspy i wydaje się być bardzo niezadowolone.

– Cześć, cukierczku – grucha Chelsea, pochylając się, żeby podnieść smoczek, który wypadł maluchowi i włożyć mu go z powrotem do ust.

Wydaje mi się, że to chłopczyk. Ma ciemnoniebieskie spodenki i koszulkę w łódki. Chelsea głaszcze go po jasnej, rozczochranej główce i płacz natychmiast ustaje.

Z wielkiego srebrnego garnka stojącego na kuchence, dochodzi bulgotanie i kuchnię wypełnia zapach rosółu.

– Ceść!

Obracam się w prawo i widzę dziecko. Zdecydowanie jest to dziewczynka, ma długie złote włosy i różowy podkoszulek. Siedzi na podłodze otoczona książkami i zeszytami.

– Cześć – odpowiadam w ten sam sposób.

Mała mówi głośniej:

– Ceść!

Kiwam głową.

– Cześć.

Robi poważną minę, ścisza głos i przysuwa się, jakby chciała powiedzieć mi coś niesłychanie ważnego. Jednak z jej ust wydobywa się jedynie:

– Ceeeść.

– Coś z nią nie tak? – pytam.

– Nie – odpowiada Chelsea, jakby lekko urażona. – Wszystko z Regan w porządku.

Ma dwa lata.

Regan ponownie się do mnie uśmiecha.

– Ceść.

– Nie zna innych słów?

– Nie. Ma tylko dwa latka.

– Ceść. Ceść. Ceść!

Poddaję się i odchodzę.

– Mogę się jakoś skontaktować z rodzicami Rory’ego? To ważne, muszę z nimi porozmawiać.

Kobieta się spina. Na jej twarzy widać ból.

– Nie możesz. Oni... Mój brat wraz z żoną dwa miesiące temu mieli wypadek samochodowy. Nie żyją.

Wszystkie kawałki układanki wskakują na swoje miejsce. Komentarz Rory’ego, jego niezbyt subtelny gniew wymierzony w cały świat. Jednak to nazwisko najczęściej mi mówi, nazwisko i informacja o wypadku. Pytam łagodnie:

– Robert McQuaid to twój brat? Ten lobbysta od ochrony środowiska?

Uśmiecha się smutno i kiwa głową.

– Znałeś Robbiego? Waszyngton to wielkie miasto, ale mam wrażenie, że wszyscy się znają.

Jeśli chodzi o polityków i prawników to prawda.

– Nie, nie znałem go, ale słyszałem o nim dobre rzeczy. Mówili, że był uczciwy i szczerzy. To w tych kręgach rzadkość.

Nagle dziewczyna wydaje się być młodsza. Mniejsza i bardziej delikatna. Czy została z opieką nad dziećmi w tym dużym domu zdana sama na siebie? Ona, Rory, Ceść i Niemowlak?

Chelsea patrzy przez palce.

– Jestem prawną opiekunką Rory’ego, więc cokolwiek zamierzałeś powiedzieć mojemu bratu i jego żonie, możesz powiedzieć i mnie.

Przytakuję.

– Tak. Przywiozłem Rory’ego do domu, ponieważ...

Jednak nie jest mi dane dokończyć zdanie, gdyż niczym stado spanikowanych nosorożców, nad naszymi głowami rozlega się tupot. Spoglądamy z dziewczyną na sufit w taki sposób, jakby zaraz miał spaść na nas. Dźwięk rozchodzi się ponownie, tym razem jeszcze bliżej.

I słyhać krzyk. Rozdzierający wrzask, jakby z piekła rodem.

– Zabiję cię!

– To nie ja!

– Wracaj!

– To nie ja!

Nawet dwulatka wygląda na zaniepokojoną.

Dudnienie rozbrzmiewa na klatce schodowej i do kuchni wpadają biegiem dwie rozwrzeszczane dziewczyny, okrążają kuchenną wyspę jak w polowaniu na ludzi w popieprzonej wersji *Igrzysk Śmierci dla przedszkolaków*.

– Mówiłam ci, żebyś się trzymała z dala od mojego pokoju! – krzyczy wysoka dziewczynka. Jest niczym brązowowłosa drapieżnik gotowy zaatakować.

– To nie ja! – piszczy mniejsza, wyciągając ręce, żeby się zasłonić.

*Jezus Maria, co to za dom wariatów?*

Chelsea staje między nimi, chwyta za ręce i rozdziela.

– Dosyć!

Teraz dziewczynki krzyczą na nią, jednocześnie wykładając swoje racje i próbując przekrzyczeć siebie nawzajem. Nie do końca rozumiem, co mówią. Brzmi to bardziej jak: syk, słowo, syk, pisk, słowo. Jednak wydaje się, że ciotka rozumie ten pierwotny język.

– Powiedziałam dosyć! – Unosi ręce i nastaje błoga cisza.

To niewiarygodne. Nie wydaje mi się, żeby któryś z sędziów potrafił uzyskać takie posłuszeństwo na sali sądowej.

– Pojedynczo. – Zwraca się do wyższej. – Najpierw ty, Riley.

Riley wymachuje palcem w powietrzu niczym szablą.

– Weszła do mojego pokoju, a powtarzałam jej już tysiąc razy, żeby tego nie robiła! Grzebała w moich kosmetykach i zniszczyła mój ulubiony błyszczak!

Chelsea obraca głowę w kierunku mniejszej, która kiedy nie krzyczy jak wariatka, przypomina trochę małą blond Shirley Temple.

– Rosaleen, mów.

Ceść i ja przyglądamy się z uwagą, czekając na kontrargumenty, ale słyszymy jedynie:

– To nie ja.

W mojej zawodowej opinii stwierdzenie nie byłoby złą obroną, gdyby nie to, że jej usta wraz ze skórą wokół wymalowane są ciemnym, połyskującym różem, co sprawia, że wygląda jak nieślubna córka Ronalda McDonalda.

– Jesteś taką... – zaczyna krzyczeć Riley.

Jednak Chelsea unosi dłonie, przerywając jej.

– Cicho. – Bierze na ręce mniejszą, Rosaleen i sadza ją na blacie. – Prawie ci uwierzyłam – mówi Chelsea, wyciągając nawilżane chusteczki z pudełka stojącego przy zlewie, następnie wyciera dziewczynce twarz i pokazuje różową szmatkę. – Tylko że dowody masz rozmazane na całej buzi.

Wielkie umysły myślą podobnie.

Mała dziewczynka patrzy szeroko otwartymi oczami na chusteczkę i jak oskarżony, który wie, że wpadł, robi jedyne co może, czyli zdaje się na łaskę sądu.

– Przepraszam, Riley.

Riley pozostaje niewzruszona.

– To mi nie zwróci błyszczyka, bachorze!

– Nie mogłam się powstrzymać! – łąka Rosaleen.

Podświadomie przytakuję: *Tak, mała, dawaj z niepoczytalnością. Tylko ona ci została.*

– Ten błyszczyk wołał do mnie...

Głosy. Głosy są dobre. Zawsze łatwo się nimi zasłonić.

Wkłada palce w złote loki i ciągnie, aż zupełnie je mierzwi.

– Oszalałam! Był taki ładny i różowy, musiałam go wziąć!

Chelsea zamyka oczy i bierze głęboki wdech, przez co jej fantastyczne cycki jeszcze bardziej naciskają na guziki koszuli. Cieszę się widokiem, modląc się, żeby któryś z guzików puścił albo nawet woda samoczynnie prysnęła ze zlewu i zalała jej tę koszulę.

Marzenie każdego faceta.

– Riley, jakie masz w tym tygodniu obowiązki?

– Mam nakrywać do stołu przed obiadem.

Głos ciotki jest miły, lecz stanowczy.

– Dobrze. Rosaleen, przez resztę tygodnia wyręczysz w tym siostrę, a kiedy w niedzielę dostaniesz kieszonkowe, oddasz jej za ten błyszczyk. Zrozumiano?

– Tak. Przepraszam, Riley.

Chelsea głaszcze czule dziewczynkę po głowie.

– A teraz proszę iść na górę, umyć twarz i przyjść nakryć do stołu.

Mała, kiwając głową zeskakuje z blatu i mija mnie, zmierzając na schody.

Jej siostra się nie zgadza.

– I tyle? To wszystko, co jej za to zrobisz?

Chelsea wzdycha nieco poirytowana.

– Ma siedem lat, Riley. Czego oczekujesz? Mam ją zbić kijem od miotły?

– To niesprawiedliwe! – mówi głośniejszym głosem niż to potrzebne.

– Czasami życie właśnie takie jest. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

Riley uderza dłonią w blat.

– Nienawidzę tej rodziny!

Obraca się z wściekłością, a jej brązowe włosy podskakują, idzie w kierunku schodów, piorunując mnie przy tym wzrokiem. Jakbym to ja zniszczył jej ten cholerny błyszczak.

– Słodka dziewczyna – mówię z przekąsem.

– Ma czternaście lat. To trudny wiek. – Chelsea patrzy tęsknie na schody. – W końcu zmądrzeje... kiedyś.





– Przepraszam za to – mówi Chelsea, biorąc blok rysunkowy, który został kopnięty w czasie bójki i podaje dziewczynce. Wraca do kuchenki i wrzuca posiekane warzywa z miseczki do gotującej się zupy. Porusza się z wdziękiem i bez wysiłku. Zastanawiam się, czy nie jest tancerką. – Zacząłeś mówić o Rorym.

– Tak. Rory...

Oczywiście nie mogę dokończyć, to byłoby zbyt łatwe.

Przerywa mi wejście chłopca. Chłopca, który ma twarz Rory’ego. Jest jednak nieco szczuplejszy, wyższy i ma na nosie okrągłe okulary niczym Harry Potter.

Nie potrafię ukryć przerażenia w głosie:

– To ich jest dwóch?

Chelsea się uśmiecha.

– Jeśli pytasz, czy Rory ma brata bliźniaka, to odpowiedź jest twierdząca.

– Widzę, że poznałeś mojego brata – mówi chłopak, najwyraźniej przyzwyczajony do takich reakcji. – Nie osądzaj mnie tylko dlatego, że mamy z Rorym to samo DNA. Słyszałeś termin „geniusz zła”?

– Tak.

– Rory jest złem, ja jestem geniuszem.

– Ile dokładnie dzieci mieszka w tym domu? – pytam ciotki.

Zaczynam odnosić wrażenie, że są jak karaluchy – widzisz jednego, ale możesz się założyć, że w ścianach jest ich jeszcze z pięćdziesiąt. Wzdrygam się na tę myśl.

– Sześcioro.

Sześcioro? Zgaduję, że Robert McQuaid nie miał wiele hobby.

Chłopak bierze czarną deskorolkę stojącą w rogu i mówi do ciotki:

– Idę do sąsiada.

– Dobrze, tylko włóż kask, Raymond.

Dzieciak jęczy:

– Ale wyglądam w nim jak kretyn.

– A jak wpadniesz w śpiączkę, kiedy walniesz głową w chodnik będziesz wyglądał spoko?

Przemądrzałość Rory’ego jest najwyraźniej genetyczna.

– Nie – jęczy Raymond. – Tylko... – Obraca się do mnie. – Jesteś facetem, rozumiesz o co mi chodzi. Wyjaśnij jej.

– Tak. – Chelsea krzyżuje ręce na piersiach. – Wyjaśnij, w jaki sposób posiadanie penisa zwalnia cię z prawa grawitacji.

– O Boże! – syczy Raymond, czerwieniąc się po same uszy. – Nie mów tego.

– Czego? – Patrzy to na niego, to na mnie. – Co takiego powiedziałam?

Wzruszam ramionami, bo nie mam zielonego pojęcia.

– Penis? – zgaduje.

Raymond mógłby śmiało robić za pomidora.

– O Boże! To takie upokarzające! – Chwyta deskę i ucieka.

– Raymond, kask! – woła za nim Chelsea. – Albo deska trafi dzisiaj do kominka! –

Spogląda na mnie i wzdycha. – Przez cały dzień spotykają mnie takie małe radości.

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Chelsea jest nie tylko seksowna, ale też zabawna.

Wraca do kuchenki i chwyta za wielki garnek, więc natychmiast podchodzę, żeby jej pomóc.

– Wezmę go.

– Dziękuję. – Wskazuje mi stojącą na blacie ceramiczną wazę, więc ostrożnie nalewam do niej gorącą zupę. Stoimy niedaleko siebie, w końcu unosi głowę i przygląda mi się krystalicznie błękitnymi oczami. – Zatem, jak poznałeś mojego bratanka, Jake?

Odpowiadam prosto z mostu, jednym pociągnięciem zrywając plaster:

– Ukradł mi portfel, Chelsea. Na ulicy. Wpadł na mnie, wsunął rękę do kieszeni i go wyjął.

Zamyka oczy, jej ramiona opadają nieco.

– Och. – Po chwili pociera czoło, unosi głowę i patrzy na mnie. – Tak bardzo za niego przepraszam.

Macham ręką.

– W porządku.

Jej głos staje się miękkim, dźwięczy w nim smutek.

– Naprawdę mu ciężko. To znaczy, nikomu nie jest lekko, ale w Rorym jest tyle...

– Złości – kończę za nią.

Przytakuje.

– Tak, złości. – Jej głos jeszcze bardziej cichnie, wyraźnie słysząc w nim ból. – Skierowanej zwłaszcza we mnie. Wydaje się, że ma mi za złe, że jestem tutaj, a ich już nie ma.

– Ile masz lat? Jeśli mogę spytać.

– Dwadzieścia sześć.

– Masz jakąś pomoc? Rodziców? Przyjaciół?

Chelsea kręci głową, kiedy Rosaleen wraca do kuchni.

– Rodzice zmarli kilka lat temu, a wszyscy moi przyjaciele zostali w Kalifornii. Robiłam tam magisterkę, zanim...

Milknie, spogląda na bratanicę. Wyciąga talerze z szafki.

– Kiedy się tu przeniosłam, zatrudniłam nianię z agencji, ale...

– Ale była jędzą – wtrąca się Rosaleen.

– Hej! – Chelsea natychmiast się odwraca. – Nie możesz tak mówić.

– Riley tak mówi.

– Ale ty tak nie mów.

Gdy dziewczynka wychodzi, żeby nakryć do stołu, Chelsea znów odwraca się do



mnie.

– Była jędzą. Nie zostawiłabym z nią Kuzyna Coś, nie wspominając o dzieciach.

– A co z opieką społeczną?

Kręci głową.

– Przydzielona nam pracownica jest miła, stara się pomagać, ale zajmuje się całą tą administracją. Sprawdza nas, rozmawia, czasami przeprowadza niezapowiedziane kontrole i wywiady środowiskowe. Niejednokrotnie wydawało mi się, że czeka, aż coś spieprzę. Jakby zakładała, że sobie nie poradzę.

– A radzisz sobie? – pytam łagodnie.

W tych wspaniałych oczach płonie determinacja.

– Muszę. Mam tylko ich.

– Chyba oni mają tylko ciebie – poprawiam.

Wzrusza ramionami i uśmiecha się ze smutkiem.

– Tak, też.

Pocieram kark.

– Powinnaś zaprowadzić Rory’ego na terapię, Chelsea.

Normalnie nie proponowałbym czegoś takiego, ale dzięki Brentowi wierzę w to. Szczególnie jeśli chodzi o dziecięce traumy. Mój przyjaciel zarzeka się, że gdyby miał zmagać się z utratą nogi bez terapii, skończyłby jako wkurzony na życie alkoholik.

– Wiem. – Poprawia seksowne okulary. – Mam to na liście. Jeśli tylko znajdę chwilę, żeby kogoś poszukać, zaprowadzę ich wszystkich do dobrego terapeuty.

– Na liście? – pytam.

Wskazuje na lodówkę, do której magnesem przyczepiona jest lista, zawierająca jakieś tysiąc punktów.

– Moja bratowa, Rachel, potrafiła robić wiele rzeczy jednocześnie. Miała listę, więc i ja zaczęłam ją pisać. To rzeczy, którymi muszę zająć się na wczoraj.

Ta lista nigdy się nie zmniejszy. Być może to nowa definicja piekła.

– W porządku. – Wykonałem swoje zadanie. Teraz Rory to jej problem, podobnie jak oni wszyscy. Nie są na mojej głowie. – To chyba powinienem się zbierać.

Kiwa głową, małe pasemko włosów opada jej na twarz.

– Bardzo dziękuję, że przywiozłeś go do domu i nie doniosłeś na policję. Może zostałbyś na obiedzie? Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Zerkam na wazę.

– A co masz?

– Zupę miso i grzanki z serem.

Brzmi jak coś serwowanego w więzieniu, żeby obniżyć koszty.

– Nie, dzięki. Przede mną dużo roboty. I wolę mięso z ziemniakami.

Chelsea odprowadza mnie pod drzwi.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję, panie Becker.

Patrząc na siebie stajemy na błyszczących czarno-białych płytkach w foyer. Czuję na sobie przenikliwy wzrok. Ktoś nas obserwuje i słucha.

Ale pieprzyć to, dlaczego nie?

Wyciągam w portfela wizytówkę.

– Proszę. – Chelsea bierze kartonik i przygląda się czarnym literom, przesuając palcami po krawędziach. – Gdybyś miała wolny wieczór, chciałabyś coś zjeść, czy się napić, czy coś...

Najstarsza dziewczynka – ta, która nienawidzi swojej rodziny – parska z niedowierzaniem.

– Zaprosiłeś ją właśnie na randkę?

Nie spuszczam wzroku z Chelsea.

– Tak, zaprosiłem.

Policzki kobiety robią się uroczo czerwone.

Wtrąca się mniejsza, Shirley Temple:

– Ale jesteś taki stary!

Odrywam spojrzenie od słodkiego rumieńca Chelsea i ściągając brwi patrzę na dzieciaka.

– Mam trzydzieści lat.

Dziewczynka kopiuje moją minę.

– Trzydzieści! – Opiera dłonie na biodrach. – Masz wnuki?

Chce mi się śmiać, ale się powstrzymuję. Niezłe z niej ziółko.

– Trzydzieści nie wystarczy, żeby mieć wnuki, Rosaleen – wyjaśnia Chelsea. Wraca do mnie wzrokiem i ścisza nieco głos: – Wątpię, żebym miała wkrótce jakiś wolny wieczór, ale dziękuję za propozycję.

– No tak. – Kiwam głową. – Dobranoc, Chelsea. – Zerkam na cztery przyglądające się nam głowy. – I... powodzenia.

Na pewno będzie go potrzebowała.





W sobotę przyjmuję propozycję Brenta i idziemy na podwójną randkę. Według mnie randki przypominają wędkowanie. Im więcej zarzucisz haczyków, tym większe prawdopodobieństwo, że złapiesz coś, co da się zjeść. A kiedy jesteś głodny, a ja wręcz umieram z głodu, nawet płotka wygląda apetycznie.

A koleżanka Lucy Patterson – jej współpracowniczka z Emblem&Glock – zdecydowanie nie jest płotką. Jest fajna. Ma krótkie, ciemne włosy. Jest wysoka, szczupła, wysportowana. Wspominała, że gra w tenisa, a po wyglądzie jej tyłka wnioskuję, że nie ściemnia. Wieczór okazuje się w porządku, chociaż nie mam ochoty dobrać się tej dziewczynie do majtek już w ciemnej uliczce tuż za klubem. Spotykamy się we czwórkę w restauracji, żeby zjeść coś lekkiego, a później idziemy na piwo. Ponieważ wykonujemy ten sam zawód, to mamy do czynienia z tymi samymi sędziami, oskarżycielami i podobnymi sztywnymi szefami, więc w większości gadamy o pracy. Wydaje się, że to firmowe, luźne spotkanie, a gdy kończymy wieczór, wszyscy jesteśmy zgodni, że musimy powtórzyć to za tydzień.

Najwyraźniej dla kluczowej randki numer dwa.

Jeśli będę miał szczęście, może pod koniec miesiąca uda mi się zaliczyć jakąś łózkową gimnastykę.

*Super.*

W drodze do domu nawiedzają mnie mocne i ostre myśli o pewnej młodej, kasztanowłosej ciotce. Z naciskiem na mocne i ostre.

Jest zadziorna, lubię takie. Stanowcza, ale jednak delikatna w ten atrakcyjny, kobiecy sposób.

Ma również tak wiele na głowie.

Zastanawiam się, jak poradziła sobie z Rorym. Dała szlaban temu małemu mądrali? A może dołożyła mu obowiązków, jak plewienie rabatek czy koszenie trawnika? Z doświadczenia wiem, że praca fizyczna potrafi zmęczyć nawet najbardziej upartych gnojków. W moim przypadku trawnik był ogromny.

Otwieram laptopa i szukam informacji na temat brata Chelsea, Roberta. Nie wiem, dlaczego to robię, jednak wyszukiwarka sama przyciąga moje palce.

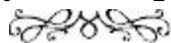
Większość lobbystów się nie liczy. To zadufane w sobie sługusy, zawierające umowy i upajające się władzą, podobnie jak urzędasy prowadzące ministerstwo motoryzacji. Jednak, jak mówiłem Chelsea, Robert McQuaid miał reputację konkretnego człowieka. Dobrego, dbającego o sprawy, za które mu płacono.

Znajduję wiele informacji o jego karierze, a także o śmierci. Brał udział w kolacji charytatywnej ze swoją żoną, z którą był od szkoły średniej. W drodze do domu, jadący z naprzeciwka kierowca ciężarówki zasnął za kierownicą i zjechał na ich pas tak nagle, że nie udało im się uniknąć zderzenia. Nekrolog wymienia osieroconych członków rodziny – szóstkę dzieci: Riley, Rory'ego, Raymonda, Rosaleen, Regana

i Ronana oraz siostrę Chelsea zamieszkała w Berkeley w Kalifornii. Są też zdjęcia, które przedstawiają dzieci zmieniające się na przestrzeni lat oraz pozujące z rodzicami na kilku imprezach waszyngtońskiej elity. Jest jedno zdjęcie Chelsea z pochyloną głową w czarnej sukience i wielkich przeciwsłonecznych okularach, stojącą nad podwójnym grobem. Wygląda tragicznie pięknie.

I bardzo samotnie.

Czując się wybitnie niezręcznie, zamykam laptopa i idę spać.



Jak już wspominałem, wierzę w rutynę, ściśle zarządzanie czasem i niezmienny harmonogram. Niedzielnny poranek spędzam u Sofii i Stantona, pijąc kawę i zajadając się brazylijskimi bułeczkami z serem. Brent żartuje z moich postępów randkowych, opowiadając o wieczorze zakończonym bez intymnych przygód. Stanton wspomina, że Presley ma kilka wolnych dni w szkole i wybiera się do niego z wizytą.

Około południa, gdy od nich wychodzę, jak co niedzielę udaję się wprost do domu opieki Brookside. Ten stary, zręczliwy Sędzia, który wyciągnął mnie z kłopotów, gdy miałem piętnaście lat, który dosłownie uratował mi życie, wyprostował mnie, dał mi wiarę, że mogę być kimś, właśnie tam mieszka.

Nie lubię mieć zobowiązań. Nie chcę mieć długów. Jednak te kilka, które mam, spłacam z wdzięcznością.

– Dzień dobry, Jake.

– Cześć, Mildred.

– Cześć, Becker.

– Jak leci, Jimmy?

Ważne, żeby pozostać w przyjaznych stosunkach z obsługą szpitala, kancelarii, szkoły lub domu opieki. To właśnie oni wykonują całą pracę, więc jeśli coś pójdzie nie tak, zajmą się najcięższą robotą, kiedy właściciele lub dyrektorzy będą chcieli zamieść sprawę pod dywan. Jestem z pracownikami tego domu po imieniu. Wpisuję się przy biurku w recepcji i idąc korytarzem, witam się z pielęgniarkami, które do niektórych pokoiów noszą na tacach leki, inne wożą pacjentów na wózkach na rehabilitację, zajęcia ze sztuki lub grę w bingo.

Grywałem już w bingo z seniorami. Grę biorą na poważnie. Może i są starzy, ale jeśli trafi ci się I-22, kiedy oni czekają na B-6, to bez mrugnięcia okiem zablokują cię i skopią tyłek.

Brookside to prywatny dom opieki. Należy do tych z górnej półki. Pokoje są gustowne, wygodne, przypominają hotel. Pracownicy są dobrze wykształceni i odpowiednio wynagradzani, więc traktują podopiecznych z szacunkiem, troską i godnością na jaką zasługują. Inne, publiczne ośrodki, w których podopiecznych lub ich rodzin nie stać na opłacenie pobytu, cóż... Powiedzmy, że w takim przypadku nie ma nic dobrego w spędzaniu swych złotych lat w takim miejscu.

Wchodzę do słonecznego pokoju Sędziego. Siedzi w skórzanym fotelu przy oknie, ubrany w brązowe spodnie i burgundowy sweter, a na nogach ma brązowe mokasyny.

Gęste, siwe włosy ma czyste i starannie zaczesane.

Nazywa się Atticus Faulkner, jednak dla mnie jest Sędzią. Nie zawsze był taki jak teraz. Jeszcze dziesięć lat temu wyglądał imponująco – wysoki, silny jak na siedemdziesięciolatka i aktywny. Miał zielone oczy, które przeszywały człowieka na wylot. Był sprawnym, żywym wykrywaczem kłamstw, posiadającym rozległą wiedzę prawniczą.

Był moim bohaterem.

Tym, kim chciałem zostać. Tym, kim mój prawdziwy ojciec nigdy nie był.

Jednak czasami życie jest okrutne. Sześć lat temu zdiagnozowano u niego zaawansowaną chorobę Alzheimera. Sędzia świetnie sobie radził z maskowaniem jej wczesnych objawów. Miał swoje sztuczki – notki na karteczkach i przypominajki – więc nikt się nie domyślał, że staruszek nie pamiętał, jaki był dzień. Czasami wracał z sądu pieszo, ale tylko dlatego, że nie pamiętał, gdzie zostawił samochód. Czasami godzinami siedział w kawiarni, bo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie mieszkał.

Byłem wtedy zajęty, studiowałem prawo. Powinienem był zauważyć, że coś było nie tak, ale umknęło mi to. Jednak kiedy nie było już wyjścia i musiał mi przyznać, co się z nim dzieje, wydawało mi się, że sprawy potoczyły się naprawdę szybko. W wyniku tego, twarzą jakiego znałem, mężczyzna, którego obawiałem się w najlepszym znaczeniu tego słowa, zniknął praktycznie z dnia na dzień.

Sędzia był starym kawalerem. Poślubiony pracy, ceniony i szanowany zarówno przez przyjaciół, jak i wrogów. Nie miał dzieci, trzymał się „starych przyjaciółek” – niektóre były młodsze, niektóre mądrzejsze, ale wszystkie piękne. Jednak z żadną się nie związał. Chodziło mu jedynie o miłe spędzenie czasu.

Okazało się, że takich pań nie interesowały odwiedziny starszego pana, który ich nie pamięta, który nie ma już do zaoferowania przystojnej twarzy, ciętego języka i zabawnych historii. Tak więc jestem jedynym odwiedzającym Sędziego. Oznacza to, że goszczę tu co tydzień: w deszcz, słońce czy zamieć śnieżną.

Czytam mu gazety, przekazuję najnowsze intrygi i anegdoty Waszyngtonu. Czasami rozmawiam z nim o pracy, kanciarzach, którym pomagam pozostać na wolności. Sędzia przeważnie tylko słucha, przytakuje, mówi, że historia jest ciekawa, choć wiem, że nic z niej nie rozumie. Jednak raz na jakiś czas widzę w nim iskrę, błysk rozpoznania w oczach. Czasami trwa to minutę, czasami dziesięć, ale przez ten krótki moment znów jest sobą. Pamięta mnie. Dobrze wiedzieć, że nawet w najgorszych dniach on wciąż gdzieś tam jest.

Dziś przygląda mi się, gdy wchodzę i wyciągam krzesło.

– Dzień dobry, Sędzio. Jak zdrówko?

– Dobrze, dziękuję. A twoje? – mówi uprzejmie, lecz z wahaniem. W sposób, w który człowiek zwraca się do kogoś obcego. Teraz jestem dla niego nieznanym.

– W porządku. – Rozwijam gazetę. – W czwartek Sąd Najwyższy zajmował się ustawą o opiece zdrowotnej. Rozmawialiśmy o niej w zeszłym tygodniu.

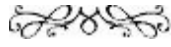
Rozgląda się, przyciska drżący palec do pomarszczonego policzka.

– Nie pamiętam. Jaka ustawa?

Otwieram pierwszą stronę.

– Przeczytam raz jeszcze, to dobry artykuł.

Przysuwa się, uważnie słuchając moich słów.



Po prasówce oglądamy mecz koszykówki. Sędzia wychowywał się na południu Bostonu, więc jest zagorzałym fanem Celtics. A przynajmniej kiedyś był. W trakcie meczu opowiadam, jak minął mi tydzień: o Miltonie Bradley’u i porażce na randce z Camille. Opowiadam także o Rorym McQuaidzie.

– Stał na końcu ulicy i patrząc mi w oczy pokazał środkowy palec. – Śmieję się, ponieważ teraz wydaje się to o wiele zabawniejsze. – Mały gnojek.

Sędzia również się uśmiecha.

– Znałem kiedyś takiego chłopca.

Mój uśmiech nieco słabnie.

– Tak?

Cała jego twarz się rozjaśnia.

– O tak! Był wspaniały. Bystry i uparty, naprawdę ciężki orzech do zgryzienia. Miał szare oczy koloru burzowego nieba. Mimo że wpakował się w kłopoty, stał przede mną z wyzywająco podniesioną głową, żebym odesłał go do poprawczaka. Jakby chciał napluć w twarz samemu diabłu. Jednak wiedziałem, że w głębi duszy był przerażony.

I byłem. Po raz pierwszy w życiu poznałem smak prawdziwego strachu.

– Był wyjątkowym, nieoszlifowanym diamentem. Zatem skazałem go na swój własny nadzór. Przez trzy lata byłem jego panem.

*Tak, trzy długie lata.*

– Musiałem nauczyć go kontrolować temperament. A miał go sporo. Zacząłem od trawnika. Za każdym razem, gdy spocony wracał i mówił, że skończył, szedłem to sprawdzić. – Macha palcem. – I zawsze znajdowałem miejsce, które ominął. Kazałem mu... – Stary drań zaczyna rechotać. – Kazałem mu wracać z... z...

– Nożycami ogrodowymi – podpowiadam.

– Tak! Z nożycami ogrodowymi. – Śmieje się głośno. – Nienawidził mnie przez pierwsze miesiące. Zapewne wymyślił z dziesięć różnych sposobów, żeby mnie zamordować.

*Tak naprawdę to ze dwadzieścia.*

– Po pracach ogrodowych przyszła kolej na porządki, później na naprawy. Było to dla niego dobre, ukierunkowywało całą jego energię. Nawet jeśli ciężko pracował, powtarzałem: rób dobrze...

*Albo sobie daruj.*

– ...albo sobie daruj. W końcu zacząłem go uczyć swojej pracy. Jak przeprowadzać poszukiwania, jak czytać ustawy. Kiedy jego kara dobiegła końca, zaproponowałem mu pracę. Płatny staż. – Sędzia stuka palcem w podbródek i kręci głową. – Miał doskonałą pamięć i intuicję. Wielki instynkt. – Wzdycha.

Swoją pomarszczoną dłonią chwyta mnie za rękę.

– Myślisz... myślisz, że mógłbyś go dla mnie znaleźć?

Nie mogę oddychać, czuję ucisk w gardle.

– Chciałbym mieć pewność, że nic mu nie jest. Sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje.

– Zielonymi oczyma patrzy mi w twarz.

Odchrząkuję głośno.

– Ehm... Ja... No... Znalazłem go. Sprawdziłem. Ma się świetnie, nie musi się pan martwić. Jest na dobrej drodze, żeby zostać partnerem w kancelarii. Prosił, aby przekazać, jak bardzo jest wdzięczny za wszystko, co pan dla niego zrobił. Za wszystko, czego pan go nauczył. – Mrugam, ponieważ pieką mnie oczy. – Ma nadzieję... Chciałby, żeby był pan z niego dumny.

Sędzia posyła mi spokojny uśmiech.

– Tak, jestem dumny. Zawsze był dobrym chłopcem.

Zapada między nami cisza. Wracamy do oglądania meczu. W pewnej chwili rozlega się pukanie i wchodzi Marietta, jedna z wolontariuszek. Niesie tacę z obiadem dla Sędziego.

– Dobry wieczór. Jak tam dzisiaj u was?

Marietta pochodzi z Jamajki, ma duże oczy, ciemną skórę, długie czarne włosy splecione w masę opadających na plecy warkoczyków. Jej ojciec był pensjonariuszem tego domu. Zmarł kilka lat temu, od tamtego czasu kobieta pracuje tu w ramach wolontariatu.

– Cześć, Marietto.

Ustawia tacę na stoliku na kółkach, a następnie przesuwa go.

– Jak minął tydzień Sędziego? – pytam cicho, gdy staruszek wciąż skupia uwagę na telewizorze.

– Całkiem dobrze – odpowiada. – W środę i w czwartek był mocno wzburzony, nie mógł spać. Lekarz zmienił mu lekarstwa. Od tamtego czasu jest dobrze.

Kiwam głową i łapię go za ramię.

– Sędzio. – Obraca się, a ja wskazuję mu jedzenie. – Pora na kolację.

Sędzia spogląda na talerz i się krzywi.

– Nie jestem głodny.

Kręcę głową.

– Niech pan nie kręci nosem, musi pan jeść. – Mieszam gulasz w misce. – Wiem, że to nie jest danie z wykwintnej restauracji, ale ładnie pachnie. – Przesuwam miskę w jego stronę. – Śmiało.

Drżącą ręką bierze łyżkę, wkłada do ust kęs mięsa i marchewkę. Przeżuując, patrzy na tacę, gdzie stoi czekoladowy pudding z bitą śmietaną.

– Wolę tamto. – Wskazuje.

– Pudding dostanie pan po obiedzie – mówię natychmiast.

Kiedy wkłada do ust kolejny kęs z drżącej w palcach łyżki, trochę sosu skapuje mu na podbródek. Delikatnie ocieram mu twarz serwetką, zanim jedzenie pobrudzi



ubranie.

– Naprawdę dobrze, że przychodzisz tu z nim posiedzieć, Jake – mówi z uśmiechem Marietta. – To bardzo ważne.

Wzruszam ramionami.

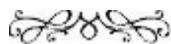
– To nic takiego. Po prostu próbuję się odwdziaczyć za lata dobroci, choć wiem, że nigdy nie będę w stanie.

Sędzia uśmiecha się do mnie, więc odpowiadam tym samym.

– Poza tym – mówię do Marietty – on już nikogo nie ma.

Kobieta ściska moją rękę.

– Oczywiście, że ma. Ciebie.



Środa mija spokojnie. Siedzę w fotelu za biurkiem i spoglądam przez okno na słoneczną ulicę w dole. Jakiś sfrustrowany dzieciak wyprowadza trzy psy, które nieustannie płaczą smycze, walcząc o prowadzenie. Przejeżdża piętrowy autobus wycieczkowy, zostawiając za sobą ciemną chmurę spalin. Biegnący ojciec pcha pomarańczowy wózek sportowy. Niemal wpada w szczekające psy, jednak w ostatniej chwili skręca wózkem na trawnik.

Może to dziecko w wózku, może długowłosy pies, a może fakt, że nie zaliczyłem żadnej panienki od trzech tygodni, jednak cała scena przywodzi mi na myśl Chelsea McQuaid.

Ponownie.

Ten sam obraz, który widzę za każdym razem, gdy walę konia, co ostatnio często mi się zdarza.

Te porażające niebieskie oczy, uśmiechnięte różowe usteczka, długa, jasna szyja, błagająca wręcz o polizanie, małe ciało, które z pewnością jest giętkie i jędrne, idealne cycuszki. Napominam się w myślach, ponieważ nie wziąłem od niej numeru telefonu.

Jest zbyt dojrzała i zbyt seksowna, żeby być dziewczyną, jednak jest w niej coś takiego, co wydawało mi się być czyste. Nietknięte. Nieodkryte. I z chęcią zająłbym się tym.

Przecieram oczy. Muszę znaleźć kogoś do łóżka. To całe randkowanie, żeby poznać kobietę jest większym wrzodem na dupie, niż kiedykolwiek zakładałem. Ryzyko choroby wenerycznej naprawdę jest tego warte?

Ale przypominam sobie, jak czułem się, czekając na wyniki badań. Pamiętam strach przed nieuleczalną chorobą lub taką, która skróciłaby moje życie. Do diabła, tak, jest tego warte.

Żaden seks, nieważne jak spektakularny, nie jest wart ryzyka śmierci.

Powinno być to wypisane na każdej ulotce w szkole średniej propagującej bezpieczny seks.

Moja sekretarka otwiera drzwi. Jestem wdzięczny za to rozproszenie uwagi, dopóki nie słyszę, że czeka na mnie niezapowiedziana klientka. Przypominając sobie jak taka wizyta skończyła się ostatnim razem, mam zamiar powiedzieć pani Higgens, żeby ją

pogoniła. Jednak kobieta dodaje:

– Ta pani nazywa się Chalsea McQuaid i ma ze sobą całe przedszkole.

Uśmiecham się z zadowolenia. Gdybym wierzył w znaki, ten byłby wielkim, błyszczącym neonem.

Poprawiam krawat.

– Proszę ich wpuścić, pani Higgens.





Chwilę później pani Higgins kieruje ich do mojego gabinetu. Pojawia się u mnie Chelsea wraz z hałaśliwym stadem bratanic i bratanków. Kobieta ubrana jest zwyczajnie, wygląda jak typowa mamuśka, jednak na tym ciele jest to niezwykle seksowne. Ciemnozielony sweter, który kontrastuje z jej kasztanowymi włosami. Obcisłe, niebieskie jeansy wpuszczone w wysokie, brązowe buty, podkreślają jej długie nogi i zgrabny tyłeczek. To miła niespodzianka. Przy pierwszym spotkaniu nie zauważyłem jej tyłka, jednak jest zarąbisty.

Poprawia uchwyt na nosidle dla niemowlaka i uśmiecha się zdenerwowana.

– Dzień dobry, panie Becker.

Wstaję zza biurka.

– Chelsea, dobrze cię znów widzieć. Co cię sprowadz... – Rozglądam się po twarzach w moim gabinecie, uświadamiając sobie, że kogoś brakuje. – Gdzie Rory?

Chelsea wzdycha. Zanim udaje jej się coś powiedzieć, zręczliwa nastolatka – czternastoletnia Riley – odpowiada za nią:

– Kretyn został aresztowany. Ukradł samochód.

– Samochód?

Przez tydzień gówniarz z kieszonkowca stał się złodziejem samochodów. Szybka kariera, nie ma co.

Mała, jasnowłosa Rosaleen kontynuuje:

– I go rozbił.

Dwulatka dorabia do tego efekty dźwiękowe:

– Broomksssz...

Mądrała Raymond dodaje:

– I nie jakiś tam samochód, tylko Ferrari 458 Italia Limited Edition. Jego ceny zaczynają się od jakichś dziewięciuset tysięcy dolarów.

Spoglądam na Chelsea, która przytakuje.

– Tak, to mniej więcej cała historia. Rory jest w areszcie dla nieletnich. Tym razem ma poważne kłopoty.

„Ten raz” oznacza, że były inne, nie tylko nieudana kradzież mojego portfela.

*Jezu, Chryste, młody.*

Chelsea wyjaśnia napiętym głosem:

– Na liście kontaktów mojego brata znajduje się kilkunastu prawników, jednak żaden z nich nie jest obrońcą. Dałeś mi wizytówkę. No i wydawało mi się, że jesteś dobry.

Pytam z czystej ciekawości:

– Dlaczego tak ci się wydawało?

Unosi głowę i patrzy mi w oczy.

– Wyglądasz na mężczyznę, który wie, jak się wygrywa. Tego właśnie mi trzeba.

Tego potrzeba Rory'emu.

Milczę przez chwilę, zastanawiając się i planując.

Chelsea musi interpretować moje milczenie jako odmowę, ponieważ mówi błagalnym tonem:

– Nie wiem, ile normalnie bierzesz za sprawę, ale mogę...

Unoszę palec, przerywając jej.

– Nie sędzę, aby było to konieczne. Poczekaj. – Wskazuję na Raymonda. – Ty, chodź ze mną. – Wskazuję na najstarszą dziewczynę. – I ty, Wesołku, też.

Idziemy do drzwi, a nastolatka mnie poprawia:

– Mam na imię Riley.

– Wiem, ale wolę nazywać cię Wesołkiem.

– Dlaczego? – pyta, jakbym powiedział najgłupszą rzecz, jaką w życiu słyszała.

Uśmiecham się.

– Bo jesteś ponura.

Rozpoczyna się przewracanie oczami.

Prowadzę ich do sąsiedniego gabinetu. Sofia Santos pochyla się nad biurkiem, notuje coś w dokumentach. Unosi głowę, gdy wchodzimy.

– Cześć, Sofia. – Wskazuję kciukiem nadąsaną dziewczynę za mną. – To Wesołek McQuaid, jej ciotka jest moją nową klientką i przez kilka godzin muszę się zająć jej sprawą. Mogę ci ją zostawić?

Córka Stanton, Presley, ma niemal trzynaście lat, wnioskuje więc, że jeśli ktokolwiek w tej firmie potrafi poradzić sobie z nastolatką, to Sofia.

– Jasne. I tak zamierzam spędzić tu całe popołudnie.

Riley przestępuje z nogi na nogę.

– Mam na imię Riley.

Sofia uśmiecha się do niej.

– Cześć, Riley. – Wskazuje na fotel w rogu, przy ścianie. – Tam masz ładowarkę do telefonu.

Riley niemal się uśmiecha. Niemal.

– Spoko.

Spoglądam na towarzysza Sofii, który przegląda zdjęcia na swoim laptopie.

– Brent, to Raymond. Raymond, to Brent. Możecie się przez chwilę nawzajem popilnować?

Brent przytakuje, po czym z ekscytacją chłopaka oglądającego swój pierwszy horror w życiu, pyta Raymonda:

– Chcesz zobaczyć zdjęcia z masakry?

Chłopiec podchodzi do niego.

– Wygląda tak dobrze, jak brzmi?

– Leepiej.

– Jasne!

Zadanie wykonane.

Zaglądałam do swojego gabinetu i kiwam palcem na Rosaleen. Mała patrzy na ciocię, czekając na pozwolenie, następnie podbiega do mnie. Stoję już przed biurkiem pani Higgens.

– Pani Higgens, to Rosaleen. Zajmie się nią pani przez chwilę? Muszę jechać do sądu z jej ciotką.

Rosaleen nieśmiało spuszcza głowę, a pani Higgens odsuwa krzesło obok siebie.

– Oczywiście. Mam wnuczkę w twoim wieku, Rosaleen. Malujemy razem, kiedy mnie odwiedza. Lubisz kolorowanki?

Rosaleen kiwa energicznie głową, wskakując na krzesło.

Wracam do gabinetu, gdzie czeka Chelsea wraz z dwoma najmłodszymi szkodnikami. Wskazuję na nich.

– Tych dwoje wygląda na prawdziwe utrapienie, więc idą z nami.

– Ceść! – odpowiada dwulatka z pozornie słodkim uśmiechem.

– O nie, nie dam się znowu na to nabrać.

Biorę od Chelsea nosidło, które niemal upuszczam.

– Wow – mówię, patrząc na dziecko. – Jesteś cięższy, niż wyglądasz. – Chłopiec odpowiada gaworząc i się śliniąc.

Obracam się do kobiety.

– Ty bierzesz Ceść. Idziemy.

Zatrzymuje mnie jej głos. To szept, ciche pytanie:

– Jake?

Pierwszy raz wypowiada moje imię. Jedna prosta sylaba, a ściska mi się żołądek. Chciałbym ponownie to usłyszeć z jękiem, z dyszeniem. Wykrzyczane w ekstazie.

– Zanim wyjdziemy, mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

Przygląda mi się ze szczerym zainteresowaniem, jakby próbowała przejrzeć mnie na wylot.

– Jeśli nie chodzi o pieniądze, to dlaczego nam pomagasz?

To dość interesujące pytanie. Nie jestem szlachetnym typem. Jestem raczej samolubny. Więc właśnie, dlaczego im pomagam?

Oczywiście dlatego, że chcę jej się dobrać do majątek. Wyświadczenie Chelsea przysługi jest do tego najkrótszą drogą. To naprawdę nie jest aż tak skomplikowane.

Wzruszam ramionami.

– Lubię beznadziejne przypadki. – Dłużej nie potrafię się powstrzymać i muskam palcem jej kremowy policzek. Jest bardziej miękki, niż to sobie wyobrażałem. – Lubię też ładne dziewczyny.



Schodzimy do samochodu. Chelsea zapina dzieci w fotelikach, ja w tym czasie sprawdzam jej furgonetkę. Jej gigantyczną, granatową furgonetkę. Kobieta zauważa, że się przyglądam, więc mówi:

– To samochód mojego brata.

Unoszę brwi.

– Twój brat, lobbysta na rzecz ochrony środowiska, jeździł takim paliwożernym potworem?

Wskakuję za kierownicę.

– Przy szóstce dzieci rower raczej by się nie sprawdził.

Daję jej wskazówki, jak dojechać do Sądu Moultrie, do którego został przewieziony Rory po porannym aresztowaniu. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w prawie rodzinnym, ale jestem na tyle zaznajomiony z literą prawa, że powinienem wprowadzić we wszystko Chelsea.

– Rory dostanie kuratora, który przedstawi mu zarzuty, opowie o jego historii i zaproponuje prokuratorowi karę. To on zdecyduje, czy wypuści Rory'ego do domu, czy aż do rozprawy każe mu siedzieć w poprawczaku. Właśnie z nim przyjdzie mi zawrzeć ugodę.

Dobra wiadomość jest taka, że jedną z kuratorek znam intymnie. Ładowaliśmy w łóżku dość często, przynajmniej do jej zaręczyn. Rozstaliśmy się w przyjaznej atmosferze.

Chelsea marszczy czoło.

– Prokuratorowi?

– Tak, prokurator będzie oskarżycielem w tej sprawie, ale nie martw się, nie zajdzie ona aż tak daleko.

Sąd nieletnich różni się od tego dla dorosłych. System wciąż ma nadzieję na rehabilitację oskarżonych. Chodzi o przywracanie ich społeczeństwu. Ratowanie, zanim zabrną za daleko w mrok, w ciemną uliczkę bez powrotu. W sprawach karnych najważniejszym pytaniem jest: czy oskarżony popełnił zarzucane mu czyny? W sądzie rodzinnym chodzi raczej o ustalenie, dlaczego nieletni zrobił to, co zrobił. Osierocony dziewięciolatek, który nie radząc sobie ze śmiercią rodziców kradnie samochód, dostanie więcej współczucia niż prowadzący pod wpływem alkoholu osiemnastolatek.

Sąd Moultrie to straszny betonowy budynek z przepastnym labiryntem korytarzy. Mijamy ochronę, po czym zostajemy wprowadzeni do poczekalni, w której znajdują się nijakie stoły i krzesła oraz automaty z kawą i słodyczami. W pomieszczeniu przebywa kilka innych osób, rozmawiają szeptem ze zwieszonymi głowami.

Siadamy z Chelsea przy pustym stole. Stawiam nosidło ze śpiącym maluchem na blacie, blondwłosa Regan wierci się na kolanach mojej towarzyszki. W końcu drzwi się otwierają, do pokoju zostaje wprowadzony Rory, który wciąż ma na sobie szkolny mundurek: brązowe spodnie, białą, elegancką koszulę i granatowy blezer.

Ma zaciśnięte usta, a w jego ciemnoniebieskich oczach jest tyle niechęci, że praktycznie słyhać, jak myśli: „Pieprzę was wszystkich”. To nie jest smutna mina zagubionego młodego człowieka, który wie, że nabroił. To gniewna twarz aniołka, desperacko próbującego udawać twardziela, który wolałby smażyć się w piekle, niż przyznać, że źle postąpił.

Przez sekundę zastanawiam się, czy mu pomagać. Spędzenie kilku dni

w poprawczaku byłoby dla niego dobre, ale Chelsea ściska go i całuje w czoło. Patrzy na niego z mieszaniną ulgi i żądy mordy.

– Dzięki Bogu, nic ci nie jest! Wszystko będzie dobrze, Rory, nie musisz się bać. Coś ty sobie, u licha, myślał? Samochód? Nigdy już nie wyjdiesz z pokoju. Nigdy!

Opieram się wygodnie plecami o oparcie krzesła, po prostu się przyglądając.

Mały ostro wyrywa się z jej ramion.

– Spadaj. Nic mi nie jest. To nic takiego.

– Nic takiego? – Chelsea się krzywi, widzę, że ją to zabolalo. – Mogłeś zginąć w wypadku lub zabić kogoś innego.

– Ale wszyscy żyją, tak? Przestań panikować.

Wystarczy tego przedstawienia.

– Chelsea, przynieś Regan coś do picia. – Wręczam jej wyciągnięte z portfela pieniądze. Kobieta się waha. Ruchem głowy wskazuję na Rory'ego. – Daj nam chwilę.

Wciąż niepewna, stawia dwulatkę na podłodze i w końcu odchodzi.

Kiedy zostajemy sami, Rory zajmuje jej miejsce.

– Co tu robisz?

– Twoja ciotka chciała mieć dobrego prawnika. Na twoje szczęście jestem najlepszy, do tego mam wolne popołudnie.

– Jak tam sobie chcesz.

Taksuję go groźnym spojrzeniem.

– Wpadłeś w gówno po uszy, młody.

Pewny, że pozjadał wszystkie rozumy, prycha:

– Mam dziewięć lat, co takiego straszego mogą mi zrobić?

– Trzymać cię w poprawczaku przez następne dziewięć lat. Albo co najmniej wpakować do pudła – odpowiadam prosto z mostu.

Po raz pierwszy odkąd wszedł do tego pomieszczenia, jego pewność siebie traci na sile. Ze zdenerwowania policzki przybierają czerwoną barwę, a głos unosi się o oktawę, gdy chłopak mówi:

– Tu wcale nie jest źle.

To niewielkie pęknięcie w fasadzie, ale jednak szpara.

Nie mam czasu na głaskanie go po głowie. Przysuwam się i wyjaśniam:

– Oto, co się stanie: zawołam twoją ciotkę, a ty przeprosisz ją za to, jak się odezwałeś.

Tego się nie spodziewał.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie zasłużyła na takie chamstwo.

Niemal zawstydzony spuszcza wzrok. Może jest jeszcze nadzieja dla tego gnojka.

– Potem będziesz tu siedział – wskazuję na miejsce – i pozwolisz się ściskać i całować.

Unosi głowę, nie chcąc jeszcze rezygnować z walki.

– A co jeśli nie?



Patrzę mu prosto w oczy.

– Wtedy pozwolę ci tu zgnić.

Nie żartuję.

Mały nie wygląda na zadowolonego, najwyraźniej nie lubi być przypierany do muru.

Chciałby mieć władzę, zrobić mi na przekór, byle tylko nie wykonać rozkazu.

Wiem, jak się czuje. Znam tego dzieciaka na wylot.

Szuka własnego wyjścia z sytuacji, sposobu, żeby zrezygnować z walki bez uczucia, że ją przegrał. Zatem mu je podsuwam:

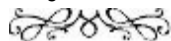
– Nie musisz mi pokazywać, jaki jesteś twardy, Rory, widzę to. W twoim wieku byłem taki sam. Byłem upartym, wkurzonym małym gnojkiem. Różnica jest jednak taka, że byłem na tyle mądry, żeby nie mieszać z głównym ludzi, którym na mnie zależało. – Unoszę brwi. – A co z tobą?

Przygląda mi się. Rozważa, czy mówię prawdę, czy tylko protekcyjnie się wymądrzam. Po chwili poddaje się nieco, kiwa głową i cicho przyznaje:

– Dobra. Przepraszę ciocię Chelsea. I pozwolę się tulić i całować, jeśli ma ją to uszczęśliwić.

Uśmiecham się.

– Dobrze. Bystry i twardy. Już cię lubię, młody.



Zostawiam Chelsea z dzieciakami i idę na górę do gabinetu kuratora. Pukam do drzwi Lisy DiMaggio, choć są otwarte. Kobieta obraca się w fotelu, a długie, jasne włosy falują jej na ramionach.

– Jake Becker. – Wstaje, przez co mam widok na smukłe, opalone nogi. Ścisła mnie. Pozostanie z nią w przyjacielskich stosunkach z pewnością ma swoje zalety. – Co robisz w mojej pieczarze? – pyta z uśmiechem, odsuwając się. – A może to wizyta towarzyska?

– Przyszedłem w sprawie klienta.

– A od kiedy to bawisz się w sądzie rodzinnym?

– Długa historia. – Wzruszam ramionami. – Młody nazywa się Rory McQuaid.

– Ach. – Bierz z biurka dokumenty. – Mój złodziejaszek samochodów. Przeprowadziłam rano wywiad. Mówi, że wziął to auto, bo, cytuję: „chciał zobaczyć, czy prowadzenie samochodu jest tak samo łatwe jak kierowanie gokartem na konsoli”.

– Kręci głową. – Dzisiejsze dzieciaki.

Opieram się o ścianę.

– Nie dlatego wziął to auto. Istnieje szereg okoliczności łagodzących.

– Zatem mnie oświeć. Nie miałam jeszcze możliwości porozmawiania z rodzicami.

– Rodzice nie żyją – mówię. – Robert i Rachel McQuaid zginęli w straszliwym wypadku samochodowym dwa miesiące temu, pozostawiając Rory’ego wraz z piątką rodzeństwa na łasce ich ciotki, jedynej żyjącej krewnej.

Lisa opada na fotel.

– Jezu.

– Sytuacja nie jest ciekawa, a on sobie z nią nie radzi, ale nie należy go zamykać. Porozmawiaj z jego opiekunką społeczną, załóżę się o lewe jajo, że stwierdzi, iż do wypadku rodziców był aniołkiem.

– To poważna sprawa, wiem jak cenne są twoje jaja.

Przytakuję.

– Niestety. – Lisa wzdycha. – Rory wybrał niewłaściwy samochód. – Wymienia nazwisko wpływowego i zepsutego byłego kandydata na prezydenta. – Facet chce pograżyć dzieciaka.

– Pieprzyć go – warczę. – Poza tym gość, który ma ambicje sprawować publiczny urząd, nie powinien jeździć takim samochodem.

Nie wiem, czy to dlatego, że lecę na ciotkę tego dzieciaka, czy dlatego, że on tak bardzo przypomina mi samego, ale jeśli ktokolwiek będzie chciał go skrzywdzić, będzie miał do czynienia najpierw ze mną.

– Dobra – mówi Lisa. – Co proponujesz?

– Zasadzenie terapii raz w tygodniu. Co miesięczne raporty z postępów.

– Dwa razy w tygodniu – licytuje się. – I ja wybieram terapeutę. Żadnych szarlatanów od dobrego samopoczucia.

– Biorę.

Wzrok Lisy ląduje na mojej pachwinie.

– Zaskakujesz mnie, Jake. Nie pamiętam, żebyś był taki miękki.

Przysuwam się, opieram dłonie na podłokietnikach jej fotela, żeby uwięzić ją w swoich ramionach.

– „Miękki” nie znajduje się w moim słowniku, wciąż jestem twardy. – Uśmiecham się. – Tu i tam.

Spogląda na moje usta.

– Dobrze wiedzieć, szczególnie, że zerwałam z Tedem. – Pokazuje palec, na którym nie ma już pierścionka.

Lisa zdecydowanie zapisuje się w kategorii „znane”, co oznacza brak krępujących randek, brak kolacji i odpowiadania na pytania, na które nie chcę odpowiadać. Nie, z nią kierunek jest wprost na łóżko.

Wybornie.

– To długa historia – mówi – której zapewne nie chcesz słuchać.

Tak, Lisa dobrze mnie zna.

– Wciąż lubisz tequilę? – pytam.

– Oczywiście. Nadal masz mój numer?

– Mam.

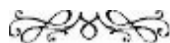
Jej uśmiech jest powolny i pełen obietnic.

– Dobrze. Wykorzystaj to.

Podnoszę się i idę do drzwi.

– Tak zrobię.

– Już się biorę za wypisywanie dokumentów.



Kilka godzin później, po uzyskaniu zgody z opieki społecznej i szybkim wystąpieniem przed obojętnym sędzią, Rory wychodzi z nami z sądu. Wracamy po jego rodzeństwo do kancelarii. Wszyscy wydają się być szczęśliwi na jego widok, nazywają go czule „głupim kretynem” i z entuzjazmem pytają o pobyt w „więzieniu”. Jest już wieczór, kiedy odprowadzam Chelsea wraz z podopiecznymi do samochodu. Czekam przy drzwiach kierowcy, a ona zapina każdego pasami.

Staje przede mną z wypisaną na twarzy wdzięcznością. Ponownie uderza mnie, jak gładka jest jej skóra, oświetlana przez pobliską latarnię.

Cholernie wspaniała.

Z tak bliskiej odległości dostrzegam piegi na grzbiecie jej zadartego nosa i zastanawiam się, czy ma je gdzie indziej. Chciałbym się kiedyś o tym przekonać. Jestem gotowy na tę powolną, wyczerpującą pracę.

Zakłada włosy za ucho.

– Bardzo ci dziękuję, Jake. Nie wiem, co bym zro...

– Ciociu Chelsea, jestem głodna.

– Możemy wstąpić do McDonalda?

– Wiesz, co tam podają? Nawet robaki nie chcą tego jeść.

– Zamknij się, Raymond! Chciałem zjeść w *fast foodzie*!

– Sama się zamknij!

– Nie, to ty się zamknij!

– Ciociu Chelsea!

– Ceść!

Wybucham mimowolnym śmiechem, zastanawiając się, czy Chelsea ma zatyczki do uszu.

Wzdycha głośno.

– Powinam jechać, zanim pozjadają się nawzajem.

– To może nie byłoby najgorsze. Jest ich tyle, że to nie byłaby strata.

Kręci głową, wskakuje za kierownicę, po czym opuszcza szybę i mówi:

– Jeszcze raz dziękuję. Jestem ci wiele winna, Jake.

Klepię bok furgonetki, gdy powoli rusza.

– Tak, jesteś.

To dług, którego rewanżu nie mogę się doczekać.

Już niedługo...





Ciepłe usta ssą skórę na mojej szyi, zęby skubią, język liże. Paznokcie drapią mnie po piersi i brzuchu, wyznaczając szlak, który wiedziony potrzebą, prowadzi wprost do mojego podbrzusza. Zręczne palce rozpinają guziki koszuli, przez co krew odpływa mi w dolne rejony.

Minęło tak dużo czasu, zbyt dużo, jednak posucha dzisiaj się kończy.

*No nareszcie.*

Obejmuję jej twarz, ostro atakuję ustami jej wargi. Wsuwam w nie język i zataczam koła, smakując tequilę. *Taka dobra.*

Zadzwoiłem do Lisy DiMaggio w piątek po południu. Ponieważ uczę się na błędach, zapytałem o jej rozstanie z Tedem. Nie było spowodowane zdradą. Zapytałem również, czy się ostatnio badała. Na szczęście wyznała, że wyniki wyszły ujemne. Poczułem się tak, jakby świat mówił mi: „Wystarczająco się już wycierpiałeś, biedaku”.

Umówiliśmy się na wieczór w jej mieszkaniu, więc przyniosłem dla niej butelkę Patróna, dla siebie czerwone wino, dlatego będę musiał zostawić samochód.

Lisa rozchyła moją koszulę, muskając palcami moją pierś i ramiona.

– Boże, te tatuaże – jęczy z zachwytem, wodząc po rysunkach najpierw palcami, a następnie językiem. – Są tak cholernie seksowne. Uwielbiam je.

Skupiam się na płatku jej ucha, pocierając go językiem niczym łechtaczkę. Śmieję się.

– Myślałem, że bardziej lubisz mojego fiuta.

Chichocze tuż przy mojej skórze.

– Najwyraźniej musisz odświeżyć mi pamięć.

Dla mnie bomba.

Już mam zacząć ją rozbierać, gdy rozświetla się ekran mojej komórki i wibracje rozchodzą się po całym blacie. Zerkam na nią, ale nie rozpoznaję numeru, więc pozwalam, żeby włączyła się poczta.

Pieszczę jej piersi przez bluzkę. Jasne włosy zsuwają się z jej ramion, gdy Lisa wygina się w tył i jęczy.

Komórka odzywa się ponownie. To ten sam numer.

*Co, do kurwy nędzy?*

Odsuwam się.

– Powinienem odebrać.

Lisa wzrusza ramionami i nalewa sobie kolejny kieliszek tequili, liże dłoń, na którą sypie sól. Chwytam za telefon.

– Becker.

– Cześć! Tu Paul Noblecky, jak się miewasz?

*Jeszcze dwie minuty temu miałem się o wiele lepiej.*

– Jestem zajęty. – Zerkam na zgrabne uda Lisy, w miejsce, gdzie kończy się jej

czarna sukienka, gdzie naprawdę chciałem się teraz znaleźć. – Streszczaj się, czego ci trzeba, Paul?

– Cóż, wpadliśmy dzisiaj na imprezę w Cambridge Place. To licealiści, rodzice wyjechali. Niektóre z tych dzieciaków były mocno wstawione, więc wzięliśmy je na posterunek, żeby trzeźwiejąc poczekali na opiekunów. Jedna z dziewczyn nie chce podać nazwiska, wręczyła mi jedynie twoją wizytówkę. Twierdzi, że jesteś jej adwokatem, Becker.

Przewracam oczami, bo już wiem o co chodzi.

– Niech zgadnę: brązowe, kręcone włosy, niecały metr sześćdziesiąt, niebieskie oczy i wkurzona postawa?

Noblecky się śmieje.

– Tak, to ona.

Pocieram czoło, czując zbliżającą się migrenę. Zsiniałe jaja najwyraźniej zaczynają oddziaływać na moją głowę.

– Ma na imię Riley. Prawną opiekę sprawuję nad nią ciotka. – Podaję numer telefonu Chelsea, który dostałem w środę.

– Dzięki, Becker. Zadzwoń do ciotki, niech ją odbierze.

Jest późno, po północy, jednak nie mam zamiaru się zastanawiać, jak Chelsea wyciągnie pozostałe dzieciaki z łóżek, wliczając w to dwulatkę i niemowlaka. Jak je ubierze i zapnie w fotelikach. Po ciemku. Całkiem sama.

To nie jest mój pieprzony problem. Moim zmartwieniem jest twardy jak skała członek, który zapewne udusi mnie we śnie, jeśli wkrótce nie zapewnię mu rozrywki.

Odkładam telefon i siadam się na kanapie obok Lisy. Uśmiecha się do mnie, lekko wstawiona.

– Praca?

– Tak, ale nic ważnego.

Kładzie mi rękę w krocze.

– Nie tak ważnego jak to.

Wypycham biodra w kierunku jej dłoni i się pochylam.

– Lubię kobiety z klarownymi priorytetami.

Ponownie się całujemy. To miłe.

Ale nie potrafię wyrzucić w głowy obrazu Chelsea z dziećmi. Mała blondynka z wielkimi, niebieskimi oczami, zaspany Raymond mrużący oczy za okularami. Wyobrażam sobie ich przyjazd na posterunek, to niebyt bezpieczna okolica, zwłaszcza po północy. Wyobrażam sobie Chelsea za kierownicą, ziewającą, mogącą nie zauważyć nadjeżdżającego auta, przekraczającą środkową linię, aż...

– Cholera! – Odsuwam się, dysząc ciężko. – Muszę jechać.

– Co? – jęczy z zawodem Lisa. – Nie... nie, zostań. Ważne rzeczy, pamiętasz? Wszystkie te cudowności, które zamierzamy zrobić. One są ważne.

– Wiem. Przepraszam. – Naprawdę bardzo mi przykro. – Coś się stało i muszę osobiście się tym zająć.

Lisa odchyła się w tył, układa głowę na oparciu kanapy, wciąż nakręcona i wkurzona.

– Zabijasz mnie, Becker.

Wstaję i zapinam koszulę. Mój fiut nie jest zadowolony.

– Przełożymy to?

– Jasne. – Lisa wzdycha, po czym uśmiecha się nonszalancko. – Przynajmniej rozgrzałeś mnie dla Pana Fioletka. Zabawiając się z nim, będę myśleć o twoich tatużach.

– Pana Fioletka?

– To mój ulubiony wibrator.

Jęczę na to wyobrażenie.

– Teraz to ty mnie zabijasz.

Puszcza do mnie oko.

– To mój diaboliczny plan. – Przysuwa się i całuje mnie w policzek.

– Zadzwoń.

– Zadzwonię.

Wychodzę, idąc do samochodu wyciągam komórkę i wybieram numer Chelsea.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Halo?

– Chelsea, tu Jake.

– Cześć. – Mówi cicho, ale wyczuwam zdenerwowanie, więc domyślam się, że jest w pobliżu śpiących dzieci.

– Dzwonił do ciebie Noblecky i poinformował o Riley?

– Tak. Nakarmię Ronana, obudzę resztę i wsadzę do samochodu...

– Nie trzeba, już jadę. Jako jej adwokat oddadzą mi Riley pod opiekę.

Przez chwilę słyszę jedynie miękki dźwięk oddechu Chelsea. Chryste, ta kobieta nawet oddech ma seksowny. Gdyby wciąż mi nie stał, zeszytniałby w tej chwili.

– Jake, nie musisz tego robić.

– Wiem, że nie muszę, ale i tak to zrobię. – Milknę, bo wyszło to ostrzej, niż zamierzałem. – Po prostu podziękuj i się rozłącz.

– Dobrze, cóż... dzięki. Nawet jeśli bez powodu masz zamiar się czepiać i tak ci na to pozwolę, ponieważ wyświadczasz mi gigantyczną przysługę.

Śmieję się.

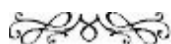
– To był frustrujący wieczór.

– Ach, teraz już wiem, o co ci chodzi.

Założę się, że wie.

– Do zobaczenia wkrótce, Chelsea.

– Czekam. Jedź ostrożnie.



Przyjeżdżam na posterunek, gdzie wypełniam dokumenty i czekam przy dyżurce na Riley. Przychodzi Noblecky, rzuca kilka niewybrednych komentarzy na temat mojej

kariery niańki, ale choć tak naprawdę go nie słucham, jego uwagi skłaniają mnie do myślenia. Co ja tu, u diabła, robię? Nie lubię komplikacji, unikam rozpraszania. Przynajmniej do tej chwili ta strategia dobrze mi się sprawdzała.

Chelsea wygląda na apetyczną, ale okazuje się, że te jej dzieciaki są bardziej absorbujące niż to wszystko warte jest wysiłku.

W końcu Riley zostaje przyprowadzona z pomieszczenia na tyłach. Jest blada jak trup i ledwo stoi na nogach. Ma potargane, mokre włosy. Zastanawiam się, czy na nie narzygała. Czarny tusz zdążył się rozmazać pod przekrwionymi oczami. Trzyma butelkę napoju energetycznego i papierową torebkę, podobną do tych, które znajdują się w samolotach.

– Cześć – odzywa się ochryplym głosem. – Dzięki, że po mnie przyjechałeś.

Litość odzywa się w mojej piersi. Nie tylko pamiętam, jak to jest mieć takiego kaca – najokrutniejsze doświadczenie w życiu – ale pamiętam również, jak to jest mieć czternaście lat.

Jest do bani.

– Chodź, Wesołku, jedziemy do domu.

Dziewczyna nie ma nawet siły przewrócić oczami.

Prowadzę ją do samochodu, ostrzegając po drodze:

– Narzygasz w środku, a wrócisz na piechotę.

Wskakuję za kierownicę i uruchamiam silnik. Riley zaciska powieki, jakby od samych wibracji samochodu było jej niedobrze.

– Dlaczego nie chciałaś podać numeru ciotki? – pytam, żeby odwrócić jej uwagę.

– Ciocia Chelsea i tak ma już wiele na głowie. Nie chciałam robić jej problemu.

*Ale mnie to już możesz, co?*

Wyjeżdżam z parkingu.

– Co tam piliście?

– Jägermeistera – jęczy, przysuwając do ust torebkę.

Wybucham głośnym śmiechem.

– Mam nadzieję, że ci się podobało, bo są spore szanse, że już nigdy nie weźmiesz go do ust.

Jeśli chodzi o zatrucia słabym alkoholem, ciało może wiele wybaczyć, ale żołądek nigdy, przenigdy nie zapomina.

Zatyka usta dłonią, żeby nie wymiotować, oddycha powoli i głęboko.

– To scena, w której pouczasz mnie na temat nieletnich i alkoholu?

Staję na czerwonym świetle.

– Nie. I tak wiesz już, że głupio postąpiłaś, nie muszę ci o tym przypominać. Choć jestem ciekawy, co cię skłoniło do aż takiego upojenia?

Mówi wolno i ostrożnie, jakby obawiała się, że wypowiedanie słów zbyt głośno zaburzy delikatną równowagę, która utrzymuje na miejscu zawartość jej żołądka.

– Imprezę urządził Matthew Applegate. Powiedział mi o niej dzisiaj w szkole. Chodzi do czwartej klasy, jest przystojny, idealny i wydawało mi się, że był mną



zainteresowany.

Niczym zapałka, rozpała się we mnie gniew, ponieważ dobrze wiem, dlaczego ten szczył się nią interesował.

– Ale kiedy tam przyszedłam – szepcze – leciał na Samanthę Frey.

– Założę się, że Samantha ma kiepską reputację. Duże cycki, ładna buźka, prawdopodobnie jest cheerleaderką, co?

Riley przytakuje.

– Była królową szkolnego balu.

O rany.

– Właśnie wtedy zaprzyjaźniłaś się z Jägerem?

Ociera twarz.

– Czułam się wtedy szczęśliwa. Nie myślałam już o Matthew ani o moich... Na niczym mi nie zależało.

Wzdycham przeciągle i postanawiam udzielić jej rady:

– Riley, chłopcy w twoim wieku naprawdę nie są wari twojego czasu. Są samolubni i głupi. Choć to nie ich wina. Są po prostu tak zaprogramowani. Mimo to nie są dobrzy. Myślę, że powinnaś trzymać się od nich z daleka, przynajmniej dopóki nie skończysz dwudziestu pięciu lat. Albo... myślałaś, czy nie zostać lesbijką?

Patrzy na mnie tępo.

– Obrażasz mnie.

Unoszę rękę.

– Chciałem pomóc.

Riley obraca się, patrząc przez szybę. Chwilę później widzę, jak drży jej podbródek i ramiona.

Problem polega na tym, że nie mam wielkiego doświadczenia z płaczącymi kobietami. Robiłem, co mogłem, żeby unikać sytuacji, z którymi wiązały się łzy. Gdybyście nie zauważyli, empatia nie jest moją mocną stroną. A płacząca nastolatka? To trochę jak spotkanie z Yeti – czytałem w gazetach, oglądałem w telewizji, ale to pierwszy raz, gdy widzę coś takiego na własne oczy.

Ociera twarz rękawem.

– Tęsknię za rodzicami.

Ściska mi się pierś. Żal mi jej.

– Wiem, że tak jest.

– Chciałabym, żeby tu byli. – Pociąga nosem.

– Co powiedziałybyś im, gdyby byli? – Wjeżdżam na podjazd ich domu, gdzie parkuję.

Riley zastanawia się nad moim pytaniem, po czym lekko się uśmiecha.

– Zapytałabym, jak to jest możliwe, że nie spodobałam się Matthew. Zawsze byli ze mną szczerzy, wiesz? Powiedzieliby mi prawdę.

Przyglądam się jej twarzy. Wygląda ładnie, nawet kiedy jest zmęczona i rozżalona. Widzę w niej ogień i zadrzotność, która przyda się, kiedy już dorośnie. Widuję ją we

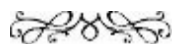
współpracowniczkach – kobietach takich jak Sofia. Pewnego dnia Riley McQuaid będzie siłą, której nie da się powstrzymać.

– Ja też mogę powiedzieć ci prawdę – mówię, wzruszając ramionami.

Obraca się do mnie.

Delikatnie ocieram jej mokry policzek.

– Matthew jest skończonym idiotą.



Chelsea otwiera drzwi, zanim mam szansę zapukać. Wygląda cholernie seksownie w zmierzwionych włosach i tych swoich okularach na nosie. Ma na sobie czarną koszulkę na ramiączkach i czerwone, jedwabne spodnie od pizamy. Mój fiut wciąż jest na mnie wkurzony, ale na widok jej dekoltu zastanawia się, czy mi nie wybaczyc. Kiedyś.

– Naprawdę musimy przestać spotykać się w takich okolicznościach – mówi, a jej pełne usta układają się w niewielki uśmiech.

Riley ściska ją mocno.

– Przepraszam, ciociu.

Kobieta głaszcze ją po włosach.

– Nic się nie stało. – Obraca głowę z obrzydzeniem. – Narzygałaś sobie na włosy?

– Tak – jęczy żałośnie Riley.

Chelsea obejmuje jej twarz.

– Idź do łóżka, porozmawiamy o tym rano. Przedyskutujemy twój szlaban. –

Wskazuje ruchem głowy na salon. – Wejdz, Jake. Za chwilę do ciebie przyjdę.

Nie musi mi tego powtarzać.

Jakieś dwadzieścia minut później Chelsea wraca do salonu.

– Było chłodno, więc napaliłem w kominku. – Wskazuję płomień lizące drewno w ceglanej obudowie. Ciepło rozchodzi się po pomieszczeniu, żywy ogień trzaska kojąco. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Wpatruje się w kominek, jak kobieta w tort czekoladowy dzień po rozpoczęciu diety.

– Ależ skąd. Dziękuję. Będziesz mi musiał pokazać...

*Co tylko chcesz, kotku. Pod koszulką, pod spodniami, powiedz tylko słowo.*

– ...jak to się robi, bo próbowałam, ale nie chciał się rozpalić. – Pomarańczowe płomienie tańczą w jej oczach, gdy na mnie spogląda. – Byłam okropną harcerką.

– Napijesz się wina? – Wskazuję na butelkę Merlota stojącą na stole.

Wygląda na zdezorientowaną.

– Robbie i Rachel nie trzymali w domu alkoholu.

– Miałem ją w samochodzie.

Uśmiecha się.

– Wow. Wino, ogień w kominku... Chcesz mnie uwieść? Masz też świece w bagażniku?

– Pomyślałem, że przydałaby ci się lampka wina w połączeniu z miłą rozmową.

Mam wrażenie, że Chelsea od dłuższego czasu nie rozmawiała z nikim dorosłym.

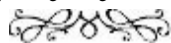
– Z wielką chęcią. – Wzdycha. – Przyniosę kieliszki. – Podchodzi do drzwi prowadzących do kuchni, ale zatrzymuje się przed nimi. Spogląda na mnie przez ramię, a jej kasztanowe włosy wydają się rude w świetle płomieni z kominka. Unosi brwi. – Ale nie starasz się mnie uwieść, co?

Patrzę jej w twarz i puszczam do niej oko.

– Tego nie powiedziałem.

– Dobrze wiedzieć.

Obraca się i idzie do kuchni, kręcąc przy tym swoim apetycznym tyłeczkiem.



Dłuższą chwilę później dorzucam drewna do kominka i nalewam drugą lampkę wina. Chelsea siedzi z podwiniętymi nogami, jedną ręką trzyma kieliszek, łokieć drugiej opiera na kanapie, podtrzymując głowę na dłoni. W tej pozycji doskonale widać jej długą szyję, hipnotyzuje mnie puls bijący tuż pod jej skórą. Czuję się jak wampir. Chciałbym nakryć to miejsce ustami, posmakować je, poczuć to pulsowanie na języku.

Pytam o kierunek jej studiów i, co najdziwniejsze, naprawdę interesuje mnie to, co słyszę, a nie tylko sposób, w jaki układają się jej usta.

– Studiuję historię sztuki.

Prycham.

– Więc płacisz tysiące dolarów za semestr, żeby oglądać obrazki?

– Nie, Panie Cyniku. Chodzi w tym o coś więcej. Sztuka opowiada o kulturze, o ważnych rzeczach na przestrzeni wieków. O tym, co ludzie cenili, ale także czego się bali bądź nienawidzili. To przede wszystkim ich wyobrażenie piękna.

Ściągam brwi.

– Mówisz jak jakiś filozof.

Powielel moją minę.

– A ty mówisz, jakbyś w ogóle nie doceniał filozofii.

– Na wszystkie filozoficzne pytania można odpowiedzieć jednym, krótkim stwierdzeniem.

Chelsea dolewa sobie wina.

– A niby jak?

– Kogo to, kurwa, obchodzi?

Śmieje się. Jest to niesamowity dźwięk.

– Sama również coś tworzysz, czy tylko studiujesz prace innych?

Rumieni się.

– Rysuję.

Natychmiast przenoszę uwagę na szkic zawieszony przy kominku. To niezwykle realistyczny portret młodszej Riley, trzymającej na kolanach bliźnięta. Już wcześniej go zauważyłem, niemal słysząc dobiegający z niego dziecięcy śmiech.

– To jedno z twoich dzieł? – Wskazuję rysunek.

Chelsea przytakuje, wciąż zawstydzona.

– Dobra jesteś. – Niełatwo szafuję komplementami.

Dużo później rozmawiamy o jej bracie.

– Robbie był ode mnie starszy o piętnaście lat. Byłam dzieckiem kryzysu wieku średniego moich rodziców. Kiedy byłam w wieku Riley, ojciec zmarł na zawał. Mama odeszła rok później, gdy chodziłam do liceum. – Popija wino, a w jej oczach błyszczy psota. – Nie mogłam się odnaleźć.

Unoszę kieliszek.

– Jak my wszyscy. – Biorę łyk Merlota. – Po śmierci rodziców zamieszkałaś z bratem?

Przytakuje.

– Jednak nie tutaj. Mieliśmy mały domek w Cherry Tree. Wtedy była jedynie Riley i chłopcy, no i ja, Robbie i Rachel.

– Zatem wychowywałaś się z tymi dziećmi?

– Tak. Rachel była dla mnie jak starsza siostra, właściwie nawet jak druga mama. Była niesamowita. – W jej głosie słyhać smutek.

Mruga, rozpogadzając się.

– To ona popchnęła mnie w kierunku podróżowania. Studiowania za granicą. Spędziłam trochę czasu w Rzymie, lato w Paryżu... – Przygląda mi się. – Boże, mówię jak jakiś rozpieszczony bachor. Biedna, bogata dziewczuszka, co?

Kręcę głową.

– Nie. Jest różnica między kimś rozpieszczonym, a kimś, kto ma przywileje.

Chelsea w ogóle nie jest rozpieszczona. Wie, jak wielkie ma szczęście i docenia nawet najmniejszą jego część.

– Pewnego dnia chciałabym zabrać dzieci do Europy. Pokazać im jak duży jest świat.

Śmieję się, myśląc o filmie z Liamem Neesonem. Jeśli jakiś niedorozwinięty kryminalista porwałby któreś z tych dzieci, za godzinę błagałby na kolanach, żeby je oddać.

Rozmawiamy, pijemy, podziwiam sposób, w jaki jej skóra połyskuje w świetle ognia. Nawet nie wiem, kiedy robi się czwarta nad ranem. Chelsea odstawia pusty kieliszek na ławę i ziewa.

– Chyba muszę już iść – mówię, choć tak naprawdę tego nie chcę. – Wystarczająco długo cię przytrzymałem. Kiedy odzywa się mały budzik?

– Ronan zazwyczaj wstaje koło szóstej, ale... – Wodzi wzrokiem po mojej twarzy, piersi i nizej. – Ale warto było zarwać noc. Dziękuję za wino i rozmowę. Naprawdę dobrze się bawiłam, Jake.

Nawet nie podejrzewa, w jaki sposób mogłaby się bawić jeszcze lepiej.

Jednak nie dzisiaj.

– Ja też. – Wstaję, Chelsea odprowadza mnie do foyer.

Stoimy naprzeciw siebie przy drzwiach. Czuję przyciąganie. Jakiś pieprzony magnes ciągnie mnie do niej.

– Chelsea... – szepczę, choć nawet nie wiem, co chcę powiedzieć.

Może tylko sprawdzam, jak smakuje jej imię na moich wargach.

Serce bije mi mocniej, pochylam się, Chelsea unosi głowę, zamyka oczy i...

– Ciociu!

Głos blond elfa dochodzi ze szczytu schodów. Jest niczym zimny prysznic.

Szlag by to trafił.

– Miałam zły sen! Położysz się ze mną?

Chelsea odsuwa się ode mnie z jękiem, również czuję ten ból. Dosłownie.

– Zaraz przyjdę, Rosaleen. – Wzrusza przepaszająco ramionami. – Obowiązki

wzywają.

Zaciskam usta, aby nie wydać jęku frustracji.

– No tak.

Kładzie dłoń na mojej piersi. Jest ciepła i elektryzująca.

– Jeszcze raz dziękuję. Naprawdę jestem ci już sporo dłużna.

Mimowolnie rzucam:

– Fajnie.

Chelsea chichocze.

– Dobranoc, Jake.

– Pa.

Wychodzę i wracam do domu.





W niedzielę, przychodząc na śniadanie do Stanton'a i Sofii, zastaję niespodziewanego gościa.

– Cześć, słoneczko – witam się, wchodząc do jadalni.

– Cześć, Jake! – Presley obejmuje mnie w pasie.

Presley ma już niemal trzynaście lat, nie widziałem jej jakiś rok – ostatni raz, kiedy byliśmy z Brentem w Missisipi na ślubie jej matki. Wysmukłała na twarzy, przez co coraz bliżej jej do złotowłosej piękności z południa.

Jej nastoletnie lata powinny być naprawdę zabawne. Stanton postrada zmysły i zapewne włosy. W trakcie jedzenia przyjaciel pyta:

– Pamiętacie menedżera muzycznego, którego reprezentowałem w tamtym roku? Tego, który prowadził po pijaku?

Wszyscy przy stole kiwają głowami.

– Okazuje się, że pracuje teraz dla One Direction, którzy przyjeżdżają do naszego miasta. Przesłał mi cztery bilety w pierwszym rzędzie na jutrzejszy koncert. Zabieramy z Sofią Presley.

– Kto to jest One Direction? – pytam, choć tak naprawdę nie chcę wiedzieć.

Presley wytrzeszcza oczy.

– Kto to jest One Direction? Przespałeś ostatnie lata? – Unosi gazetę i pokazuje mi zdjęcia jakichś czterech gnojzków w jeansach rurkach. – To jest One Direction. Tak się cieszę! – piszczy. – Koncert będzie zarąbisty.

Unoszę brwi, patrząc na Stanton'a.

– Baw się dobrze, kolego.

Stanton, przeżuwając serową bułeczkę, zerka na mnie z rozbawieniem w oczach.

– Rozmawiałem z Sofią, pomyśleliśmy, że fajnie byłoby, gdybyś poszedł ze mną i Presley. Zamiast Sofii, ty i ta Riley.

– Oszalałeś? – pytam, ponieważ to oczywiste.

– Proszę, Jake. – Błaga mała. – Byłoby fajnie mieć tam koleżankę. – Zwraca się do ojca. – Bez obrazy, ale ty i Sofia się nie znacie.

Stanton wzrusza ramionami.

– Spoko. I tak wiem, że jestem fajnym ojcem.

Presley łapie go za ramię.

– Kocham cię, tato, ale cokolwiek myślisz, że jest fajne – nie jest.

Stanton patrzy na nią skrzywiony.

Presley zwraca na mnie błagalny wzrok.

– Zgódź się, Jake. Założę się, że ich polubisz. Muzyka jest super, są lepsi niż Beatlesi.

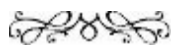
Martwię się o dzisiejszą młodzież.

– To może być dla niej dobre – mówi Stanton, naciskając na mnie, ponieważ

wcześniej powiedziałem mu o piątkowej przygodzie Riley z Jägermeisterem.

Wzdycham, wiedząc zawczasu, że tego pożałuję.

Ale i tak wyciągam komórkę i wybieram numer Chelsea.



Następnego dnia Stanton, Sofia, Presley i ja jedziemy po pracy do Chelsea. Nie powiedziała jeszcze Riley o koncercie, planując zrobić dziewczynie niespodziankę. Mówiła również, że nie chce roztrzaskanych od podekscytowanego pisku okien.

Jedzie z nami także Brent, ponieważ na lunchu opowiadałem o Chelsea i dzieciakach, więc postanowił ich poznać. Również dlatego, że nie ma własnego życia.

Zbieramy się w foyer, gdzie następuje przedstawianie. Chelsea ciepło wita się z moimi przyjaciółmi. Ma na sobie prostą, jasnoniebieską tunikę, która odsłania smukłe, długie po szyję nogi. Fantazjuję, żeby Stanton zabrał dziewczynki na koncert, a Sofia z Brentem zajęli się resztą. Na bardzo długo.

– Ceść – Regan wita się z Sofią, wychodząc z pokoju z mocno wyświechtanym pluszowym misiem.

– Cześć – odpowiada Sofia z uśmiechem.

– Ceść! – piszczy Regan.

– Cześć – śmieje się Sofia.

No i zabawa zaczyna się na nowo.

Dla mojego zdrowia psychicznego lepiej będzie, jeśli nauczę to dziecko jakiegoś innego słowa.

Stanton i Brent kontynuują wcześniejszą rozmowę o morderstwie doskonałym.

– Utopienie – mówi Brent, gestykułując dla podkreślenia swojej racji. – Istnieje szansa, że ciało będzie w znacznym rozkładzie, przez co dowody zostaną zatarte, no i alibi też nie jest problemem, oskarżony zawsze może powiedzieć, że ofiara się poślizgnęła. Wydaje się, że to zadziało w przypadku męża Natalie Wood.

Stanton kręci głową.

– Nadal obstawiam reakcję alergiczną.

Raymond poprawia okulary i włącza się do rozmowy:

– Rozmawiacie o tym, jak najlepiej się kogoś pozbyć?

Kiedy moi przyjaciele kiwają głowami, na twarzy chłopca maluje się radość.

– Znam pewien sposób. Trzeba zrobić kulę z lodu. Wystrzelić ją ze snajperki. Rozpuści się w ciele ofiary. Żadnych odcisków, żadnych dowodów.

Zapada cisza. Jesteśmy w szoku.

Trochę to straszne.

– Aż dostałem gęsiej skórki. – Brent drży. – Ktoś jeszcze?

Rosaleen podchodzi do przodu, skupia spojrzenie na Brencie.

– Dlaczego tak dziwnie chodzisz? – pyta niewinnie.

– Rosaleen! – karci Chelsea. – To niegrzeczne.

Jednak z doświadczenia wiem, że nic się nie stało, więc mówię, że nie trzeba zwracać jej uwagi.



Brent wyjaśnia siedmiolatce:

– Kiedy byłem mały, wpadłem pod samochód i straciłem kawałek nogi. – Unosi nogawkę, pokazując tytanową protezę. – Więc uważaj, jeżdżąc na rowerze.

Podchodzi bliżej i unosi głowę.

– I dali ci sztuczną nogę?

– Tak.

– Możesz ją zdjąć i pokazać?

– Nie. – Brent kręci głową.

Rosaleen się zastanawia, po czym pyta:

– Chcesz zobaczyć mój domek w ogrodzie? Ma zasłonki.

– Jasne. – Brent sprawdza zegarek. – Mamy czas.

Ze schodów schodzi Riley, przygląda się wszystkim po kolei. Przedstawiam ją towarzystwu. Wita się z Presley przyjaznym „Hej”, na co córka Stantona macha.

– Riley. – Uśmiecha się Chelsea. – Jake ma dla ciebie niespodziankę. – Patrzy na mnie wymownie, ruchem głowy wskazując dziewczynę i zachęcając mnie.

Odchrząkuję, podaję jej bilet, próbując nie robić z tego afery.

– O mój Boże!!! – piszczy Riley.

Kuzyn Coś wyje w odpowiedzi.

– To bilet na koncert One Direction! Do pierwszego rzędu! – Wielkie niebieskie oczy błyszczą z podniecenia. Patrzy na mnie. – Powaga?

– Niestety.

Nastolatki zaczynają paplać radośnie między sobą. To trwa.

I trwa.

Rory uśmiecha się do mnie.

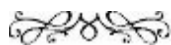
– Musisz iść na ten koncert?

Niechętnie przytakuję.

– Ha! – Śmieje się ze mnie, wskazując palcem. – Masz przerąbane.

Warczę:

– Zamknij się, młody.



Po czterech godzinach dziewczęcych krzyków, nie słyszę kompletnie nic. Nawet jeszcze w drodze powrotnej, siedząc w samochodzie Stantona, czuję, że wszystko jest przytłumione – słowa dziewczyn śpiewających na tylnym siedzeniu dochodzą do mnie jakby spod wody.

Wracamy do domu Chelsea, gdzie zastajemy ją wraz z Sofią i Brentem w salonie przy kawie. Sofia trzyma Ronana, który śpi w jej ramionach. Na jej widok na twarzy Stantona pojawia się głód.

– Jak było? – pyta Chelsea, uśmiechając się seksownie, chcąc się droczyć.

Unoszę rękę.

– Nie każ mi tego powtarzać. Staram się wyrzucić to z pamięci.

Jednak za późno na to, Presley i Riley opowiadają wszystko ze szczegółami,

przekrzykując się nawzajem. Często padają wyrażenia takie jak: „o Boże”, „nie wierzę”, „najlepsze” i „o Boże”.

– I wtedy... – piszczy Riley, chwytając ciotkę za rękę. – Harry popatrzył prosto na mnie!

Zerkam na Stantona.

– Możesz powtórzyć, który to Harry?

– Ten, który na gwałt potrzebuje fryzjera.

Próbuję zorientować się który to, ale oni wszyscy potrzebują fryzjera.

– Tatusiu? – pyta Presley. – Czy Riley może u nas spać?

– A właśnie, ciociu, mogę spać u Presley? – pyta Riley niemal w tym samym czasie.

Najwyraźniej dzięki One Direction przyjaźń nawiązuje się natychmiastowo. Ktoś powinien wysłać tych gnojków na granicę izraelsko-palestyńską, żeby pomogli w rozwiązaniu konfliktu.

Stanton mówi, że oczywiście, Chelsea również się zgadza. Następuje więcej pisków i obie pędzą na górę po rzeczy Riley.

– Gdzie reszta? – pytam Chelsea.

– Śpią – informuje. – Brent zmęczył ich polowaniem z latarką.

Brent szczerzy się z dumą.

– Jestem mistrzem.

Kiedy dziewczynki wracają ze śpiworami, poduszkami i torbą, Riley staje przede mną ze szczęściem wypisanym na twarzy.

– Dziękuję, Jake. To... to najlepsza noc mojego życia.

Mógłbym powiedzieć, że przyjemność po mojej stronie, ale skłamałbym.

– Nie ma za co.

Sofia oddaje Ronana Chelsea, która ostrożnie układa go w przenośnym zielonym łódeczku stojącym w kącie. Moi przyjaciele zbierają się do wyjścia, ale ja postanawiam jeszcze zostać. Nieco dłużej. A może nie „nieco”. Nie będziemy z Chelsea sami, ale jedno dziecko mniej, to lepiej niż nic.

Wtedy Brent rozpieprza mój plan.

– Stanton ma tylko cztery miejsca, więc potrzebuję podwózki, Jake.

Szlag by go trafił.

Patrzę na Chelsea, która wygląda, jakby potrafiła czytać mi w myślach, ponieważ uśmiecha się z rozczarowaniem.

– Jeszcze raz dziękuję, Jake. Dobranoc.

Odsuwam jej włosy z twarzy.

– Dobranoc.

Brent wślizguje się przede mną. Kłania się lekko, bierze Chelsea za rękę i unosi jej dłoń, żeby pocałować.

– Dziękuję za wspaniały wieczór, cudownie się spisałaś w roli gospodyni.

Śmieje się, kiedy ja warczę z głębi gardła.

Pomysł przywalenia mu w twarz wydaje się coraz bardziej atrakcyjny.

Chelsea zamyka za nami drzwi, a kiedy idziemy do samochodu, Brent ociąga się, jak tylko może. To cholernie wkurzające.

– Noo... – Wzdycha powoli z wyraźną aluzją. – Chelsea jest bardzo fajna.

Nie odpowiadam.

– I ten tyłek – kontynuuje z podziwem – mmm, mmm, pyszny, zapewne rzucona moneta odbiłaby...

Natychmiast chwytam go za koszulę, przyciągając do siebie, aż jesteśmy nos w nos.

– Zamknij się.

Patrzy mi prosto w oczy, po czym uśmiecha się znacząco.

– Ty ją lubisz.

Puszczam go, jakby parzył i mijam w drodze do auta.

– Oczywiście, że ją lubię. To fajna laska.

Brent jest tuż za mną, wymachuje palcem.

– Nie, ty ją lubisz. Nie tylko tak, żeby pójść z nią do łóżka, ale ty ją naprawdę, naprawdę lubisz.

– A ty co, masz dwanaście lat?

– Wiek to tylko cyfra. A przynajmniej tak mawia mój wujek, który za trzecią żonę wziął sobie dziewiętnastolatkę. – Szturcha mnie w ramię. – Ale poważnie, zachowujesz się jak rycerzyk w lśniącej zbroi.

Kręcę głową.

– Moja zbroja dawno już popękała, Brent.

– Rycerz w zniszczonej zbroi wciąż jest rycerzem.

Kiedy nie odpowiadam, naciska dalej. Naprawdę wierzy, że nie uszkodzę mu tej ślicznej buźki.

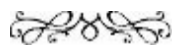
– Daj znać, gdy skończysz. Chciałbym sprawdzić, czy mam szansę.

Podchodzę do niego.

– Dla ciebie ona jest nieosiągalna. Ani teraz, ani nigdy. Nawet o tym nie myśl.

Ten sukinsyn wygląda na dumnego z siebie. Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Tak, na pewno ją lubisz.



We wtorek pracuję do późna w kancelarii, kończąc wniosek w sprawie przemocy domowej senatora Holtena. Rozluźniam krawat, przecieram oczy i poruszam głową. Kiedy mam zamiar wrócić do pisania, dzwoni mój telefon.

Na ekranie wyświetla się imię Chelsea.

Uśmiecham się na ten widok. To cholernie dziwne i całkowicie do mnie niepodobne. Kiedy ukończyłem studia, ledwie uniosłem kąciki ust.

Przestaję się uśmiechać, kiedy tylko zdaję sobie sprawę, że to zrobiłem. Odbieram telefon. Chciałbym zadać odwieczne pytanie: „Co masz na sobie?”, ale tego nie robię – dzięki Bogu – bo z głośnika dobiega piskliwy głosik Rosaleen.

– Cześć, Jake.

Rozsiadam się w fotelu.

– Cześć, Rosaleen.

– Co robisz?

– Pracuję. A ty?

– Ja robię rosół. – W jej głosie słychać dumę.

– Fajnie. Ciocia jest gdzieś obok? – pytam, ponieważ mam podejrzenie, że Chelsea nie ma pojęcia, co wyprawia jej bratanica.

– Jest w łazience. Jest chora.

Ściągam brwi.

– Co jej się dzieje?

– Wymiotuje. Wszyscy są chorzy, tylko nie ja. I Ronan, ale on i tak ciągle wymiotuje, więc się nie liczy.

W tle słyszę płacz dziecka.

Przysuwam się do biurka i mocniej przyciskam telefon do ucha.

– To twój braciszek płacze?

– Tak. Jest głodny. Podgrzeję mu butelkę, tylko skończę rosół.

Już mam zapytać, czy do pogrzenia zupy używa kuchenki czy mikrofalówki, ale rozbrzmiewa dźwięk alarmu przeciwpożarowego, odpowiadający na moje niezadane pytanie.

– Uuups! – krzyczy Rosaleen do telefonu. – Muszę kończyć. Pa!

– Rosaleen, czekaj...

Już się rozłączyła.

Cholera.

Oddzwaniam. Jeden sygnał, drugi, trzeci... Włącza się poczta.

– Kurwa!





*To nie mój problem. To nie moja sprawa. Mam na głowie własne zmartwienia.*

To właśnie próbuję sobie wmówić, odkładając telefon, przysuwając fotel do biurka i starając się skupić na dokumentach. Mam jeszcze wiele pracy, którą muszę dzisiaj skończyć.

*Bądź mądry. Masz priorytety.*

Nic im nie jest. Ludzie cały czas chorują.

*I umierają.*

Alarmy przeciwpożarowe odzywają się codziennie.

*A z domów pozostają zgliszcza.*

– Szlag by to jasny trafił!

Biorę komórkę, ponownie wybieram numer, ale dalej nic.

Kręcę głową, układam palce na klawiaturze komputera, ale jedyne, co mam przed oczami, to nieprzytomna Chelsea leżąca na podłodze w łazience.

– Ja pierdołę!

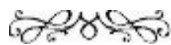
Poddaję się, pakuję laptopa wraz z dokumentacją do walizki. W rekordowym czasie docieram do samochodu, zastanawiając się, czy dzwonienie na numer alarmowy byłoby przesadą. Przyjechaliby natychmiast, jednak się powstrzymuję, ponieważ sam będę na miejscu za dziesięć minut.

Siedem minut później wjeżdżam na podjazd, parkuję i biegnę do drzwi. W ustach mi zaschło, ręce pocą się ze zdenerwowania. Walę w drzwi, ale jedyną odpowiedzią jest ujadanie Kuzyna Coś. Osłaniam oczy dłońmi i zerkam przez okienko do środka, ale nic nie widzę.

– Chelsea! Rosaleen! – Pukam raz jeszcze. – To ja, Jake.

Nikt nie otwiera, więc rozważam wyważenie drzwi, ale przypominam sobie, żeby sprawdzić pod wycieraczką i oczywiście, leży pod nią srebrny klucz.

Wchodzę.



Kuzyn Coś skacze mi między nogami, gdy przechodzę przez foyer – w tej samej chwili, w której ze schodów schodzi Rosaleen, niosąc tacę większą niż ona sama. Uśmiecha się na mój widok.

– Cześć, Jake. Jak wszedłeś?

Kładę klucz na stoliku, po czym odbieram jej tacę.

– Gdzie twoja ciocia?

– Na górze w łazience. Kazała wyjąć butelkę Ronana z lodówki.

Idę na górę, następnie podążam korytarzem za niosącymi się dźwiękami opróżnianego żołądka. Staję w drzwiach, rzucając cień na zgarbioną nad toaletą Chelsea, która trzyma się brzegów sedesu, jakby zależało od tego jej życie. Ubrana jest w luźny, czarny podkoszulek i spodnie od dresu. Ma ściągnięte w kucyk włosy,

kilka mokrych od potu pasemek klei się do jej karku.

Kucam przy niej, kładę dłoń na jej plecach.

Kiedy przestaje wymiotować, ociera usta i jęczy, patrząc na mnie.

– Co tu robisz? Jak wszedłeś?

– Rosaleen zadzwoniła. Użyłem klucza spod wycieraczki. Nie powinnaś go tam trzymać.

– A ty nie powinieneś był przyjeżdżać – narzeka. – Uciekaj. Ratuuj się.

– Kiedy, u licha, się to zaczęło?

Zamyka oczy, oddychając ciężko.

– W poniedziałek, w środku nocy. Najpierw dopadło Raymonda, reszta posypała się jak domino.

– Dlaczego nie dzwoniłaś?

– Dzwoniłam do sąsiadki, matki Waltera, ale stwierdziła, że nie chce ryzykować tego, że któreś z jej dzieci też się zarazi. Jej córka ma w ten weekend jakiś konkurs. Powiedziała, że jej przykro.

Miło. Stwierdzenie, że komuś przykro jest bardzo pomocne.

Chelsea udaje się zawlec do umywalki, nad którą płucze usta i myje twarz.

– Muszę sprawdzić, jak tam dzieciaki. – Próbuje przejść do drzwi, ale nogi załamują się pod nią i niemal upada, uderzając głową w umywalkę.

Chwytam ją i biorę na rękę.

– Hej, spokojnie – mówię stanowczo. Jestem trochę wkurzony. – Nikogo nie będziesz sprawdzać. Idziesz do łóżka. Gdzie twój pokój?

– Nie, muszę...

– Nie kłóć się ze mną. Gdzie twój pokój?

Poddaje się albo nie ma już więcej sił. Opiera głowę na moim ramieniu.

– Na dole, ale chcę zostać tutaj, w razie gdyby któreś z dzieci mnie potrzebowało. Możesz zaprowadzić mnie do pokoju gościnnego? Ostatnie drzwi po prawej.

Zanoszę ją do prosto urządzonego pokoju z żółtymi ścianami i białą narzutą na łóżku. Ostrożnie układam ją na środku materaca. Chelsea otwiera błyszczące oczy i patrzy na mnie z bólem.

– Nie mogę być chora – szepcze.

– Trochę na to za późno.

– Ciociu Chelsea! – krzyczy jeden z chłopców.

Kobieta zachowuje się, jakby poraził ją prąd. Natychmiast otwiera oczy i szamocze się, próbując usiąść.

– Połóż się – mówię, kładąc ją z powrotem.

– Muszę...

– Chelsea, jestem tutaj. Pozwól sobie pomóc – rzucam, gotów się upierać. Odsuwam jej włosy z chorobliwie bladej, ale pięknej twarzy. – Przypilnuję dzieciaków.

Przygląda mi się przez moment, jakbym był duchem. Albo snem. Jej oczy powoli wypełniają się łzami. Słone krople pojawiają się w kącikach, następnie spływają po

policzkach.

Każda z tych łez miażdży mnie.

– Nie płacz. Dlaczego płaczesz?

Bierze oddech i ociera twarz.

– Po prostu... Jestem taka zmęczona, Jake. Taka zmęczona...

Po raz pierwszy zastanawiam się, jak musiała się czuć po tym strasznym telefonie. Jak biegła, wrzucała do torby najpotrzebniejsze rzeczy, sądząc, że resztę ktoś jej później dośle. Jak zrezygnowała z nauki, prawdopodobnie z wynajmu mieszkania i całego swojego pieprzonego życia.

Następnie przyjechała tutaj i przez cały ten czas nikt jej nie pomógł. Musiała zająć się tysiącem spraw, zadbać o szóstkę dzieci, które miały tylko ją. I to nie tylko karmić je, odrabiać zadania domowe, przygotowywać do szkoły, ale pomagać im również w zwalczeniu niewyobrażalnego smutku. Musiała pilnować, żeby się nie załamały.

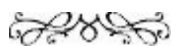
I została z tym całkiem sama.

Nie wątpię, że nie miała nawet małej chwili dla siebie, aby przeżyć własny ból, poradzić sobie ze smutkiem i poczuciem straty. Nie miała na to czasu. Biega jak chomik w kółku. To tylko kwestia czasu, zanim całkowicie się rozpadnie.

– Prześpij się, Chelsea. Przyrzekam, że wszystko będzie dobrze.

Uśmiecha się, choć z oczu płynie jej jeszcze więcej łez. Chwyta mnie za rękę i ściska.

– Dziękuję.



Czas na przegrupowanie. Włączam tryb wojenny. Sprawdzam pokoje – Rory i Raymond leżą na dolnym materacu piętrowego łóżka, obaj wymizerowani, obok nich stoją wiaderka. Riley i Regan drzemają w łóżku starszej dziewczyny, obok stoi miska. Przyglądam się uważniej dwulatce, która zerka na mnie przeszkłonymi oczami.

– Ceść – mówi wyczerpana.

Głaszczę ją po główce.

– Cześć, maleńka.

Schodzę na dół, gdzie Rosaleen siedzi na blacie obok małego braciszka, trzymając mu butelkę. Twierdzi, że wie, co robi, bo tysiące razy widziała, jak karmiła go jej mama i ciocia. Dziękuję Bogu za spostrzegawczość tego dzieciaka.

– Ale będziesz musiał go ponosić, żeby mu się odbiło – mówi, po czym wyjaśnia, jak to zrobić. Ostrożnie zabieram go z fotelika i trzymam w wyciągniętych rękach jak bombę, która w każdej chwili może eksplodować. Postępując według wskazówek małej, przysuwam go sobie do ramienia i leciutko klepię po plecach.

– Tak? – pytam siedmiolatki.

Przytakuje z entuzjazmem.

– Mianuję cię moją prawą rękę – mówię jej. – Razem pokonamy tego wirusa.

Dziewczynka się śmieje.

– Okej.

Czuję dumę, kiedy Ronan beka głośno, czego nie powstydziliby się nawet dorośli



facet. Nie powiem reszcie, ale tego dzieciaka lubię najbardziej.

Kiedy mu gratuluję, czuję, jak jego tyłek robi się ciężki.

I mokry.

Zerkam na jego siostrę.

– Chyba trzeba go przewinać.

Na jej twarzy maluje się niepokój, gdy mała unosi rękę.

– Na mnie nie patrz. Jestem tylko dzieckiem.

– Teraz to jesteś dzieckiem, co? – pytam.

Bezlitośnie wzrusza ramionami.

Dobra, poradzę sobie.

Byłem kiedyś aresztowany, co oznacza, że spędziłem czas zamknięty z niebezpiecznymi facetami. Uczestniczyłem w walkach ulicznych, w których nie było zasad i wygrywałem. Udało mi się ukończyć studia prawnicze, a teraz radzę sobie z egocentrycznymi dupkami – moimi klientami – bez uciekania się do fizycznej przemocy.

To tylko pielucha. Jak bardzo może być to trudne?

Niosę Ronana do jego pokoju, układam na przewijaku na komodzie i patrzę mu w oczy.

– Pomóż mi, kolego, dobrze?

Następnie, przytrzymując go jedną ręką, żeby mi nie spadł, szukam w Googlach jak to zrobić.

Uwielbiam współczesną technologię. Jedno kliknięcie i mamy instrukcję pokazującą, jak skonstruować bombę czy przewinać dzieciaka. Zdejmuję brudną pieluchę i wycieram go chusteczkami nawilżającymi. Wyciskam jakieś białe mazidło na jego tyłek, nie wiem, czy ma odparzenia, ale krem stoi na komodzie, więc go używam. Chwytam za nóżki, którymi wywija i podkładam mu czystą pieluchę.

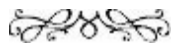
A wtedy, zupełnie bez ostrzeżenia, ciepła stróżka moczu, niczym z węża strażackiego, wystrzeliwuje w powietrze i z celnością eksperta ląduje na mojej koszuli.

Patrzę wilkiem na niemowlaka.

– Poważnie, stary?

Uśmiecha się do mnie i wkłada piąstkę do buzi.

Pieprzone Google nic o tym nie wspominało.



Układam Ronana w kołysce i idę do salonu na poszukiwania Rosaleen. Razem wchodzimy do kuchni sprawdzić zapasy, jednak mała przystaje w drzwiach. Jej twarz robi się trupio blada.

– Dobrze się czujesz, Rosaleen?

Otwiera usta, żeby mi odpowiedzieć, ale wylatuje z niej fala żółtych wymiocin.

Następna ofiara wirusa.

Kaszle i patrzy z przerażeniem na kałużę na podłodze oraz plamy na swoich butach i koszulce. Zaczyna płakać:

– Przepraszam, Jake.

Coś w mojej piersi pęcznieje na widok jej łez i czuję nagły ucisk. Klękam obok niej i głaszczę po plecach.

– W porządku. Rosaleen, to tylko wymioty. Nic takiego się nie stało.

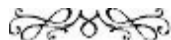
I wtedy wbiega pies, aby uratować sytuację. Zaczyna zlizywać wymiociny.

Ohyda.

Robi mi się niedobrze, ale dzielnie się trzymam.

– Widzisz? – mówię, starając się poprawić jej nastrój. – Wyświadczyłaś mi przysługę.

Teraz nie muszę go karmić.



Rosaleen, przebrana w piżamę, układa się w łóżku obok śpiącej ciotki. Po raz drugi sprawdzam cały szpital polowy, po czym, korzystając z chwilowej ciszy, dzwonię po wsparcie.

– Wszyscy zachorowali? – pyta Stanton będący w szoku, choć wyczuwam także lekkie rozbawienie.

– Tak, wszyscy – zrzędzę. Pocieram oczy. – Nie wstydzę się przyznać, że to mnie przerasta.

– Mają gorączkę, czy tylko wymioty?

– A jak mam to sprawdzić?

– Któreś jest rozpalone?

Zastanawiam się chwilę, zupełnie bezradny.

– Żadne nie jest zimne.

– W porządku. Zadzwoń do sklepu spożywczego i zamów dostawę. Powiedz, że potrzebny ci termometr, sposób użycia znajdziesz na pudełku. Potrzebujesz też *Tylenol*, sucharki, napój imbirowy, rosół z kury i *Pedialyte*.

Niczym święte słowa, zapisuję wszystko, co mówi.

– Co to jest *Pedialyte*?

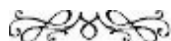
– To jak napój energetyczny, tylko dla dzieci. Pilnuj najmłodszego. Jeśli zaczniesz wymiotować, nie zastanawiaj się tylko dzwoń do lekarza. Numer znajdziesz pewnie na lodówce. Niemowlęta szybko się odwadniają. To samo tyczy się dwulatki, jej też pilnuj. Spróbuj co godzinę wmusić w nią łyżkę *Pedialyte*.

– Tak jest. Coś jeszcze?

– Niech zostaną w łózkach. Jeśli będą mogli pić, daj im po małym łyżku. Sucharki i rosół dopiero wtedy, kiedy uspokoją się ich żołądki. Dzwoń, jeśli będzie potrzebne wsparcie.

Wzdycham.

– Dobrze, dzięki, brachu.



Następnego ranka tkwię po uszy w praniu. Pościel, piżamy, ręczniki. Wiem, jak obsługiwać pralkę – matka mnie nauczyła. Ponieważ lubię mieć wszystko zorganizowane i czyste, wiem również, jak działa zmywarka do naczyń.

W środowe popołudnie mój odział zaczyna ożywać. Czują się lepiej, choć nie do końca dobrze. Robią się pobudzeni, zaczynają się ze sobą kłócić. „On śmierdzi”, „ona zabrała kołdrę”, „on krzywo na mnie popatrzył”.

Zarządziłem przegrupowanie, zebrałem wszystkich w salonie. Każda kanapa, sofa czy fotel zarzucone są kocami, poduszkami i dziećmi. Chelsea leży na kanapie, ja siedzę na podłodze, opierając się o nią. Ronan leży na brzuchu na kocu, tuż obok mnie. Włączam telewizor.

I zaczyna się kolejna kłótnia.

– Włączmy *SpongeBoba*.

– *SpongeBob* jest głupi. Puść MTV, lecą teraz *Licealne ciężce*.

Pamiętacie, kiedy na MTV puszczali muzykę?

– Nie będziemy tego oglądać – poucza Chelsea.

– To może Discovery? – sugeruje Raymond. – Jest teraz maraton o zwyczajach lwów.

Polują na gazele.

– Biedne gazele! – jęczy Rosaleen.

To jakiś koszmar.

– Słuchajcie! – krzyczę. – Ja mam pilota i dlatego jestem panem wszechświata, a pan i władca mówi, że oglądamy koszykówkę.

Słyszę tyle samo żali co radości.

Jakiś czas później Rosaleen schodzi z fotela, ciągnąc za sobą poduszkę. Układa ją obok mnie, po czym kładzie się na niej. Wciąż ma mokre czoło i szkliste oczy.

– Zaśpiewasz mi?

Zerkam na nią.

– Nie.

– Proszę – chrypi.

Kręcę stanowczo głową. Nie ma szans, żeby mnie złamała.

– Nie ma mowy.

Wilgotną dłonią dotyka mojej ręki.

– Pomożesz mi zasnąć.

I tak po prostu zaczynam pękać.

– Ja nie śpiewam – wyjaśniam z lekką desperacją w głosie.

Warga jej drży, więc pękam coraz bardziej.

– Ale będę się lepiej czuła. A teraz mi źle, Jake.

Tonący brzytwy się chwyta.

– Nie znam żadnych piosenek.

Wątpię, żeby Iron Maiden pomogło w tej sytuacji.

Mruga powoli, wpatrując się we mnie.

– Proooszę?

Pęknięcie przybiera rozmiary Wielkiego Kanionu. Szlag by to trafił.

Odchrząkuję i cicho śpiewam piosenkę One Direction, która od kilku dni byczy mi w głowie jak nieznośny owad.

– „Każdy tutaj potrafi to dostrzec...” – śpiewam głębokim, drżącym głosem.

Chłopcy jęczą równocześnie. Nagle zainteresowana Riley zerka na mnie z fotela. Chelsea zakrywa usta i dobrze wiem, że tłumi śmiech. Jednak Rosaleen... jej wielkie, niebieskie oczy rozgrzewają mnie do samych kości, ponieważ jest wdzięczna i wielbi mnie niczym bohatera.

I, po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin, się uśmiecha.

Zatem ciągnę:

– „Każdy z wyjątkiem ciebie...”

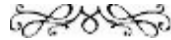
Kończę cholerny refren, Rosaleen chwali mnie cicho, a Riley wzdycha z rozmarzeniem.

– Najlepsza piosenka na świecie.

Chelsea poddaje się i chichocze na głos.

Spoglądam na nią przez ramię.

– W tej chwili nienawidzę samego siebie.



We wczesny czwartkowy poranek, lekko ponad dwa dni po uderzeniu zarazy, Chelsea wraca do życia. Właśnie wyszła spod prysznic, ma mokre włosy i pachnie niesłychanie kusząco. Zapach szamponu z domieszką wanilii pomieszany z płynem do mycia ciała sprawia, że mam ochotę wylizać ją od czubka głowy po koniuszki palców. I wcale nie przesadzam.

Owinięta jest w puchaty różowy szlafrok, przewiązany w pasie paskiem.

Odprowadza mnie po schodach i zatrzymujemy się przed drzwiami.

– Na pewno lepiej się czujesz? – pytam.

– Tak. Już sobie poradzę. – Kiwa głową, w jej oczach maluje się wdzięczność.

Wychodzę wcześniej, bo muszę wpaść do siebie, wziąć prysznic i za trzy godziny stawić się w sądzie. Dzieci czują się lepiej. Wciąż zostają w łózkach i nie idą do szkoły, ale nie rzygają na siebie nawzajem co dwie godziny. Zatem to postęp.

Chelsea kładzie rękę na moim ramieniu i może to tylko zmęczenie, ale wydaje mi się, że skóra mrowi mnie za sprawą jej dotyku. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak wspaniale byłoby poczuć tę dłoń owiniętą wokół mojego fiuta. Będę musiał zwalić sobie konia, zanim znowu się z nią zobaczę.

– Dziękuję, Jake. Ponownie. – Kręci głową z frustracją. – Nigdy ci się nie odwdzięczę.

Mógłbym wymyślić kilka sposobów.

Puszczam do niej oko.

– Czyny mówią czasem więcej niż słowa. I jest przy nich znacznie lepsza zabawa.

– Masz rację. – Lekko ściska moje ramię. – Właśnie dlatego przygotuję dla ciebie najlepszą kolację jaką w życiu jadłeś, żeby okazać jak bardzo doceniam wszystko, co dla nas zrobiłeś. Piątek wieczór. Przyjdiesz?

O rany, przyjdę. I zostanę.

Jednak udaję, że to rozważam.

– Żadnego tofu, co?

Chelsea się śmieje.

– Żadnego tofu.

Pochyliam się i szepczę jej do ucha, wywołując gęsią skórkę na odsłoniętym obojczyku:

– A co będzie na deser?

Jej głos staje się zmysłowy, gdy podejmuje tę grę, a gra w nią bardzo dobrze:

– A co chciałbyś, Jake?

– Posmakuję wszystkiego, co będzie pokryte bitą śmietaną.

Rumieni się i uśmiecha.

– Z pewnością się w takową zaopatrzę.

Zakładam jej mokre włosy za ucho.

– Dobrze. A ja przyniosę film, żeby zająć czymś dzieciaki. Riley wspominała, że nigdy nie oglądali *Goonies*, co powinno być karalne.

– Byłoby idealnie.

Spoglądam głęboko w intensywnie niebieskie oczy Chelsea.

– Naprawdę takie będzie.





W piątek wysiadam z samochodu przed domem Chelsea. Nie chcę brzmieć jak dupek, ale jestem podniecony. Mam wyśmienity nastrój. Czuję ekscytację. Nie mogę się doczekać wieczoru z Chelsea i – tak, z dziećmi też. Jasne, że to pół tuzina łobuzów, które przeszkadzają mi zaliczyć, ale są zabawne. Bystre. I generalnie całkiem niesamowite.

Fakt, że istnieje szansa na jakąś horyzontalną akcję też mi nie przeszkadza.

Pukam do drzwi, trzymając w jednej ręce film, w drugiej bukiet białych róż.

Drzwi otwierają się, a przede mną staje wysoki, opalony, szczupły chłopak z wystylizowanymi, potarganymi włosami, w białym podkoszulku, wytartych jeansach i naszyjnikiem z zębów rekina.

Na powitanie unosi głowę.

– Hej.

– Hej. – Kim on, u licha, jest i dlaczego otwiera drzwi? – Jest Chelsea?

Odsuwa się, otwierając drzwi szerzej i obraca głowę.

– Dziecinko! Jakiś facio przylazł. – Ponownie przygląda mi się brązowymi oczami. –

Duży jesteś, koleś. Ile ty ważysz? Ponad setkę?

– Mniej więcej.

Mijam go, opuszczając rękę z kwiatami, ponieważ czuję się głupio, że je przyniosłem.

Chelsea wychodzi z kuchni, ma na sobie krótką, czarną sukienkę w niewielkie paski – seksowną w swojej prostocie – i szpilki bez palców. Rozpuściła włosy, które błyszczącymi falami opadają na jej ramiona.

– Jake! – Uśmiecha się sztywno, jakby było to wymuszone.

– Co tu się dzieje? – pytam spokojnie.

Staje za nią para dwudziestokilkulatków: ciemnoskóra dziewczyna z długimi dredami i oszalałymi twarzą oraz chłopak z długimi brązowymi włosami, który ma na sobie modną, choć obleśnie brzydką limonkową koszulę.

– Odwiedzili mnie przyjaciele z Berkeley. – Wyraz jej twarzy jest spięty, jakby chciała mnie przeprosić. – Nie wiedziałam, że przyjadą. – Odsuwa się i gestem wskazuje na parę za sobą. – To Nikki i Kevin.

Nikki i Kevin uśmiechają się do mnie nieco zbyt radośnie. Chyba są za bardzo upaleni, żeby zachować trzeźwy wygląd.

– A to... – Chelsea wskazuje na blond zabójcę rekinów – ...jest Lucas.

Lucas głupkowato szczyrzy zęby.

– Strzałeczka.

Kiwam mu głową, następnie podaję Chelsea kwiaty.

– Proszę.

Przygląda się im z czułością, dotyka palcami miękkich płatków.

– Piękne. Dziękuję.

To tyle z kolacji. I co ważniejsze, tyle samo z bzykanka.

*Kurwa.*

Rosaleen wypada z za rogu, podskakują za nią dwa warkocze, i ściska mnie w pasie.

– Jake, przyszedłeś! Przyniosłeś film?

Wyciągam rękę, a mała skacze.

Następnie dołączają do nas Riley i Rory. Lucas mierzwi włosy chłopca.

– Mały koleżko, może kopsnąłbyś się po piwko? Przy filmie przydałby się jakiś browar.

Chelsea przechyla głowę.

– Nie mamy tu piwa, Lucas. Mój brat i Rachel nie pili alkoholu.

– Do bani.

Wszyscy przechodzimy do salonu, zaciskam zęby, obserwując jak Lucas nonszalancko zarzuca rękę na ramiona Chelsea. Swobodnie. Wręcz z intymną zażyłością.

Już nie lubię tego palanta. I nie tylko ja.

Rory staje obok i szepcze:

– Jeszcze raz dotknie moich włosów, a dostanie w jaja.

– Dobrze mówisz.

– Możemy obejrzeć film w sypialni rodziców? – pyta ostrożnie Riley. – Kiedyś co weekend urządzaliśmy sobie wieczorki filmowe, ale nie mieliśmy ich od... – Milknie, po czym wzrusza ramionami.

– Jasne – odpowiadam.

– Uważam, że to świetny pomysł – przytakuje cicho Chelsea.

– Koleś! Mam bardziej zajebisty pomysł! – mówi Lucas, patrząc na mnie. – Jesteś opiekunkiem, tak?

– Jestem czym? – pytam, patrząc na niego spode łba.

– No, opiekunką, tylko że jesteś facetem. Możesz popilnować dzieciaki, tak?

– Uroczo! – piszczy Nikki, podchwytując jego pomysł: – Więc Pan Wysoki, Mroczny i Gorący może zostać z maluchami, a my we czworo pójdziemy się zabawić!

Czekam, aż Chelsea odmówi.

Czekam, aż stwierdzi, że wolałaby zostać z dziećmi.

Ze mną.

Ale tego nie robi.

Obraca się tylko i patrzy na mnie bez wyrazu.

– Zrobiłbyś to, Jake?

Wymyka mi się prychnięcie. Duszę w sobie frustrację i niechęć, która pali niczym kwas.

– Jak chcesz, Chelsea.

– Zajebicie – cieszy się Lucas. Wciąż nie zdjął pieprzonej ręki z jej ramion. Mam ochotę ją złamać. Chłopak mierzy Chelsea wzrokiem. – Powinnaś się przebrać, dziecinko.



Piorunuję go wzrokiem.

– Według mnie wygląda idealnie.

Przechyla głowę.

– Tak, jasne, jest sexy. – Obraca się do Chelsea. – Ale wyglądasz jak MILF.

Apetyczna i w ogóle, ale wiesz, jak jakaś mamuśka.

W tej chwili mam ochotę przywalić mu w pysk.

Chelsea przestaje się uśmiechać, ale przytakuje.

– Dobrze. Szybciotko się przebiorę i będziemy mogli wyjść.

Dziesięć minut później wraca na dół w obcisłych jasnych jeansach i białej bluzce związanej na szyi, która fantastycznie opina jej cycki. Wygląda po prostu pięknie. Choć inaczej. Ten strój jest mniej elegancki. Teraz wydaje się łatwiejsza.

Co normalnie nie byłoby złe. Gdybym spotkał ją tak ubraną w barze, zastosowałbym wszystkie sztuczki, żeby zabrać ją do siebie. Ale teraz wychodzi beze mnie i jakieś inne fiuty będą się jej przyglądać i myśleć dokładnie to samo, co mnie cholernie wpienia.

Prowadzi mnie do kuchni, przedstawiając harmonogram karmienia Ronana i porę jego snu. I tak już to wiem. Kiedy przestaje mówić, unosi głowę i patrzy mi w oczy.

– Przepraszam za tę kolację.

– Niepotrzebnie.

– Jake, ja... – Oblizuje wargi, z wahaniem przestępuje z nogi na nogę. – Nie widziałam ich od przeszło dwóch miesięcy. Nie wiedziałam... – Ponownie urywa, po czym wydaje się, że odnajduje właściwe słowa. – Jesteś na mnie zły?

Przygląda mi się z taką nadzieją w oczach, taką kruchością, że mój głos łagodnieje:

– Nie, nie jestem na ciebie zły.

Jej głupkowaci znajomi to zupełnie inna bajka.

– I nie masz nic przeciwko? Popilnujesz dzieci?

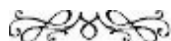
W sądzie szybko uczycie się, że słowa mają znaczenie. Pytania, odpowiedzi oraz sposób ich formułowania musi być przemyślany, ponieważ może być poddany różnej interpretacji. Dzięki temu potrafię udzielać wymijających odpowiedzi. W tej chwili to przydatna umiejętność.

– I tak planowałem zostać na całą noc.

Ponownie myślę o chomiku w kółku. Zawsze tylko daje, nigdy nie biorąc nic dla siebie. Chwytam ją za rękę.

– Powinnaś wyjść z przyjaciółmi, Chelsea. Zabawić się – mówię, choć nie znoszę tej myśli. – Poradzę sobie z dziećmiakami.

Uśmiecha się, jakbym zdjął ciężar z jej ramion, przez co czuję się mniej nieszczęśliwy.



Sypialnia Roberta i Rachel McQuaid znajduje się na drugim piętrze. Schody wiodące do niej zaczynają się na końcu korytarza. Najwyraźniej ważna była dla nich prywatność. I romantyzm, bo przecież mimo wszystko dorobili się szóstki dzieci.

Pomieszczenie jest ogromne: ma mini salon, domowe spa z wielką wanną, dwie garderoby, każda wielka jak moja kuchnia. Ściany pomalowane zostały na gustowną czerwień, meble zrobiono z ciemnego drewna. W rogu znajduje się kominek, nad nim wisi portret ślubny – para wygląda na młodą, szczęśliwą i chętną, żeby rozpocząć wspólne życie. Na komodzie poustawiano zdjęcia dzieci. Ulotne chwile zatrzymane w kadrze – pierwsze kąpiele, świąteczne poranki, zabawa na plaży, spanie.

Dzieci po wejściu zachowują się cicho, jakby pokój był sanktuarium, jednak po chwili powraca ich wesołość i naturalny entuzjazm. Kiedy wspinają się na wielkie łoże, przypominają mi szczeniaki w pudełku – potracają się nawzajem, układają na sobie, aż każdy znajduje wygodne miejsce. Riley trzyma Regan na kolanach. Sądząc po sposobie w jaki mała ssie kciuk i przymyka oczy, będzie dobrze jeśli zobaczy czołówkę. Raymond bierze Kuzyna Coś na rękę, a Rosaleen klepie wolne miejsce obok siebie.

– Chodź, Jake. Tu jest wolne.

Zastanawiam się, czy dorosły facet powinien kłaść się na łóżku obok niespokrewnionych dzieci, jednak przyglądając się ich minom wiem, że tego właśnie ode mnie oczekują. Wsuwam płytę do odtwarzacza, biorę pilota i skaczę na materac, przez co wszyscy podskakują z chichotem.

Nieco później, przy scenie, gdy Gagatki mówią Troy’owi, żeby zabierał wiadro i spadał, Rosaleen pyta:

– Gdzie poszła ciocia?

Spinam się na myśl o tym, co robi w tej chwili Chelsea i kto jej towarzyszy.

– Wyszła z przyjaciółmi – odpowiadam, starając się nie ujawniać zgorzknienia.

– Nie lubię ich – szepcze Riley, żeby nie obudzić dwulatki śpiącej na jej kolanach. –

Palili trawkę w ogrodzie.

– To to tak pachniało? – pyta Rosaleen.

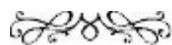
– Tak.

Zaciskam dłonie w pięści. Spośród wszystkich nieodpowiedzialnych i egoistycznych... Też kiedyś byłem młody, chociaż dwadzieścia sześć lat to już nie gówniarze. Są za starzy, żeby tłumaczyć taką głupotę wiekiem.

– To fiuty – podsuwa Rory.

Nie karczę go za język, bo wiem, że ma rację.

Wracamy do oglądania filmu.



– Było super – przyznaje Raymond, gdy Cyndi Lauper śpiewa przy napisach końcowych.

– Jest dwójka? – pyta Riley.

– Nie. – Ziewam. – W latach osiemdziesiątych nie psuli niczego dobrego.

Rosaleen wskakuje mi na kolana, co sprawia, że jęczę. Małymi rączkami obejmuje moją twarz, po czym przesuwa jedną w górę, a drugą w dół.

– Jesteś trochę jak ten Ślimak, Jake. Jesteś duży i hałaśliwy. – Przygląda mi się, rozmyślając. – Ale nie jesteś taki brzydki.

Super, niech będzie.

– Dzięki – mruczę przez zęby.

Zaspane dzieciaki schodzą z łóżka, przeciągając się i trą oczy. Rory pyta:

– Musimy myć zęby?

Schodzę z nimi piętro niżej.

– Nie, myślę, że wasze zęby przeżyją bez mycia jeden wieczór. Po prostu idźcie spać.

Chłopcy idą do swojego pokoju, Riley układa Regan, po czym przygląda mi się osądającym wzrokiem, ale w końcu się uśmiecha. Leciutko, ale zawsze.

– Fajnie było. Dzięki.

Czuję dziwne ciepło w piersi.

– Tak, fajnie. Proszę bardzo.

Rosaleen bierze mnie za rękę i prowadzi do swojego pokoju. Jest różowy i błyszczący, na niebieskim suficie namalowano jednorożca i tęczę. Wskakuje do łóżeczka z baldachimem.

– Położysz się obok, Jake?

Kręcę głową.

– Nie.

Mała zgrzyta zębami i naciąga sobie kołdrę pod brodę.

– A co, jeśli przyjdzie po mnie Jednooki Willie?

Drapię się po karku, rozmyślając.

– Cóż, możemy zostawić otwarte drzwi i zapalone światło na korytarzu? – Jednak wiem, że to nie wystarczy. – I mogę posiedzieć pod drzwiami dopóki nie zaśniesz. – Wziąłem ze sobą laptopa, żeby nieco popracować, równie dobrze mogę siedzieć na podłodze. Nie jestem wybredny.

– Dobrze. – Uśmiecha się, po czym macha, żebym się przysunął. Pochyłam się, a dziewczynka unosi głowę z poduszki i całuje mnie delikatnie w policzek.

Dziwne, ciepłe uczucie powraca z jeszcze większą siłą.

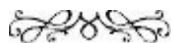
– Dobranoc, Jake. Słodkich snów.

Przez chwilę przyglądam się, jak układa się pod kołdrą, myśląc jaka jest dobra, czysta i niewinna. Bardzo chciałbym, żeby pozostała taka na zawsze.

Kręcę głowę z powodu tego sentymentalizmu, ponieważ ja się nie marzę. Jestem ostry, cyniczny, brutalnie szczery, ale nie miękki.

Gaszę światło.

– Dobranoc, Rosaleen.



Jakiś czas później – trzydzieści minut lub trzy godziny – budzę się na podłodze z otwartym komputerem na kolanach, brodą na piersi, bólem karku i zdrętwiałymi kończynami. Z początku jestem dezorientowany. Nie wiem, gdzie jestem ani dlaczego siedzę oparty o ścianę. Rozglądam się, oddycham głęboko i wraca mi pamięć. Film, dzieciaki, Chelsea wychodząca z tymi frajerami.

Zamykam komputer i przecieram oczy, zastanawiając się, co mnie obudziło.

Rosaleen śpi jak zabita, w innych pokojach również panuje cisza, wliczając w to sypialnię niemowlaka. Wstaję i...

*Lup.*

Dźwięk dobiega z dołu, rozbrzmiewają po nim głosy.

*Co, u diabła?*

Spinam się, oczekując kłopotów. Może ktoś się włamał? Zastanawiam się, czy Chelsea wciąż trzyma klucz pod wycieraczką.

– Mmm... tak...

To męski jęk. Włamywacz chyba nie jęczałby.

Nasłuchując, ostrożnie schodzę po schodach, a z każdym krokiem głos staje się wyraźniejszy.

– Lucas! – mówi Chelsea.

– Jesteś taka seksowna, dziecinko.

Kurczy mi się żołądek, zaciskam dłonie w pięści. To z pewnością nie włamywacz.

– Bardzo cię pragnę – mówi.

– Lucas...

Jej głos to ostry szept, ponieważ Chelsea myśli o dzieciach. Zawsze o nich pamięta. Jednak jej słowa są dla mnie wyraźne.

– Lucas, puszczaj.

Tak samo jak jego.

– Nie bądź głupia, Chels. Wiem, że też tego chcesz.

– Nie. Przestań. Lucas. Nie!

– Ciii, spokojnie. Pozwól mi...

Wtedy tracę panowanie.

Wchodzę do salonu. Są na kanapie, nadal w pełni ubrani. On leży na niej, obejmując ją, nakrywa ją niemal całkowicie z wyjątkiem nóg.

Ona próbuje się wydostać i kopie.

Jednym ruchem ściągam go z Chelsea, chwytając za tył koszulki. Przytrzymuję go sobie jedną ręką, uderzając drugą w twarz. Moja dłoń spotyka się z jego ciałem w akompaniamencie satysfakcjonującego trzasku, czuję jak jego nos łamie się pod moimi knykциями. Jestem tak cholernie wściekły, że słyszę jedynie mordercze bicie własnego serca, gdy biorę zamach i ponownie uderzam go w zęby. Unosi ręce, chcąc się zasłonić, ale rzucam go na podłogę.

Tam go kopię. Trafiam butem w zębra.

Chcę więcej. Jestem tego spragniony – bólu, krwi, pieprzonego cierpienia.

Chłopak dyszy i sapie, próbując nabrać powietrza, ale mam to gdzieś. Tak naprawdę to go nie widzę. Jedyne co stoi mi przed oczami, to obraz słodkiej, delikatnej Chelsea, która z nim walczy. Odmawia mu. Błaga, żeby przestał.

A on tego nie robi. Dlaczego ja powinienem?

Podciągam go w górę, chwytając za rękę i rzucam na ścianę.

– Powiedziała nie, gnoju! Głuchy jesteś? – Chwytam go za szyję.

Jest miękka. Słaba. Tak łatwo można ją złamać.

Ściskam.

Wytrzeszcza oczy i chwyta mnie za ręce, jednak nie bardzo mu to wychodzi.

– Jake, proszę, puść go. – Chelsea łapie mnie za ramię i błaga cichym głosem: – Nie rób tego, Jake. Proszę, przestań.

Jest moją przystanią, stabilnym i spokojnym lądem podczas sztormu na morzu.

Zatem puszczam go, choć nie dlatego, że na to zasługuje.

Tylko ze względu na jej prośby.

Zabieram ręce, a kutas ześlizguje się na podłogę, krztusi się i krwawi z nosa. Dyszę, spoglądając na niego, serce wali mi jak młotem. Zabieram jego kurtkę z fotela – mam na tyle rozwagi, że wyjmuję z niej kluczyki, ponieważ od chłopaka śmierdzi jak z gorzelni – i rzucam nią w niego.

– Wypieprzaj stąd – warczę dziko, zgodnie z tym, jak się czuję.

Wyciera zakrwawioną twarz o kurtkę i spogląda na mnie z nienawiścią i całkowitym brakiem skruchy.

– Daj mi kluczyki – mówi ochryple.

Chyba go pojechało.

– Nie. Możesz spać w samochodzie. Kiedy rano wytrzeźwiejesz, zabierzesz stąd swoją żalną dupę.

Już otwiera usta, żeby się kłócić, ale nie pozwalam mu na to:

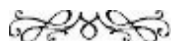
– Masz dwie możliwości. Albo będziesz spał w swoim cholernym samochodzie, albo w szpitalnym łóżku. Ja wiem, co wolałbym.

I nie jest to jego samochód.

Spogląda ponad moim ramieniem na Chelsea, a mnie wkurza już sama myśl, że dotyka ją wzrokiem.

– Rób co mówi, Lucas. Nikki i Kevin wstaną za kilka godzin. Wtedy pojedziecie.

Po raz ostatni, piorunując mnie wzrokiem, odchodzi zgarbiony w stronę drzwi, które zamykam za nim z trzaskiem.



Zamykam je na klucz i zasuwkę, żeby mieć pewność, że nie wróci. A może dlatego, żeby za nim nie pobiec i go nie zabić. Drżą mi ręce, całe ciało trzęsie się od powstrzymanej z trudem furii i czegoś jeszcze, czego nie chcę nazywać.

Za moimi plecami Chelsea pyta drżącym głosem:

– Nie wierzę, że Lucas próbował...

Obracam się na pięcie, wybuchając przed nią niczym wulkan:

– Oczywiście, że, kurwa, próbował! Czego się, do cholery, spodziewałaś? Myślałaś, że przejechał cały kraj, żeby cię uściskać i dostać buziaczka w policzek?

Kobieta obejmuje się ramionami. Mówi jeszcze ciszej:

– Myślałam, że jest moim przyjacielem.

– Naiwność jest urocza, Chelsea, ale pieprzona głupota już nie tak bardzo.

Odsuwa się, jakbym ją spoliczkował.

– Słucham?

Nieznane uczucie kotłuje się we mnie niczym czarna, wrząca smoła, wypełniając moje wnętrze grubą, lepłą powłoką.

To okropne.

– Przyjaciół? – Wyśmiewam ją, mierząc wzrokiem. – Tak się ubierasz dla przyjaciół?

– Cmokam. – Szczęściarze.

Podnosi głos:

– Nie ma nic niestosownego w moim stroju.

Moje pytanie tnie powietrze niczym ostrze:

– Jesteś pijana?

– Nie.

– Naćpana?

– Nie!

– Pieprzyłaś się z nim wcześniej?

– To nie twoja sprawa!

Krzywię się.

– Zatem tak.

– Nie przesłuchuj mnie!

– Wiesz, co mogło cię spotkać, gdyby mnie tu nie było?! – krzyczę, zapominając o szóstym śpiącym na górze dzieci.

Właśnie o to chodzi, to podsyca we mnie pragnienie mordu. Mam ochotę przywalić w ścianę – właściwie chciałbym złapać to ścierwo, które niedawno stąd wyrzuciłem i zmiażdżyć mu twarz. To ze względu na rzeczy, które mogły ją spotkać, gdyby mnie tu nie było.

Spoglądałem ofiarom w oczy. Widziałem skutki. I tak w końcu te kobiety się z tym uporały, w końcu żyły dalej, ale nigdy nie zapomniały.

I nigdy już nie były takie same.

– Tak, wiem, Jake. Wbrew temu, co myślisz, nie jestem głupia. I jestem wdzięczna, że tu byłeś. – Jej głos jest płaski i zimny. – Ale teraz możesz już iść.

Wskazuję na drzwi.

– Nigdzie się nie wybieram, przynajmniej dopóki on tam jest.

– Dobra. Wesołego biwakowania na kanapie.

Zostaję odesłany. Chelsea odchodzi. Jest sztywna niczym żołnierz, gdy maszeruje korytarzem. Po trzech krokach odwraca się, a jej słowa uderzają we mnie niczym kula:

– Teraz już wiem, dlaczego jesteś takim dobrym obrońcą, Jake. Jesteś genialny w obwinianiu ofiary.

Przez chwilę po prostu stoję. Jestem zbyt zszokowany, zbyt zawstydzony, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Chelsea znika na schodach i zostaję sam z echem własnych słów, których nie powinienem był wypowiadać.







Pięć minut później stoję w kuchni, przekopując szafki jak narkoman, który zapomniał, gdzie ukrył działkę.

Mamroczę pod nosem do zmarłego brata Chelsea:

– No dalej, Robert, poznałem twoje dzieciaki. – Sprawdzam z tyłu lodówki, przesuwając dzbanek mleka migdałowego, kostkę tofu i woreczek z gruszkami. – Nie ma pieprzonej mowy, żebyś nie miał w tym domu alkoholu.

W tej chwili zadowolilibym się nawet butelką denaturatu.

Nurkuję w zamrażarce, w której pomiędzy pojemnikami z mrożonym sosem do spaghetti, znajduję płynne złoto. Butelkę likieru Southern Comfort.

Przyglądam się etykietce, a śliska napływa mi do ust.

– Zuch chłopak, Robbie. Mój człowiek.

Otwieram butelkę i biorę łyk, zbyt niecierpliwy, żeby kłopotać się kieliszkiem. Zimny płyn pali przyjemnie, paraliżując moje gardło. Wyjmuję z zamrażarki paczkę groszku, żeby obłożyć nią poranione knykcie. Wyciągam z szafki szklaneczkę, napełniam ją do połowy bursztynowym alkoholem. Gdy obracam nim w szklance, słyszę na schodach tupot odzianych w skarpetki stóp.

Chwilę później w drzwiach staje Rory, ubrany w niebieskie spodnie od pizamy i biały bawełniany podkoszulek, a brązowe, lekko kręcone włosy sterczą mu na wszystkie strony. Jednak oczy ma szeroko otwarte. Widać w nich zdenerwowanie, co podpowiada mi, że nie śpi już od dłuższego czasu.

– Co tu robisz? – pytam cicho.

– Chciało mi się pić – kłamie. – Możesz dać mi szklanek wody?

Wskazuję, żeby usiadł na środku przy kuchennej wyspie, następnie nalewam mu zimnej wody z kranu. Przesuwam szklanekę po blacie, przez dłuższą chwilę pijemy swoje napoje w ciszy, w słabo oświetlonej kuchni.

W końcu chłopiec wyznaje:

– Słyszałem twoją kłótnię z ciocią Chelsea.

Kiwam głową.

Zerka na mnie z wahaniem w niebieskich oczach.

– Mówiłeś głośno. Brzmiałeś, jakbyś był zły.

Biorę łyk i wzdycham.

– Tak. Byłem zły.

Już zżera mnie poczucie winy, ale gdy widzę jego zmartwioną minę, ukłucie żalu jest jeszcze większe.

– Czy teraz odejdziesz?

Odstawiam szklanekę na blat i patrzę mu w oczy.

– Nie, Rory, nie odejdę.

Odpręża się nieco.

– Dobrze.

Pije wodę, po czym pyta:

– Dlaczego się kłóciliście?

– Straciłem panowanie nad sobą.

– Zachowałeś się jak wkurzony mały gnojek? – pyta, wykorzystując przeciwko mnie moje własne słowa.

Prycham. Dzieciak jest bystry, muszę mu to przyznać.

– Mniej więcej.

– Rodzice też się czasem kłócili.

Przy całym stresie z powodu tak liczego potomstwa, wcale mnie to nie dziwi. Właściwie, gdyby Robert McQuaid w którejś chwili wykonał słynne włamanie przez drzwi jak ze *Lśnienia*, nie byłbym zaskoczony.

– ...ale robili to w samochodzie.

Uśmiech igra mi na ustach.

– W samochodzie?

– Tak. – Śmieje się. – Chyba nie chcieli, żebyśmy wiedzieli o ich kłótni, więc zamykali się w aucie, żeby nie było ich słychać. Obserwowaliśmy ich z okna na górze.

– Cichnie, uśmiechając się na to wspomnienie. – Mama tak machała rękami... –

Gestykułuje żywiłowo niczym ośmiornica z padaczką. – A tata robił tak... – Uciska nasadę nosa i kręci głową, idealnie naśladując mężczyznę, który próbuje przekonać do czegoś nierozsądną kobietę.

– Co się działo, gdy wracali do domu? – pytam.

Młody zastanawia się przez chwilę.

– Trochę się unikali. Nie chcieli ze sobą rozmawiać ani na siebie patrzeć. Ale po jakimś czasie wszystko między nimi wracało do normy, wiesz?

Właściwie to nie wiem. Miałem miejsce w pierwszym rzędzie przy „nieporozumieniach” moich rodziców, chociaż nigdy się nie godzili. Jednak kiwam głową i mówię to, z czego zdaję już sobie sprawę:

– Byli dobrymi rodzicami, młody.

Wzdycha głośno, słysząc w tym cień smutku.

– No tak.

Dopijam drinka.

– Już późno, wracaj do łóżka.

Rory zeskakuje z wysokiego stołka i razem wchodzimy na górę. Kiedy podchodzimy pod drzwi jego pokoju, wytyka z nonszalancją, którą już dobrze poznałem:

– Nie jestem małym dzieckiem, wiesz? Nie musisz układać mnie do snu.

Klepię go po plecach.

– Tak, wiem.

Ale i tak wchodzę z nim do środka.

Kiedy Rory wskakuje na dolne łóżko, przyglądam się Raymondowi, który chrapie na górnym i poprawiam mu kołdrę, którą skopał. Kiedy Rory się okrywa, jego kołdrę

także poprawiam.

– Dobranoc, Rory. Słodkich snów.

– Branoc. – Obraca się na bok, poprawiając poduszkę. Wychodzę, ale w drzwiach zatrzymuje mnie cichy głos chłopca: – Cieszę się, że tu jesteś.

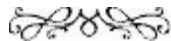
Szokuje mnie to, ale uświadamiam sobie, że ja też.

Odwracam się i widzę w ciemności jego małe ciało, uśmiecha się nieśmiało. Odpowiadam mu:

– Ja też się cieszę.

Mały zamyka oczy.

Jednakże jest w tym domu osoba, która zapewne nie cieszy się w tej chwili z mojej obecności. Idę prosto do jej sypialni, ponieważ musimy porozmawiać.



Słyszałem ludzi mówiących o lęku. Niepokoju. Jednak mnie to nie dotyczyło. Nie denerwuję się przed rozpoczęciem rozprawy w sądzie ani przed wydaniem wyroku. Nie denerwuję się, gdy szef wzywa mnie do siebie ani tym bardziej przed rozmową z dziewczyną, którą mam ochotę zaliczyć. Najwyraźniej nigdy nie zależało mi na niczym – nikim – wystarczająco, aby bać się, że coś może się nie udać. Zawsze uważałem, że wszystko naprawię, w najgorszym wypadku zastąpię czymś nowym.

Już wiecie, co zaraz powiem, co?

Tak, stojąc przed zamkniętymi drzwiami pokoju Chelsea, denerwuję się jak cholera. Pocą mi się dłonie, żołądek zaciska, a skóra zaczyna swędzieć. Czuję, że serce podchodzi mi do gardła.

Jak ludzie potrafią z tym żyć?

To okropne. Nie znoszę tego.

Najszybszym sposobem uporania się z tym uczuciem jest poradzenie sobie z sytuacją. Rozmowa z Chelsea. Wypicie piwa, którego się nawarzyło z uśmiechem na ustach. Jestem gotów to zrobić.

Jeśli tylko zmuszę się, żeby zapukać do jej drzwi.

Jednak w grę wchodzi dodatkowo lęk. Nie pozwala mi zapukać, ponieważ... Co będzie, jeśli każe mi spadać? Co jeśli nie przyjmie przeprosin? Co jeśli dojdzie do wniosku, że jestem brutalnym dupkiem, który nie nadaje się dla niej i dla dzieci?

*Cholera.*

Ruch na podłodze przykuwa moją uwagę. Spoglądam w dół – Kuzyn Coś patrzy na mnie chłodno. Nie macha ogonem, tylko przygląda mi się szyderczo. Słyszę w głowie, jak telepatycznie wzywa mnie od cipek.

– Zamknij się – warczę.

Odwraca się ode mnie z odrazą i odchodzi.

Przeczesałem włosy palcami, biorę wdech i pukam dwukrotnie. Na tyle delikatnie, żeby nie pobudzić wszystkich w domu, jednak dość zdecydowane. Kobiety lubią pewnych siebie mężczyzn. Drzwi otwierają się szybciej, niż się spodziewałem, ale szpara jest na tyle wąska, że widać jedynie twarz Chelsea. Ma zaczerwienione

i wilgotne oczy.

Opieram się o skrzydło i pochylam.

– Dobrze się czujesz?

Unosi głowę, próbuje okazać stoicką obojętność, ale jest w tym tak samo kiepska jak jej wyszczekany bratanek.

– Nic mi nie jest.

Zamyka mi drzwi przed nosem. Nie trzaska nimi, ale odnoszę wrażenie, że bardzo chciałyby.

Pukam ponownie.

Znów je otwiera i przygląda mi się z tym samym wyrazem twarzy.

– Zachowałem się jak kretyn. – Pomyślałem, że lepiej darować sobie wstęp i od razu przejść do istoty rzeczy.

Tym razem mierzy mnie wzrokiem, oceniając moją szczerłość. Jej piękne usta pozostają zaciśnięte w wąską linię.

– Z tym się zgadzam.

Ponownie zamyka drzwi.

Kiedy pukam raz jeszcze, znów uchyla drzwi, ale tym razem wsuwam w nie stopę, żeby nie mogła ich zamknąć.

– Przepraszam, Chelsea.

Czy słyszy w moim głosie zdenerwowanie? Żal, który jest do mnie zupełnie niepodobny? Wie, że to głos zarezerwowany wyłącznie dla niej?

*Oczywiście, że nie wie, idioto, bo jej o tym nie powiedziałeś.*

– Byłem wściekły, bo on, tamten, chciał zrobić ci krzywdę. Wyładowałem się na tobie, ale niesłusznie.

Chelsea mruga, wyraz jej twarzy ociepla się nieco, ale wciąż jest chłodny. Wzrusza ramionami, niemal się śmieję, ponieważ już wiem od kogo nauczyła się tego Riley.

– Zapomnij o tym, Jake. Wszystko w porządku.

– Nie, nie jest w porządku. – Wsuwając twarz w szczelinę drzwi, czuję się jak debil, ale muszę jej to wyłożyć: – Częściowo byłem wkurzony jeszcze, zanim z nimi wyszłaś, bo byłem zazdrosny.

Opada jej szczęka.

– Zazdrosny?

Przytakuję.

– Mogę wejść? Czuję się nieswojo, rozmawiając przez tę szczelinę.

– Och. – Odsuwa się, otwierając szerzej drzwi. – Jasne.

Wchodzę, zamykam je za sobą i czuję się przytłoczony jej osobą – jej zapach unosi się w powietrzu, ubrania leżą na fotelu w kącie, a biżuteria, która zdobiła szyję leży teraz na komodzie. Na szafce nocnej stoi oprawione zdjęcie z zakończenia szkoły średniej, na którym ubrana w togę stoi obok brata i bratowej. Na łóżku spoczywa otwarty szkicownik. Przeciążenie tym widokiem i zapachem sprawia, że miękną mi kolana.

Chelsea staje przede mną i czeka. Przebrała się, zdjęła seksowną bluzkę i opięte

jeansy. Zastąpiła je jeszcze bardziej seksowną niebieską koszulką Dodgersów i małą białymi spodenkami. Zmyła makijaż, jej twarz otaczają jedynie miękkie kasztanowe fale. Moja ręka drży, wiedziona potrzebą zatopienia palców w tych falach. Mógłbym policzyć w nich wszystkie odcienie.

– Na pewno dobrze się czujesz? – pytam.

Rozkłada ręce i mówi:

– Tak. Już wcześniej miałam do czynienia z nachalnymi facetami. – Siada w nogach łóżka, bawiąc się kocem. – Po prostu nigdy nie spodziewałam się, że Lucas może być jednym z nich.

Nie chcę pytać, jednak czuję masochistyczną potrzebę poznania odpowiedzi.

– Był twoim chłopakiem?

– Nie, nigdy nie zaszło to tak daleko. Byliśmy przyjaciółmi. No wiesz, znajomymi.

*Tak, tak, wiem.*

Kręci głową.

– Napisali mi SMS-a z lotniska, zrobili niespodziankę. Gdy tylko się tu pojawili, wiedziałam, że to błąd, ponieważ wszystko, począwszy od mojego postrzegania życia, aż do idei dobrej zabawy, się zmieniło. – W jej oczach maluje się żal. Ból z powodu śmierci brata oraz utraty beztrudnej dziewczyny, jaką kiedyś była. – Podejrzewam, że zmieniła mnie odpowiedzialność.

Siadam obok niej.

– Przykro mi.

*Przykro mi z powodu śmierci twojego brata. Przykro mi, że musiałaś dorosnąć z dnia na dzień. Przykro mi, że dźwigasz na ramionach ciężar sześciu innych światów.*

Przesuwam rękę na jej kolano, chcąc ją pocieszyć, jednak gdy tylko moja dłoń dotyka ciepłej skóry, coś się we mnie zmienia.

Chelsea również to czuje.

Opuszcza nieco gęste rzęsy, gdy patrzy mi w oczy. Przysuwa się dosłownie o centymetr.

– Dlaczego byłeś zazdrosny o Lucasa, Jake? – Zwilża językiem dolną wargę. Nie sądzę, żeby robiła to świadomie, ale nie potrafię skupić się na niczym innym. – To znaczy, on wciąż jest małym chłopcem, utrzymują go rodzice, więc może imprezować w każdy wieczór. Ty masz już prawdziwe życie i wspaniałą karierę.

– Ale on miał ciebie. – Nie myślę o tym, co mówię, ponieważ w Chelsea McQuaid jest coś takiego, co sprawia, że mam ochotę dawać. Jeszcze więcej. Drugą ręką obejmuję jej policzek. Jedwabiste pasma włosów prześlizgują się po moich palcach. – Miał cię przynajmniej dziś wieczór. Jak mógłbym nie być zazdrosny?

Chelsea przysuwa się jeszcze bliżej, więc pochylam głowę tak, że dzielą nas zaledwie centymetry. Jesteśmy tak blisko, że czuję słodką miętę w jej oddechu.

– Tego właśnie chcesz? – pyta cicho. – Pragniesz mnie?

Zatracam się w tych krystalicznie niebieskich oczach. Całkowicie pograżam się w bezkresnych i jasnych, niczym tropikalny ocean źrenicach. Mój głos jest jedynie

szeptem:

– Cały czas. Nie pamiętam, żebym cię nie pragnął.

Przysuwam się, aż nasze usta się łączą. Jezu! Z początku to powolne, delikatne testowanie, ale potem mocniej chwytam ją za kark, przyciągając do siebie. Nakrywam ustami jej wargi, które są miękkie, jędrne i tak bardzo chętne. Wydaje się to ekscytujące i znaczące. Jakby każdy pocałunek wcześniej był jedynie ćwiczeniem przygotowującym mnie na ten moment. Aby mnie tu przywieść, do tej chwili, w której nie potrafię posmakować jej wystarczająco głęboko, zbliżyć się dostatecznie...

Przyciskam się do niej mocniej, na co równie chętnie odpowiada, przechylając głowę, odwzajemniając pieśczętę. Przeciagam językiem po jej wargach, smakując miętę jak i ją samą. Chelsea otwiera usta, więc wsuwam w nie język, zagłębiając się z jękiem, gotowy ją pożreć.

Nie odrywając ode mnie warg, Chelsea klęka i opiera się o mnie. Dotyka zarostu na moim policzku. Przesuwamy się głębiej na łóżko, gdzie kładzie się na plecach, pociągając mnie za sobą, żebym pozostał blisko. Układam się między rozchyłonymi udami, czując żar jej pożądania. Przez koszulkę czuję jej napięte sutki. Przyciskają się przez materiał do mojej piersi niczym dwa ogniki, więc jęczę w jej usta. Chciałbym poczuć te płomyki na języku, zassać w usta ten ogień. Unosi głowę, powoli przesuwając językiem po moim.

Równie wolno, choć świadomie, unosi biodra.

*O Boże.* Poruszam swoimi, ocierając się o nią długim ruchem, ponieważ nie potrafię się powstrzymać. Odpowiada gardłowym jękiem, głębokim, niskim i tak dekadentkim jak jej smak. Sunę dłońmi w górę jej gładkich ud, aż na biodra. Wbijam palce w jej ciało, przytrzymując na miejscu, żebym ponownie mógł się o nią otrzeć.

Ale wtedy odwraca ode mnie głowę, oddychając ciężko.

– Jake, dzieci...

*Cholera.* Samo wspomnienie o sześciu demonach śpiących nieopodal, powinno zdusić moją żądzę. Jednak tak się nie dzieje. Mój sztywny, gorący fiut między nami szepcze: *Możecie być cicho. Przecież śpią. Macie do rana wiele godzin, jęczycy. Pomyśl o tym, jak dobrze możecie wykorzystać ten czas.*

W tym momencie niemowlak, który jakby słyszał ten szept, odzywa się w elektronicznej niańce stojącej na szafce nocnej.

*Niech to szlag jasny trafi, pioruny siarczyste spalą...*

To nie ja. To wciąż mój fiut.

Uwalniam Chelsea, układając się na plecach. Nakrywam przedramieniem oczy i dyszę, jakbym przebiegł maraton.

Słyszę swoje imię, więc rzucam:

– W porządku, masz rację. Po prostu... po prostu daj mi chwilę.

Albo godzinę. A najlepiej cały dzień.

Chelsea śmieje się bez tchu, słysząc w tym jednak odrobinę frustracji.

– Bratanek ma niesamowite wyczucie czasu. Niesamowicie kiepskie w dodatku.

Unoszę rękę i spoglądam na nią. Ma zaczerwienione policzki, opuchnięte usta. Tak cholernie dobrze wygląda.

Siada, żeby pójść do głodnego dziecka, ale przewracam się na bok i przyciągam ją do siebie.

– Pozwól mi się jutro gdzieś cię zabrać – proszę.

Przesuwa palcami po mojej brwi.

– Nie mam z kim zostawić dzieci. Nie wezmę byle jakiej opiekunki. Cała szóstka jest wymagająca.

– Zajmę się tym. – Tak się składa, że znam najbardziej cierpliwą, odpowiedzialną i silną opiekunkę. Udało jej się doprowadzić mnie do dorosłości w jednym kawałku, a sam byłem gorszy niż wszystkie pociechy McQuaidów razem wzięte.

Chelsea odchyła się w tył.

– Tak?

– Tak, więc się zgódź.

Całuje mnie – szybko i mocno, dokładnie tak jak lubię. Zeskakuje z łóżka, ponieważ płacz Ronana się wzmaga.

– Tak.







W sobotni wieczór o osiemnastej stoję w foyer Chelsea ubrany w czarne spodnie, szarą elegancką koszulę i czarną marynarkę. Chelsea wciąż przygotowuje się na górze. Nie poszedłem na bal maturalny, ale gdybym to zrobił, wyobrażam sobie, że byłoby mniej więcej tak samo. Ekscytacja. Podniecające możliwości. To dla mnie nowe emocje, ale nawet mi się podobają.

Słyszę pukanie, więc otwieram. Za drzwiami stoi zaklinaczka dzieci. Na szczęście dała radę przyjechać.

– Cześć, mammo.

Moja mama jest drobna, metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, waży czterdzieści pięć kilo, ma egzotyczne szaro-niebieskie oczy, które przejrzą każdą ściemę. Jej twarz jest ponadczasowo atrakcyjna. To, czego brak w jej fizycznej postaci, nadrabia niesamowitą osobowością. Dosłownie rzuca się na mnie, obejmując za szyję.

– Misiaczkule! Tęskniłam!

Kątem oka zauważam Rory'ego i Raymonda, podobnych niczym dwie krople wody. Raymond szturcha łokciem brata.

– Misiaczkule?

Wzdycham w duchu. Może być źle.

Za matką pojawia się Owen, jej długoletni partner, niosąc w obu rękach wielkie torby z zakupami. Owen jest po pięćdziesiątce, ma wielki brzuch i od lat jest prawie całkowicie łysy. Razem tworzą dziwną parę, taką, na widok której ludzie zastanawiają się: „Czy ona naprawdę ma zamiar z nim wyjść?”. Jednak Owen jest supergościem – cierpliwym, miłym, pracowitym – i od dnia, w którym poznał moją matkę, wielbi ziemię, po której stąpa.

Odkłada siatki na podłogę i ściska mi rękę.

– Miło cię widzieć, Jake.

– Och! – woła mama. Nigdy nie pozbyła się mocnego, południowego akcentu. – Muszę przynieść z samochodu jeszcze dwie siatki, nie możemy o nich zapomnieć.

Owen macha ręką.

– Zajmę się nimi, G. Spokojnie.

Wszystkie dzieciaki, oprócz Ronana ustawiają się rzędkiem w drzwiach salonu. Riley trzyma Regan na rękach.

– To one? – pyta mama, wskazując na nich ruchem głowy.

– Tak, one.

Podchodzi do nich powoli, przyglądając się każdemu po kolei.

– Cześć, dzieciaki. Jestem mamą Jake'a i waszą dzisiejszą opiekunką. Możecie nazwać mnie Gigi. – Wskazuje ręką przez ramię. – A to Owen.

– Co jest w siatkach? – pyta Rosaleen.

– Jaka urocza dziewczynka. – Mama klęka, żeby być na wysokości jej wzroku. –

W siatkach znajduje się nasze dzisiejsze zajęcie. Składniki na ciasteczka. Czekoladowe wiórki, cukier, masło orzechowe i kilka rzeczy, które tak naprawdę nie zostały jeszcze wynalezione.

Dwoje z piątki już się oblizuje.

Mama wstaje i zwraca się do Riley:

– Ty jesteś Riley, prawda?

– Mhm.

– Macie jakieś alergie, o których powinnam wiedzieć?

– Nie, Gigi, nie mamy alergii.

– Idealnie! – Przechodzi dalej i staje przed Rorym, który ma zaciśnięte usta, jednak w jego oczach widać podziw. – A ty jesteś Rory?

– Tak.

– Słyszałam, że jesteś twardzielem.

– No tak.

Mama krzyżuje ręce na piersi.

– Słyszałeś kiedyś o zatruciu salmonellą, Rory?

Zastanawia się przez chwilę.

– Można ją złapać z surowych jajek, prawda?

– Zgadza się. A wiesz czego potrzeba do ciasta?

– Jajek? – pyta Rory, wciąż brzmiąc jak mądrała.

– Tak. A ponieważ jesteś twardzielem, możesz zagrać z salmonellą w rosyjską ruletkę i zostać naszym testerem. Co o tym myślisz?

Mały uśmiecha się w końcu.

– Spoko.

– Dobrze, zatem niech każdy weźmie po siatce i pokażcie, gdzie kuchnia!

Każdy z ochotą wykonuje polecenie, łapie po siatce i idzie za moją matką niczym za szczurołapem. Z wyjątkiem Rosaleen, która zostaje ze mną w foyer. Podchodzę do schodów, opieram dłoń na barierce i czekam.

W końcu Chelsea pojawia się na stopniach. I nagle – bum – wszystko porusza się w zwolnionym tempie, zupełnie jak we wszystkich kiczowatych filmach dla młodzieży z lat osiemdziesiątych, których nigdy nie oglądałem. Niebieska sukienka faluje przy schodzeniu, odsłaniając na chwilę kawałeczek kremowego uda. Miękka tkanina opina jej talię, a głęboki dekolt w serek eksponuje wierzch uwodzicielskich, jasnych piersi. Jej kręcone, błyszczące włosy podskakują z każdym krokiem, tak samo jak piersi.

Jasnowłosa Rosaleen spogląda to na ciotkę, to znów na mnie.

– Masz zamiar ją pocałować? – pyta zaciekawiona.

Mój wzrok kontynuuje swoją podróż. Mówię, wzdychając:

– O, tak...

Rosaleen marszczy nosek jak królik, który dostał zepsutą marchewkę.

– To obrzydliwe, Jake.



Przypominam dzieciom, żeby nie dały w kość mojej matce, po czym zabieram Chelsea do Prime Rib – eleganckiej restauracji w centrum Waszyngtonu. Jest staroświecka i gustowna, znajdują się tu stoliki oświetlone świecami, drewniane panele na ścianach, wyszukane wina oraz sala do tańca, gdzie muzyk na żywo wygrywa na fortepianie delikatne dźwięki bluesowych aranżacji znanych utworów. Wchodzę przed kelnera i samodzielnie odsuwam krzesło dla Chelsea. Po wymienieniu specjalów, mężczyzna otwiera butelkę Cabernet Sauvignon, którą zamówiłem, kiedy przeglądaliśmy menu. Nagle przychodzi mi do głowy straszliwa myśl.

– Nie jesteś wegetarianką, prawda?

– Nie – rzuca Chelsea i wraca do przeglądania menu. – Nie pogardzę dorodną sztuką mięsa.

– Cieszę się. – Słyszac wesołość w moim głosie, zerka na mnie z figlarnym uśmiechem.

Zamawiamy potrawy, pijemy wino, a ja nie mogę oderwać od niej wzroku. Jest cholernie cudowna. Bierze łyk, a szkarłatna kropla zostaje na jej górnej wardze. Muska ją czubkiem języka, przez co cierpię, bo sam chciałbym to zrobić. Ssać te wargi. Spijać wino z jej ust.

Poprawiam spodnie pod stołem i upijam łyk z własnego kieliszka. Chryste, to będzie długi wieczór. Wszystko, co robi ta kobieta, wszystko, co mówi, sprawia, że myślę wyłącznie o powolnym, mocnym, mokrym seksie.

– Twoja mama nie jest taka, jak ją sobie wyobrażałam.

Wszystko oprócz tego.

– A jak ją sobie wyobrażałaś?

– Cóż... myślałam, że jest większa. Jak w ogóle przetrwała poród? Musiałeś być dużym dzieckiem. I wygląda tak młodo. – Wskazuje na mnie palcem. – To świadczy, że masz dobre geny. Powinieneś być wdzięczny.

– Mój ojciec był dobrze zbudowany, odziedziczyłem sylwetkę po nim. A mama wygląda młodo, ponieważ jest młoda. Urodziła mnie, kiedy miała szesnaście lat.

– Szesnaście? – powtarza Chelsea, myśląc pewnie: „To przecież tylko o dwa więcej niż ma Riley”. Dość młody wiek na dziecko.

Przytakuję i biorę łyk wina.

– Twój rodzic się rozwiedli? – pyta z wahaniem, nie chce wkroczyć na grząski grunt.

– Tak. – Wzruszam ramionami. – Ojciec odszedł, kiedy miałem osiem lat.

Na jej twarzy maluje się współczucie.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – wyznaję szczerze. – To była najlepsza rzecz, jaką mógł dla mnie zrobić.

Kelner przynosi jedzenie. Chelsea wytrzeszcza oczy na swoją połówkę, ponieważ kawałek znajdujący się na talerzu jest większy niż jej głowa.

– To dopiero dorodna sztuka mięsa.

Mówi to tak niewinnie, że nie ma mowy, że bym to przepuścił.

– Moja jest większa.

Odchyła głowę, chichocząc zdenerwowana.

– No co? – Śmieję się, wskazując na talerz. – Jest większa. No chyba że myślałaś, że mówię o czymś innym.

Jej odpowiedzią jest uroczy rumieniec.

– Niegrzeczna dziewczynka.

Bierze sztucę i zaczyna kroić mięso. Odczuwam perwersyjną przyjemność, przyglądając się jak wsuwa kęs do ust, jak zamyka oczy i cichutko jęczy wraz z każdym gryzem. Zanim zjada jedną czwartą swojego dania, znów muszę się poprawić, szukając miejsca w nagle ciasnych spodniach.

– Wychowywałeś się w Waszyngtonie? – pyta pomiędzy kolejnymi kęsami.

Przechylałem butelkę wina, napełniając jej kieliszek.

– Kiedy byłem mały, często się przenosiliśmy. Po odejściu ojca, mama nie miała wiele możliwości. Miała dwadzieścia cztery lata, dziecko, a nie ukończyła nawet szkoły średniej. Więc wstąpiła do armii.

– Wow. Ciężko mi ją sobie wyobrazić w wojsku.

Kręcę głową, krojąc stek.

– Możesz mi wierzyć, jest twardsza, niż na to wygląda. Ukończyła liceum i zrobiła dyplom wojskowego mechanika. Będąc dzieciakiem mieszkałem w kilku bazach. Nigdy nie wysłano jej na misję, ale przerzucano wszędzie, gdzie potrzebna była para rąk do pracy.

– Byłeś więc dzieckiem armii?

– Tak jakby. – Pewnie myślicie, że dziecko wychowywane w wojsku powinno być zdyscyplinowane i grzeczne, jednak nie zawsze tak jest. Za każdym razem byłem tym nowym, a żyliśmy w miejscach, gdzie siła znaczyła wszystko. Hasło przewodnie brzmiało: „Zabij albo zgiń”. Najszybszym sposobem na udowodnienie swojej wartości było podporządkowanie sobie innych. – Po tym jak została zwolniona, osiedliliśmy się w Baltimore.

Chelsea kiwa głową i bierze kolejny łyk.

– Tam właśnie poznała Owena?

– Tak. Też jest mechanikiem, ma swój warsztat. Prowadzą go teraz razem. – Uśmiecham się. – Poznali się, gdy przed jego posesją wdałem się w bójkę z paroma dzieciakami. Rozdzielił nas, zadzwonił do mamy, a dalej już się jakoś potoczyło i są razem do dzisiaj. Owen jest spoko.

Chelsea pyta o pewien szczegół:

– Wdałeś się w bójkę z paroma dzieciakami?

– Byłem duży. Walka jeden na jeden nie stanowiła prawdziwego wyzwania.

Uśmiecha się.

– Brzmi, jakbyś był łobuziakiem. Zupełnie jak Rory.

– Łobuziak to mało powiedziane. Rory w porównaniu do mnie jest święty.

– Becker?

Odwracam się na dźwięk swojego nazwiska i widzę zmierzającego ku nam uśmiechniętego Toma Caldwell. Jest młodym, ale ambitnym prokuratorem. Ma jasne oczy i brązowe włosy. Jest zasadniczym, twardo stąpającym po ziemi facetem. Jest również oskarżycielem w moim nadchodzącym, szumnym procesie senatora Holtena.

– Caldwell. – Kiwam głową, ściskając jego wyciągniętą dłoń.

– Tak mi się wydawało, że to ty. Co słyszeć?

Interakcje między adwokatami a oskarżycielami są dziwaczne. Na sali sądowej dokładamy wszelkich starań, żeby się nawzajem wypatroszyć. Poza nią po przyjacielsku ściskamy sobie dłonie, czasem gramy nawet w weekendowej lidze *softballa*. Nie powinniśmy brać niczego do siebie, ponieważ atak na sali sądowej nie jest osobisty. To tylko interes, część gry.

– W porządku – odpowiadam wymijająco. – A u ciebie?

– Dobrze. Jestem tu z rodzicami. Oprawdzam ich po Waszyngtonie. – Spogląda na Chelsea i widać rozpalające się w nim zainteresowanie. Zapewne uważa, że tego nie dostrzegam, ale się myli.

Etykieta mówi, że powinienem ich sobie przedstawić, jednak etykieta może pocałować mnie w dupę, według mnie to tylko zbiór bezsensownych zasad.

Jak już wspominałem, Tom nie jest typem, który pozwala, żeby cokolwiek stało mu na drodze. Wyciąga rękę do Chelsea.

– Cześć, Tom Caldwell.

– Chelsea – mówi, ściskając jego rękę.

– Jesteś klientką Beckera?

Uśmiecha się.

– Nie. Chociaż reprezentował kilku członków mojej rodziny.

– Są w dobrych rękach. Becker jest świetnym obrońcą.

– A twoje życie byłoby o wiele przyjemniejsze, gdybym nie był – rzucam.

Prycha.

– Prawda. – Spogląda w kierunku wyjścia. – Powinienem się zbierać. Udanego wieczoru. Miło było cię poznać, Chelsea. – Klepie mnie w ramię. – Do zobaczenia w sądzie, Jake.

– Dobranoc, Tom.

Kiedy odchodzi, Chelsea pyta:

– Twój przyjaciel?

Kręcę głową.

– Raczej nie.

Kończymy posiłek i dzielimy się sernikiem, ale nie zamawiamy kawy, bo nie chcemy zabijać smaku wyśmienitego wina. Słyszę jeszcze więcej jęków, przez co znów muszę się poprawić, podczas gdy Chelsea powoli bierze do ust kęs białej, kremowej masy. Kurwa, a ja posądzałem ją o świńskie myśli. Fiut naciska na materiał spodni w taki sposób, w jaki więzień rzuca się na kraty, żądając uwolnienia.

Chelsea jest zarumieniona z powodu wypitego alkoholu. Ma przymknięte oczy, w których maluje się wesołość, ale przez to trudniej mi odczytać, co się w nich kryje. Opiera się wygodnie i patrzy na mnie, wodząc palcem po kieliszku.

– Skoro sprawiałeś kłopoty, kiedy byłeś mały, w jaki sposób stałeś się... – Wskazuje na mnie. – ...taki? Jakim cudem stałeś się poważnym, odnoszącym sukcesy, szanowanym obywatelem?

Nalewam resztę wina do swojego kieliszka.

– Powaga w odniesieniu do mnie jest zapewne przesadą. Kiedy miałem piętnaście lat, wpadłem w poważne kłopoty. Kumpłowałem się ze starszymi chłopakami. Pewnej nocy wymyśliliśmy, żeby włamać się do sklepu sportowego. Byliśmy aż tak głupi, choć nie wiedziałem, że jeden z chłopaków miał broń. Skończyło się na tym, że postrzelił ochroniarza w nogę.

Chelsea wciąga gwałtownie powietrze.

Mój fiut podrywa się na ten dźwięk.

– Uciekliśmy na tyły, wpadając prosto na radiowóz. – Kręcę głową z powodu mojego idiotyzmu. – Oskarżyciel chciał mnie sądzić jak dorosłego, wysłać do prawdziwego więzienia, a ja wiedziałem, że mógł to zrobić. Miałem wybuchowy temperament i grubą kartotekę. Myślałem również, że oprócz mamy, cały świat mnie nienawidzi.

Chelsea przysuwa się do stołu, zasłuchana w moją opowieść.

– I co dalej?

– Trafiłem na sędziego Atticusa Faulknera. Przewodniczył na moim procesie. Był wielkim, przerażającym sukinsynem. I uznał, że jest we mnie coś wartego ratunku. Nie zgodził się na sąd dla pełnoletnich, przydzielił mi pracę społeczną oraz kuratora, którym mianował samego siebie. – Śmieję się. – Wtedy myślałem, że wyświadcza mi przysługę, że mi się upiekło.

– A nie było tak?

– W zasadzie to zależy, jak na to spojrzeć. Przez następne kilka lat strzygłem trawę pieprzonymi nożycami ogrodowymi. Przenosiłem głazy, szorowałem podłogi, naprawiałem cholerny dach. Serio, dawał mi wszystkie główniane zajęcia, jak pan Miyagi. Zadręczał mnie i nigdy z niczego nie był zadowolony. Sprawiał, że chciałem wszystko robić lepiej, żeby tylko go zadowolić. A wtedy pozwalał mi przeprowadzać poszukiwania. Badać sądowe sprawy, czytać dokumenty, analizować opinie. To mnie fascynowało. Kiedy skończył się okres mojej kary, Sędzia zaproponował mi pracę. Do tamtego czasu otrząsnąłem się, zacząłem zdobywać satysfakcjonujące stopnie. Z jego rekomendacją i pożyczką studencką dostałem się na studia prawnicze. I jakoś poszło.

– Myślę, że to niesamowite – mówi cicho Chelsea, wciąż mi się przyglądając.

– Tak. Sędzia jest niesamowitym facetem.

Na jej twarzy maluje się łagodny uśmiech, a w oczach błyszczy zachwyt.

– Mówiłam o tobie.

Zaskakuje mnie. Szokuje, ale właśnie taki wpływ wywiera na mnie ta wspaniała kobieta.

Chelsea obraca głowę w kierunku sąsiedniego pomieszczenia, skąd płynie muzyka fortepianowa.

– Uwielbiam tę piosenkę.

To cover *Crazy Love* Vana Morrisona.

Rzucam serwetkę na stół, wstaję i wyciągam rękę do Chelsea.

– Zatańczysz? – Widzę, że jest zaskoczona. Prosta radość na jej twarzy, gdy podaje mi dłoń, sprawia, że mam ochotę powtórzyć ten gest.

Kiedy stajemy na skraju parkietu, kładę rękę na jej plecach, przysuwając ją do siebie. Chelsea opiera jedną dłoń na moim ramieniu, delikatnie bawiąc się włosami na moim karku. Drugą rękę trzymam w dłoni, przyciskając sobie do piersi. Kołyszemy się, przez chwilę, przyglądając się sobie.

– Miałam poprosić cię do tańca – mówi. – Ale nie wyglądałeś mi na kogoś, kto by się zgodził.

– Bo nie jestem taki – odpowiadam, patrząc na jej pełne usta. – Teraz to jedynie wymówka, żeby być bliżej ciebie.

„*Ona daje mi miłość, miłość, miłość, miłość, szaloną miłość...*”

Chelsea wzdycha, zatracając się w moich ramionach. Opiera głowę na piersi, jakby tam było jej miejsce. Kładę podbródek na jej głowie i oddycham słodką, waniliową wonią szamponu.

– Jake?

– Tak?

Unosi twarz.

– Nie potrzebujesz wymówek.

Pochylam głowę, Chelsea w tej samej chwili się przysuwa, a jej usta – cholera – są ciepłe, miękkie i poruszają się z taką niewinnością, że przyprawiają mnie o dreszcze. Wczoraj pocałowałem ją po raz pierwszy? Wydaje się, że było to już dawno temu. Obejmuję jej policzek, muskając skórę kciukiem, pogłębiając pocałunek, smakując wino i jęk, który pobudzał mnie cały wieczór.

A co jest w tym najbardziej szalone? Nie uprawiałem seksu od trzech tygodni, ale jeśli mielibyśmy robić tylko to, jeśli miałbym ją tylko całować i tulić, rano szczyrzyłbym zęby w uśmiechu niczym chłopak, który przeleciał całą drużynę cheerleaderek.

Mam jednak nadzieję na więcej. Chcę wszystkiego, odkryć tajemnicę jej najsłodszych części, ale jeśli dostanę dziś tylko to? Też wystarczy.

„*Ona daje mi miłość, miłość, miłość, miłość, szaloną miłość...*”







Zamykam za Chelsea drzwi samochodu i daję napiwek chłopakowi parkingowemu. Wskakuję za kierownicę i odjeżdżam sprzed restauracji.

Nadeszła chwila prawdy.

– Powiedziałem mamie i Owenowi, że mogą zostać na noc w pokoju gościnnym, żeby nie musieli wracać dziś do Baltimore.

– To dobrze. – Przytakuje Chelsea.

Przeciągam dłonią po kierownicy.

– To znaczy, że moglibyśmy pojechać do mnie albo...

– Jedźmy do ciebie – mówi pospiesznie, przez co się uśmiecham.

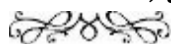
– Zatem do mnie.

Po drodze rozmyślam, jak będzie. Nie chcę wykazywać nadmiernej chęci i rzucać się na nią już od progu.

Bez względu na to, jak bardzo tego pragnę.

Muszę działać powoli, delikatnie. Uwiesić ją. Zaproponować drinka, pokazać mieszkanie. Nie to, żebym już tego nie robił, jednak tym razem czuję się inaczej, ponieważ ją poznałem.

I naprawdę lubię. Po prostu jest to nieważne, jak dziwacznie to brzmi.



Wchodzę przed Chelsea, zapalam stojącą na stole lampkę, która oświetla czarne, skórzane kanapy, drewniane podłogi i nagie ściany. Nie uznaję dekoracji.

Chelsea zamyka drzwi, kiedy rzucam klucze na stół. Obracam się i pytam:

– Napijiesz...

Jednak nie udaje mi się dokończyć zdania.

Chelsea wpada na mnie, obejmuje za szyję, praktycznie wbijając się w moją pierś, przyciąga moją głowę w dół i łączy nasze usta. W ogóle się czegoś takiego nie spodziewałem.

Cholernie mnie to kręci.

Przyciska piersi do mojej klatki i ociera się biodrami, wywołując przepyszne tarcie w mojej pachwinie. A jej usta – Boże – ssie mój język, skubie wargi, przytrzymując je między zębami, ciągnąc i puszczając na granicy bólu, przez co zaczynam tracić rozum.

Kiedy przesuwa dłoń po mojej piersi i pociera materiał na moim kroczu, jęczę:

– Jezus, zwolnij.

Odsuwa się dysząc.

– Nie chcę zwalniać.

Mówi pewnie, z przekonaniem i jednocześnie rozpaczliwą potrzebą, a moje serce mocno kołacze w piersi.

– Okej.

Wsuwam ręce pod jej sukienkę, kładąc je na gorących, jędrnych udach tuż pod

pośladkami i podnoszę ją, a ona obejmuje mnie w pasie tymi idealnymi nogami. Wplata palce w moje włosy, kiedy przechylam głowę, przysuwając do niej usta. Oddaję pieśczętę ssąc i skubiąc, drapiąc jej pełne wargi zębami, jak marzyłem o tym od tygodni, a z gardła Chelsea dochodzi ostry, wibrujący dźwięk, przez co, jak Boga kocham, niemal kończę w spodniach.

Przesuwa się w górę i w dół, ocierając o mój brzuch, gdy zataczając się, niosę ją do sypialni.

– Ubranie – sapię pomiędzy pocałunkami. – Za dużo ubrań.

Kiwa głową, śmiejąc się i próbuje zdjąć mi marynarkę, ale wciąż trzymam ją w ramionach, więc kończy się to przyciśnięciem moich łokci do boków, jakbym był zawodnikiem na meczu hokeja, któremu zaraz mają wpięprzyć w bójce na lodzie. W końcu udaje nam się dotrzeć do sypialni. Chelsea dotyka mojego policzka, całując mnie, jednocześnie opuszcza nogi i zsuwa się na podłogę.

Zdejmuję marynarkę i oddycham głęboko, starając się odzyskać odrobinę finezji. Przesuwam palcami po jej ramionach, ustami nakrywam miejsce, gdzie widać jej puls i jęk rozchodzi się po pokoju.

Jednak nie wiem, czy pochodzi od niej czy ode mnie.

Smakuję jej skórę, liżąc i ssąc. Jest ciepła, cholernie słodka. Bez patrzenia odpinam zamek na plecach jej sukienki. Chelsea opuszcza ręce, pozwalając tkaninie opaść do stóp. Przyglądam się.

Odsuwam się nieco, sycąc oczy. Cała ta jasna, gładka skóra okryta jedynie gdzieniegdzie kawałkami koronki błaga o dotyk. Kurwa, widzę jej sutki prześwitujące przez biustonosz, twarde, zadarte, różowe punkciki. Jej brzuch jest płaski, z zaznaczonymi mięśniami, talia wąska, objąłbym ją całą obiema dłońmi. Jej nogi – Chryste – długie, szczupłe, jedwabiste, takie, jakich się spodziewałem. U zbiegu ud, przez koronkowe majteczki prześwituje wąski paseczek kasztanowych włosów.

Mam ochotę potrzeć twarzą o tę miękkość, zębami zerwać tę koronkę i pieprzyć ją językiem, aż będzie pamiętała jedynie moje imię.

– Jesteś idealna – mówię cichym, ochryłym głosem.

Patrzy mi w oczy, wyraźnie się niecierpliwi.

– A ty jesteś za bardzo ubrany.

Uśmiecham się lekko, wciąż patrząc jej w oczy, jednocześnie powoli rozpinając koszulę. Jej intensywnie niebieskie tęczy wydają się płonąć, gdy zsuwam materiał z ramion i upuszczam go na podłogę. Przygląda się moim tatużom, twardym bicepsom, zwilżając usta końcówką różowego języka. Nadal się uśmiechając, rozpinam guzik spodni i rozsuwam rozporek. Mój fiut cieszy się z wolności sztywno podskakując, chwilę później czarne bokserki również dołączają do spodni na podłodze.

Staję przed Chelsea nagi i odczuwam największą żądzę w życiu. Jej intensywne spojrzenie nadal krąży po moim ciele. Czuję się, jakby dotykała mnie dłonią, gdy przeciąga nim po mojej szyi, piersi, grzbietach mięśni brzucha i niżej. Gdy dociera do członka, twardego i gotowego, wytrzeszcza oczy.

Następnie chichocze.

Niezupełnie takiej reakcji oczekiwałem.

– Widzisz coś zabawnego?

Lekki rumieniec na jej policzkach przechodzi w szkarłat i ponownie słyszę śmiech.

– Wbijasz nóż w moje ego, Chelsea.

– Nie, to nie... – Bierze wdech. – Masz naprawdę duże dłonie.

Marszczę czoło w konsternacji.

– No i?

– I pomyślałam, że to, co mówią o facetach z dużymi dłońmi jest zdecydowanie prawdziwe.

Słyszałem wcześniej podobne komplementy. Cóż mogę rzec? Kiedy Bóg rozdawał penisy, mi trafił się dość duży.

Jednak Chelsea brzmi na trochę poddenerwowaną, kiedy wyznaje:

– Minęło trochę czasu, Jake.

– Ile dokładnie?

– Osiem miesięcy.

To dużo czasu, a ponieważ jestem podłym draniem, natychmiast myślę o tym, jak ciasna będzie wokół mnie.

Odsuwam te myśli na bok i skupiam się na Chelsea.

– To zrobimy tak: położysz się w moim wielkim łóżku, a ja zrobię ci dobrze palcami i językiem. – Mówiąc to pocieram ręką fiuta, ponieważ tak dobrze robić to na jej oczach. – Po czym zrobimy to naprawdę wolno, kawałeczek po kawałku, aż będziesz błagała, żebym przyspieszył. Może być?

Pierś Chelsea pospiesznie się unosi i opada.

– Tak. Podoba mi się ten pomysł.

– Dobrze. – Czuję, że zaraz umrę, jeśli moje usta natychmiast nie znajdą się na jej skórze. – Chodź do mnie. – Spotykamy się w połowie, Chelsea unosi głowę, witając moje usta. Pocałunek jest wolniejszy, ale głębszy i rytmiczny. Nie przerywam, aż czuję, że się rozluźnia, dopiero wtedy wracam do pieszczenia jej słodkiej szyi. Muskam nosem obojczyk, pozostawiając wilgotny ślad po pocałunku wzdłuż jej żyły, która biegnie za uchem. Chelsea odchyła głowę i jęczy moje imię. Zsuwam ramiączko jej biustonosza, skubiąc skórę zębami. Rozpinam go z tyłu, więc opada i już nic nie dzieli moich ust i jej jasnych, absolutnie idealnych piersi.

Pochylam głowę i biorę jeden różowy sutek w usta, przesuwam po nim językiem, przez co Chelsea się wiję i ociera o moje udo. Podnoszę ją, zaplatając sobie jej nogi w pasie, zanim ostrożnie układam ją na środku łóżka. Przyciąga mnie do siebie, naprowadza między uda, więc całujemy się i dotykamy, jęczymy i ocieramy się o siebie. To cholernie fenomenalne.

Z ust Chelsea wydostają się krótkie przekleństwa i jest to cholernie seksowne, ponieważ próbuje je zatrzymać, ale nie może.

Przesuwam się w dół jej ciała, całując i liżąc po drodze. Skubię skórę wokół jej pępka,

przez co porusza się jej brzuch. Kiedy mam zamiar zanurkować ku jej cipce, Chelsea szepcze moje imię:

– Jake.

Tylko że nie jest to jęk przyjemności – nic w stylu: „Pieprz mnie, Jake i to natychmiast”. Brzmi bardziej jak nakaz zatrzymania.

Spoglądam jej w oczy i pytam tuż przy skórze:

– Co się stało?

W jej oczach pojawia się wahanie. Chelsea macha ręką.

– Powinieneś wiedzieć, że zazwyczaj nie... to zazwyczaj nie działa.

– Co masz na myśli?

– To, że czasami może długo potrwać, zanim coś poczuję, kiedy facet...

– Robi ci dobrze językiem? – kończę za nią.

Przysięgam, że całe jej ciało oblewa się rumieńcem.

– Tak.

Rozważam tę informację, skubiąc zębami skórę poniżej kości jej biodra. Jest smakowita.

– Chcesz, żebym przestał?

*Proszę, odmów, proszę, powiedz „nie”, proszę...*

– Nie, w porządku...

*Dzięki Bogu.*

– ...tylko nie chciałam, żebyś był rozczarowany.

Śmieję się lekko, bo to najbardziej absurdalna rzecz jaką w życiu słyszałem.

– To naprawdę niemożliwe.

Ale jestem zaintrygowany. Ponownie przesuwam się w górę, całuję ją w usta, a jej piersi w rozkoszny sposób przyciskają się do mojego torsu. Poruszam biodrami, ocierając się o nią. Chelsea jęczy, ssie moją szyję, poddając się pieszczotom.

– Dlaczego uważasz, że nie uda ci się osiągnąć spełnienia z moją twarzą między nogami? – pytam tuż przy jej uchu.

– Naprawdę musimy teraz o tym rozmawiać?

– Jestem prawnikiem. Podnieca mnie zadawanie pytań. Uzyskiwanie odpowiedzi też jest seksowne.

– Po prostu... – dyszy. – Wydaje mi się, że nie jestem w stanie wystarczająco się zrelaksować, wiesz? Nie potrafię wyłączyć myśli. Zawsze się martwię...

Językiem delikatnie śledzę kształt jej ucha, po czym mówię:

– O co się martwisz?

Drapie mnie po plecach.

– No wiesz... o dźwięki jakie wydają... o zapach... o smak...

Żartuje? Nie ma mowy, żebym odpuścił.

– Zamknij oczy, Chelsea.

Wykonuje polecenie. Biorę ją za rękę i naprowadzam na członek, po czym przesuwam nią powoli w górę i w dół.

*Tak cholernie dobrze.*

– Wypowiedz moje imię.

– Jake.

*Chryste.*

– Jeszcze raz – chrząkam. – Z jękiem.

– Jaaake...

Robię się coraz twardszy w jej dłoni, gorętszy. Pocieram jej kciukiem o kropelkę wilgoci, rozcierając ją na całej żołądzi.

– Czujesz? – dyszę.

– Tak. – Wciąga powietrze. – Tak.

– Tak się czuję przez dźwięki, które wydajesz.

Jej dłoń pozostaje na mnie, gdy przenoszę swoją na jej brzuch i majteczki. Jest gładka i tak wilgotna, że muszę przygryźć wargę, żeby nie jęczeć. Przeciągam palcami po jej ciepłych fałdkach. Unoszę rękę i przysuwam ją do jej twarzy.

– Co czujesz?

Oddycha ciężko ustami, przez co odpowiedź zajmuje jej chwilę.

– Pachnie... dobrze... seksownie. O Boże, pachnie, jakbym naprawdę mocno cię pragnęła.

*Świetna odpowiedź.*

Z powrotem przenoszę rękę w dół, okrążając palcami jej wejście, drocząc się z nią jak i ze sobą, następnie przesuwam nimi po jej ustach, naznaczając je jej własnymi sokami. Wie czego chcę, więc bez nakazu wysuwa język.

– Jak smakujesz, Chelsea?

– Słodko... – dyszy. – To ciepłe, gęste jak miód.

Nie potrafię się dłużej powstrzymać. Łączę nasze wargi, spijam słodki smak z jej ust. Zlizuję każdą kroplę. Kiedy się w końcu odsuwam, przyrzekam:

– A teraz się tobą zajmę i będzie to dla mnie tak samo niesamowite jak dla ciebie.

A może nawet lepsze.

Bardzo jej pragnę. Zdejmuję jej bieliznę i rozszerzam nogi. Opadam ustami na jej kobiecość, lizając, ssąc, pracując nad nią językiem.

Wygina plecy, przyciska do mnie biodra. Chwytam je i przytrzymuję, wkładając w nią język, smakując nieba. Wciskam się w nią mocniej, przysuwając twarz, zatapiając się w niej. To wspaniałe uczucie. Pożeram ją jakby była moim ostatnim posiłkiem, rozkoszując się jej delikatnością.

Językiem zataczam kółeczka na jej łechtaczce i wsuwam w nią dwa palce. Jej mięśnie zaciskają się, gdy poruszam nimi w przód i w tył. Słyszę jęk, po czym zaczyna szczytować, długo i mocno, pulsuje wokół moich palców i tuż przy ustach.

Unoszę się, ocieram wargi o ramię, nie dając Chelsea chwili wytchnienia, ponieważ nie mogę czekać.

Obejmuje moją twarz i przyciąga do siebie moje usta. Chwytam fiuta w dłoń, przesuwając główką po jej szparce, drażniąc wejście.

Wchodzę w nią powoli. Tylko troszkę.

Cholera, ależ jest ciasna. Zamykam oczy, gdy czuję, jak obejmuje moją żołądź, jej mięśnie zaciskają się, wciągając mnie głębiej.

*Czekaj, woła mój umysł. Czekaj, czekaj, czekaj...*

Podtrzymuję się nad nią na łokciu, moje ciało walczy ze zdrowym rozsądkiem o pieprzone opanowanie. Jakiś cholerny spokój. Ponieważ muszę z niej wyjść. Muszę założyć gumkę.

Chelsea, jakby czytała mi w myślach.

– Mam plaster – dyszy z desperacją podobną do tej, którą sam odczuwam. – Antykoncepcyjny. Badałam się... W studenckiej klinice. Jestem zdrowa. Nigdy nie... Nie robiłam tego bez... Nigdy. Ale chcę, żeby było ci naprawdę...

To już przebiło wszystkie poprzednie doświadczenia, a jeszcze nie osiągnąłem orgazmu.

– I...

Delikatnie głaszcze moją twarz. Spoglądam w jej przepiękne niebieskie oczy.

– ...i ufam ci, Jake.

To niezbyt mądre. Właściwie bardzo głupie, zwłaszcza w moim przypadku. Szczególnie po tym, co przytrafiło mi się kilka tygodni temu. Jednak odczuwanie jej w ten sposób, wsuwanie się w nią bez żadnej bariery... Jak miałbym odmówić?

Chyba naprawdę straciłem rozum.

Ponieważ nie odmawiam.

– Możesz... – obiecuję. – ...mi ufać. Nie zrobię ci krzywdy.

Kiwa głową, patrząc mi w oczy. Tylko tego mi trzeba.

Poruszam biodrami, wchodząc w nią powoli, torturując nas centymetr po centymetrze. To jednocześnie piekło i raj. Boleśnie wspaniałe tempo.

Czuję, jak się rozciąga. Przystosowuje. Jest gorąca i mokra, co jest słodką torturą. Najlepszą.

Z jej ust wymyka się zduszony jęk, przez który niemal dochodzę.

– W porządku? – dyszę mocno. – Dobrze?

Chelsea wygina się i mnie całuje, szepcząc przy moich wargach:

– Tak... bardzo dobrze.

Wysuwam się o centymetr, po czym znów napieram. Wychodzę i wchodzę, ślizgając się w jej ciasnocie, aż jestem w niej cały, a moje jądra uderzają o jej tyłek. Tak głęboko. Tak mokro. Zamykam oczy, rozkoszując się tym uczuciem. Czuję się przytłoczony jej zapachem, jej jękami, smakiem jej ust, uściskiem rąk na plecach, pośladkach. Wszystko inne znika, zatracam się w tej idealnej chwili, skupiając się jedynie na połączeniu naszych ciał.

Cofam się z lekkim żalem, tylko po to, żeby wrócić z jękiem. To nie jest pieprzenie. Czy bzykanie. To coś innego, coś głębszego, coś, co nie ma nawet nazwy.

– Jake... O Boże... Szybciej.

Unosi ku mnie biodra i tracę poczucie czasu. Liczą się tylko ruch, pocałunki, szepty,

pulsowanie i bicie serc. Mocniej, głębiej, więcej. To ponadprzeciętna przyjemność.

Rozpala się we mnie żar. Czuję, jak mięśnie Chelsea zaciskają się i drżą wokół mnie, słyszę, jak krzyczy. Kiedy zaczynam dochodzić, jedynym słowem, które przychodzi mi na myśl jest jej imię.

– Chelsea... Chelsea...

Wyobrażam sobie, jak drgam w niej i pulsuję, wypełniając ją. Ten obraz sprawia, że spełnienie jest jeszcze silniejsze.

Ostra przyjemność w końcu zanika, rozrzedza się, cichnie do przyjemnego rozluźnienia. Powraca mi świadomość, więc unoszę głowę z zagłębienia ramienia Chelsea – mojego nowego ulubionego miejsca – i widzę, że uśmiecha się do mnie sennie.

Mogę jedynie odwzajemnić ten uśmiech.

Przeczesałem palcami mokre włosy. Czuję, że nasze ciała są śliskie od potu, kiedy wychodzę z niej z chrząknięciem, po czym obracam się na bok i przyciągam ją do siebie. Obejmuję ją i całuję w czoło z tak wielką czułością, o którą nigdy bym się nie posądzał.







Nie umiem nacieszyć się skórą Chelsea. Graniczy to z obsesją. Nie potrafię przestać jej dotykać, głaskać palcami po jej kremowym ramieniu, aż do jasnej linii kręgosłupa. Błyszczą jak opal w poświacie księżycy wpadającej przez okno sypialni. Ustami miękko śledzę palce, jej skóra jest jak aksamit, jak płatek róży.

Chelsea nie leży beczynn timer. Wodzi językiem po moim sutku, muska moje ramię, bawi się, skubiąc włosy na mojej piersi i niżej. Lubi dotyk mojego zarostu na swoich piersiach, a mnie łaskotanie jej kasztanowych włosów na brzuchu. Przez następną godzinę prowadzimy ciche badania. Erotyczne odkrycia, które prowadzą do łaskotek, pomruków, moich jęków i jej krzyku.

Jakiś czas później robimy to ponownie. Tym razem leżę na łóżku, mam wyprostowane nogi i opieram się na łokciach, z uwagą przyglądając się, jak Chelsea ujeżdża mnie z całkowitym zapamiętaniem. Siedzi na mnie okrakiem, kołysze biodrami w przód i w tył niczym erotyczna tancerka. Poświata księżycy wpadająca przez okno za nią sprawia, że spowija ją cień, jednak jej sylwetka nie traci swojej wspaniałości. Dzikie włosy, głowa odrzucona w tył, podskakujące cycki, rozchylone usta.

Mógłbym tak trwać na wieki, przyglądać się jej już zawsze.

– O Boże... o Boże... – dyszy, poruszając szybciej biodrami.

Przeklinam, usilnie próbując się nie ruszać, ponieważ znajduję się bardzo głęboko w jej jedwabistej, gorącej cipce, a to niesamowite. Nie chcę, żeby to się już skończyło.

Obejmuję jej piersi, ściskając sutki palcami. Obracam je aż słyszę przeciągły jęk. Chelsea porusza się jeszcze mocniej, ocierając się o mnie małymi kólkami. Jej jęki brzmią tak słodko, że muszę wziąć jeden z sutków w usta. Przeciągam językiem po aksamitnym szczycie, drażniąc go. Chelsea chwytam mnie za włosy, przytrzymując w miejscu, gdy ssę, po czym unoszę się i pieścę całą pierś, pozostawiając różowy ślad, który będzie czuła również jutro.

Trzyma dłonie na moich łopatkach, przyciągając bliżej do siebie.

– Jake... – jęczy, wypowiadając moje imię.

– Właśnie tak, Chelsea. – Mój głos jest jednocześnie uspokajający i wymagający. To polecenie i modlitwa. Czuję jak Chelsea staje się wokół mnie bardziej wilgotna i ciaśniejsza. Niesamowite, nic nigdy nie było takie dobre. – No dalej, dziecinko. Ujeżdżaj mnie, zrób sobie dobrze. Jesteś już blisko, prawda?

Jęczy i przytakuje, szarpiąc głową.

– Daj mi to poczuć. To takie dobre. Dojdz, Chelsea.

Nie mogę za nią nie podążyć.

Obiema rękami chwytam ją za biodra i wbijam się w nią, przez co nasze ciała stykają się dokładnie tam, gdzie tego potrzebuję. Dociska do mnie biodra, kiedy się poruszam. Skubię zębami skórę jej obojczyka, kiedy cała się spina i osiąga spełnienie

z najseksowniejszym jękiem, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Kończę z długim pomrukiem.

Nie ruszamy się oboje przez kilka sekund. Jesteśmy idealnie splątani, pot pokrywa nasze ciała, ciężkie oddechy się mieszają. Mój orgazm był tak silny, że wciąż pulsuję w jej wnętrzu, kiedy pochyla się i mnie popycha, żebym położył się na plecach.

Chelsea układa głowę na mojej piersi i śmieje się, jej miękkie włosy rozsypują się na mojej szyi.

Gapię się w sufit, widząc gwiazdy.

– Jasna cholera.

Czuję, że jej ramiona drżą przy chichocie.

– To było niemal religijne doświadczenie, co? – Czuję, że ustami wielbi moją pokrytą tuszem skórę. – Opowiedz o tych tatuażach. – Całuje ten znajdujący się tuż pod obojczykiem. To ciąg cyfr i liter.

Głaszczę ją po włosach.

– To sygnatura akt w mojej sprawie u Sędziego.

– A ten? – Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, że schodzi wargami niżej, na ten rozciągający się od piersi po ramię. To anioł z dziecięcą uśmiechniętą buźką i przekrzywioną aureolą.

– To dla Benny’ego. Dzieciaka, którego znałem, kiedy miałem dwanaście lat. Pewnej nocy został napadnięty podczas powrotu do domu. Pobili go metalową rurką, roztrzaskali głowę. Zmarł.

Poniżej aniołka znajduje się ozdobne „G” – Chelsea całuje to miejsce.

– To dla mamy?

Przytakuję. Usta Chelsea dotykają kolejnych – wagi, którą zrobiłem po ukończeniu prawa, smoka i róży, które zrobiłem, gdy straciłem dziewictwo, drzewa z głębokimi korzeniami honorującego Sędziego oraz ponad dziesięciu innych.

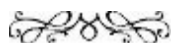
Przesuwa się niżej, do zagięcia łokcia i przedramienia. Łaskocze, kiedy mnie tam całuje.

– A ten?

To spiralny tribal oplatający moją rękę, ostre linie i nierówne krawędzie. Uśmiecham się.

– Ten po prostu miał fajnie wyglądać.

Czuję, że mięknę w niej, ale nie mam ochoty wychodzić. Chelsea musi czuć to samo, ponieważ pociera policzkiem o moją pierś, opierając się tuż nad sutkiem. Jej oddech spowalnia i wkrótce wyczerpanie ogarnia nas oboje, więc dajemy się wciągnąć zasłużonemu zapomnieniu.



Jakiś czas później staję się świadomy braku jej ciepłego miękkiego ciała tuż przy swoim. Słyszę jednocześnie suche, dziwaczne drapanie, co przywodzi mi na myśl Kuzyna Coś i jego skrobanie w drzwi. Wyciągam lewą rękę i szukam, jednak znajduję jedynie pustą przestrzeń. Obracam się na bok i otwieram oczy.

Chelsea siedzi w brązowym fotelu przy oknie, nogi ma podwinięte, opływa ją poświata księżyca. Ma na sobie moją szarą koszulę, która na niej wygląda o wiele lepiej. Przygląda mi się, przygryzając wargę, zajęta poruszaniem rękami.

Szkicuje.

Chelsea rysuje. Mnie.

– Będę za to płacić, Jack? – pytam głosem ochryplym od snu i seksu.

Uśmiecha się. To piękne.

– Ja stawiam, Rose.

Tak. Czas jej przypomnieć, że z pewnością nie jestem Rose. Odrzucam kołdrę, w pełnej krasie odsłaniając klejnoty. Siadam, przesuwam się na skraj łóżka i stawiam stopy na podłodze. Opuszczam rękę, chwytam się za członek i kilkoma ruchami pobudzam go do życia. Nagle dłoń Chelsea zamiera nad rysunkiem.

– Nigdy nie rysowałam aktu. Chcesz zostać moim pierwszym modelem? – pyta lekko.

– Nie wiedziałem, jak wiernie chcesz mnie oddać. Chciałem mieć pewność, że zastosujesz właściwe proporcje.

– Dziękuję, jesteś niezwykle pomocny.

– A co z tobą? Masz nastrój do pomagania?

W moim głosie pobrzmiwa ton, który jedynie ja słyszę. Za kilka godzin zacznie świtać. Nie wiem, co się wtedy stanie, ale jestem niemal zdesperowany. Chcę ją poczuć i to wszędzie, w tym samym czasie, nie pominąć żadnego fragmentu i nie marnować chwili, tylko realizować fantazje. Ponieważ to może być jedyna szansa, którą mam.

Odkłada szkicownik na fotel i staje przede mną.

– Jestem w nastroju, żeby sprawić, abyś poczuł się dobrze – mówi miękko.

Chwytam ją za biodra, przyciągam do siebie i opieram czoło na jej brzuchu.

– Już czuję się dobrze – szepczę tuż przy jej skórze.

Chelsea klęka przede mną.

– W takim razie sprawię, że poczujesz się jeszcze lepiej.

Pochyla głowę i składa ciepły pocałunek na mojej żołądki.

*O Chryste.*

Językiem zatacza kółka wokół główki, przez co moje serce gwałtownie galopuje. Bierze mnie w usta, gorące i mokre. Wsuwa mnie w nie tak głęboko jak tylko może, po czym powoli się wycofuje, przez co mój fiut błyszczy jej śliną. Owija palce u podstawy i mocno porusza dłonią w górę i w dół, wciąż pracując ustami, ssąc mnie mocno, co jest wspaniałe. Po chwili, zaciskam zęby, jednak nie udaje mi się powstrzymać głębokiego jęku. Chelsea odpowiada przyjemnym mruczeniem, które sprawia, że czuję ból w jądrach. Uwalnia mnie, spogląda w górę, bierze za rękę i wkłada ją sobie w kasztanowe loki.

– Pokaż mi co lubisz, Jake.

*O rany boskie.*

Wraca do pracy dłonią i ustami, aż wciąga policzki. Niesamowite uczucie. Zaciskam

palce w jej włosach, prowadząc ją w górę i w dół w swoim ulubionym rytmie, co sprawia, że czuję się władczo. Jednocześnie wiem, że jestem całkowicie zdany na jej łaskę. Przyjemność wzrasta, błogie napięcie staje się coraz silniejsze, kiedy Chelsea porusza głową coraz szybciej, a ja jestem coraz bliżej szczytu.

Z gardłowym jękiem chwytam ją za włosy i ściągam z siebie.

– Na łóżko – rzucam ostrym głosem. Jestem zdesperowany.

Chelsea wspina się obok mnie, więc wstaję i powolnym ruchem zsuwam jej z ramion swoją koszulę, ponieważ to moja gra i chcę ją widzieć. Całą. Trzymam ją za biodra, wbijam palce w perfekcyjne pośladki, bez słowa ustawiając ją dokładnie tak, jak tego chcę.

Podpartą na dłoniach i kolanach.

Klękam za nią na łóżku. Bawię się jej fałdkami, przesuwając palcami w górę i w dół widzę, że jest już wilgotna. Przytrzymuję członek przy jej szparce, po czym wchodzę w nią jednym mocnym ruchem.

Chelsea krzyczy, wygina plecy, więc muszę przypomnieć sobie, żeby zwolnić. Poruszam biodrami w płytkich, szybkich pchnięciach, więc po chwili wypycha ku mnie tyłek, pragnąc więcej. Głębiej. Głaszczę jej gładkie plecy, wodzę palcami wzdłuż jej kręgosłupa, aż do pośladków. Zaciskam nieco szorstkie palce, żebym mógł naprowadzać ją na swojego fiuta. A ten widok – kurwa – jest przepiękny. To, jak nieustannie znikam cały w jej ciasnej, gorącej cipce, sprawia, że pot pojawia się na mojej skórze. Słyszę jęk i swoje imię. Widzę, jak z każdym moim ruchem falują jej włosy.

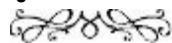
Jestem już blisko orgazmu, bardzo blisko. Jedyne, co mnie powstrzymuje, to potrzeba, żeby zobaczyć, jak osiąga go pierwsza. Napieram na nią, żeby położyła się na brzuchu, nakrywam ją własnym ciałem, przyciskając pierś i brzuch do jej pleców, a miednicę do pośladków, uda przy udach. Nie ma między nami żadnej wolnej przestrzeni. Całuję i ssę jedwabistą skórę jej szyi, kiedy nasze ciała ocierają się o siebie, ciepłe i wilgotne od potu. Wbijam się w nią szybko i mocno. Wsuwam pod nią rękę, odnajdując to magiczne miejsce między jej nabrzmiętymi fałdkami, pocieram je w koło, zapewniając jej pobudzenie, przez które krzyczy. Chelsea chwytą pościel nad głową, jej mięśnie kurczą się rytmicznie, kiedy osiąga spełnienie.

– Jake!

Podejrzewam, że to jej głos spycha mnie z krawędzi. Z ustami przy jej uchu, chrząkam i mruczę, wchodząc w nią po raz ostatni, aż pod powiekami wybucha mi światło i najczystsza z przyjemności przechodzi przez moje ciało od brzucha aż po koniuszki wszystkich palców. Odbiera mi siłę, żeby się ruszyć, myśleć, zrobić cokolwiek innego niż przeżywanie rozkoszy z kobietą znajdującą się pode mną.

Dyszę przy jej karku, po chwili przesuwam się na bok i schodzę z niej, żeby ponownie mogła oddychać. Bez słowa tulę ją do piersi, trzymając mocno z twarzą zagrzebaną w jej włosach. Przyspieszony oddech Chelsea w końcu zwalnia, tuż przed zaśnięciem czuję, jak miękkimi ustami wyciska delikatny pocałunek na każdym

z moich palców, po czym nakrywa moją dłoń swoją i odpływa.



Budzę się punkt piąta, nawet jeśli zamknąłem powieki dopiero dwie godziny temu. Przyglądam się ognistym włosom Chelsea, ich część wciąż znajduje się na mojej twarzy, a jej ciepłe ciało nadal leży w moich ramionach. Odsuwam się ostrożnie, żeby wstać, nie budząc jej. Jak zawsze muszę odwiedzić łazienkę, żeby się załatwić i umyć zęby. Przeciagam się, poruszam głową na boki, czując napięcie w karku.

Unikam własnego odbicia, kiedy ochlapuję twarz zimną wodą i przeczesuję wilgotną dłonią rozczochrane czarne włosy. Na paluszkach przechodzę do garderoby po podkoszulek i spodnie od dresu, zerkając tylko na anielską twarz Chelsea pogrążoną we śnie. Idę do kuchni, włączam mały płaski telewizor, ustawiam dźwięk na minimum, czekając aż zaparzy się kawa. Kiedy już ją mam, wychodzę na balkon, przyglądając się gasnącym na ulicy światłom i szaremu niebu, które robi się niebieskie.

Nakazuję sobie oddychać. Wolno i równo. Wdech i wydech. Mam jakieś chore przeczucie, wmawiam sobie, żeby je ignorować.

Wracam do kuchni, w której Chelsea opiera się o ścianę, mrużąc oczy. Wygląda uroczo w mojej szarej koszuli, która sięga jej prawie do kolan.

– Nie jesteś śpiochem, co? – pyta, ziewając.

– Ach, nie – mówię z kamienną twarzą i kręcę głową, następnie zaczynam swoją zwyczajową przemowę, choć słowa są gorzkie, niewłaściwe: – Idę pobiegać. W dzbanku jest kawa i...

– Kawa? – przerywa mi Chelsea. – Nie ma mowy, wracam spać. – Podchodzi bliżej, dotyka mojego brzucha. – Ale jeśli po powrocie będziesz chciał towarzystwa pod prysznicem z pewnością mogłabym wstać.

Staje na palcach i cmoka mnie w usta. Wyobrażam ją sobie pod prysznicem, mokrą, jej piersi śliskie od piany. Brzmi to jak całkiem niezły pomysł.

Obraca się, żeby wrócić do sypialni, ale zatrzymuje ją mój głos.

– Chelsea...

Bezpośredniość zawsze jest lepsza. Nie uznaję komplikacji. Szczerłość jest... cholera, nie pamiętam reszty.

– Tak?

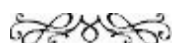
Spoglądam na jej twarz tak otwartą, tak chętną i prawdziwą. Na jej ustach igra uśmiech. Przypominam sobie słowa wyszeptane w ciemności: „Ufam ci, Jake” i „Nie zrobię ci krzywdy”.

Zatem jedyne, co mogę powiedzieć to:

– Ta noc była niesamowita.

W końcu uśmiech rozciąga jej usta.

– Dla mnie też.



Bieg jest karą. Biegnę dalej i szybciej. Pot zalewa mi czoło, serce wali, nogi palą,

jakby moje mięśnie naprawdę stały w ogniu, kiedy próbuję wpasować chaos związany z Chelsea i jej dziećmiakami w moje zorganizowane życie. Mam swoje cele, priorytety. Nie byłbym w miejscu, w którym aktualnie jestem, gdybym pozwalał sobie na rozproszenie przez jakąś laskę, bez względu na to, jaka byłaby fenomenalna.

Wracam po półtorej godzinie, wciąż ciężko oddychając. *Into the Mystic* Vana Morrisona dudni mi w słuchawkach. Wyciągam z lodówki butelkę wody, wypijam duszkiem jej zawartość i dopiero wtedy zauważam stojącą przy kuchence Chelsea – wyglądającą bardziej niż uroczo – przy gotowaniu. Wciąż ubrana w szarą koszulę, kołysze biodrami do rytmu, używając łyżeczki jako mikrofonu:

– ...i chcę ukołysać twą cygańską duszę...

Muszę się roześmiać. To zabójczo seksowne i urocze.

– Myślałem, że wracasz spać.

Chelsea spogląda na mnie przez ramię.

– Miałam taki zamiar, ale najwyraźniej Ronan mnie przestawił i nie mogłam zasnąć. Postanowiłam więc zrobić śniadanie, chociaż nie znalazłam żadnego jedzenia. Wnioskując po zawartości lodówki i szafek, żyjesz na jajkach i makaronie, popijając to niewielką ilością piwa.

– Robię zabójczy makaron z serem, każde inne jedzenie zamawiam.

Przerzuca jajecznicę na talerz i podaje mi, a w jej oczach błyszczy wesołość i zadowolenie.

– *Bon appétit*. To najlepsze, co udało mi się wyczarować w tych okolicznościach.

Biorę talerz, ale odstawiam na blat. Zapominam w tej chwili o wszystkich celach i priorytetach, szczerości i harmonogramach.

Po prostu chcę ją ponownie pocałować.

Nim mam jednak na to szansę, słyszę dzwoniący telefon, na wyświetlaczu którego pojawia się imię mojej matki. Na ten widok Chelsea podchodzi bliżej, a na jej twarzy maluje się niepokój. Odbieram:

– Mamo? Wszystko w porządku?

– Nie, misiaczku. Musicie przyjechać z Chelsea do szpitala.





– Tak bardzo mi przykro. Przepraszam. – Mama wygląda, jakby zaraz miała się rozpłakać, a ona nie jest beksą.

Chelsea pociera jej ramię.

– To nic. Takie rzeczy się zdarzają, a zwłaszcza moim bratankom i bratanicom. Riley, gdy miała dwa latka, złamała obojczyk, Raymond w zeszłym roku złamał nogę. Moja szwagierka zawsze czujnie ich pilnowała. To nie twoja wina, Gigi.

– Kiedy krzyknął, wiedziałam, że coś jest nie tak...

Rozmawiają w poczekalni, kiedy ja klękę przed Rorym, który siedzi na plastikowym, pomarańczowym krześle, trzymając rękę przy piersi. Jest blady z bólu. Przymyka powieki i oddycha powoli, jakby bolało go nawet przy najmniejszym ruchu.

– Jak się trzymasz, młody?

– Boli.

– Tak, wiem. – Dotykam jego kolana, nie chcąc przysparzać mu cierpienia, po czym piorunuję wzrokiem pielęgniarkę i mówię, żeby się streszczała, bo mały może być w szoku.

Wiem, że mi nie wierzy, ale musiałem spróbować.

Według opowieści mamy, dzieciaki bawiły się w ogrodzie pod opieką Owena, kiedy ona przygotowywała śniadanie. Riley założyła się z Rorym, że ten nie będzie w stanie wspiąć się na szczyt dębu. Oczywiście zrobił to. Schodzenie okazało się już większym wyzwaniem, więc oto jesteśmy w szpitalu.

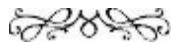
– Mamo, może wrócisz do domu? – pytam, pocierając jej ramię. – Owen do tej pory pewnie wyszedł już ze skóry przy pozostałej piątce.

– Dobrze. – Kiwa głową, głaszcząc Rory'ego. – Do zobaczenia niedługo, skarbie.

– Nie martw się, Gigi. Nic mi nie będzie – zapewnia ją Rory, dając dowód na to, że moja matka zaskarbiła sobie jego przychyłność.

– Rory McQuaid? – pyta pielęgniarka, prowadząca wózek, gotowa zabrać go na badania.

– Dzięki Bogu – mamroczę.



Jakiś czas później Rory zostaje posadzony na stole, gdy podobny do George'a Clooneya lekarz wyjaśnia Chelsea, że ręka jej bratanka jest pogruchotana.

– Złamał kość łokciową. To proste złamanie, nie będzie potrzebna operacja, żeby ją nastawić. To dobrze.

– Super. – Chelsea kiwa głową, zerkając nerwowo na Rory'ego.

Lekarz wskazuje drzwi.

– Gdyby mogli państwo poczekać na zewnątrz, nastawię rękę i będziemy mogli założyć gips.

– Mamy wyjść? – pyta Chelsea, marszcząc czoło.



– Tak, taką mamy procedurę. Nastawianie może być bolesne, co denerwuje rodziców albo opiekunów, więc podczas zabiegu prosimy o oczekiwanie na korytarzu.

– Wolę zostać z bratankiem.

– Obawiam się, że to nie jest możliwe – odpowiada George.

Całe jej zdenerwowanie znika, zastępuje je pewność siebie. Chelsea jest opanowana i uprzejma, ale nie daje się wyrzucić.

– Rozumiem pana wytyczne, doktorze Campbell, ale mam nadzieję, że zrozumie pan i mnie. Podczas nastawiania kości zamierzam siedzieć obok Rory’ego i trzymać go za rękę. Ani pan Becker, ani ja nie będziemy panu przeszkadzać, jednak nie wyjdę. Jeśli to konieczne, zabiorę go do innego szpitala.

Lekarz zastanawia się przez chwilę, po czym się poddaje.

– Nie, to nie będzie konieczne.

Chelsea siada obok stołu i bierze bratanka za lewą rękę. Uśmiecha się tak czule i kochająco, że serce mnie boli, gdy na nią patrzę. Lekarz ustawia stół, żeby chłopak mógł położyć się na plecach, po czym pokazuje mi, jak mam przytrzymać go za ramiona, żeby się nie ruszał. Podają mu środki przeciwbólowe, ale nawet z nimi, wiem z doświadczenia, ocieranie o siebie dwóch połówek złamanej kości nie do końca można nazwać łaskotaniem.

– Oddychaj, Rory – mówi lekarz, jakby miało to cokolwiek pomóc, a moja pierś zaczyna mnie boleć z zupełnie innego powodu. Doktor chwyta chłopaka za nadgarstek, następnie za łokieć i zaczyna nastawianie.

– Auuu! – krzyczy Rory. Jego ostry, zszokowany krzyk uderza mnie niczym cios w brzuch. – Auuu! – ponownie krzyczy, starając się zagryźć zęby.

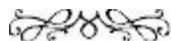
Chelsea trzyma go mocniej, przyglądając się z powagą, dając mu znać, że jest przy nim, dzieli z nim ten ból, nawet jeśli nie może nic zrobić, żeby go od niego uwolnić.

Szepczę do niego, zapewniając mu pocieszenie, żałując, że nie mogę zabrać od niego tego bólu.

– Dobrze sobie radzisz, młody. Już prawie po wszystkim.

– Auuu...

– Już prawie koniec, Rory... Prawie koniec...



– Pełen wypas! – Rory podziwia wzorzysty gips, który ma od łokcia po nadgarstek. Śmieję się, ponieważ szybko wrócił do formy. Najwyraźniej jego żywiołowa osobowość nie ucierpiała.

Chelsea gani go, żeby wyrażał się po ludzku, ale również się uśmiecha.

– Hej, możemy namalować tatuaż na gipsie? Jak twój? – pyta Rory, wskazując na rysunki widoczne pod krótkim rękawkiem mojego T-shirtu.

– Jasne.

Chelsea się rozgląda.

– Zastanawiam się, dlaczego tak długo trwa przygotowanie dokumentów do wypisu. Pójdę zapytać... O, cześć, Janet!

Podchodzi do nas kobieta. Jest czarnoskóra, po trzydziestce, ma krótkie, brązowe włosy i promienny uśmiech. Ubrana jest w beżową garsonkę i białą bluzkę.

– Cześć, Chelsea. – Spogląda na Rory'ego siedzącego na łóżku. – Cześć, Rory, słyszałam, że miałeś wypadek.

Rory wzrusza ramionami, a jego wcześniejszą wesołość zastępuje nieufność.

Janet przenosi swój wzrok na mnie, zauważam, że skupia go na tatuażach.

– Jake, to Janet Morrison – przedstawia nas Chelsea. – Jest przydzieloną nam opiekunką społeczną. Janet, to Jake Becker, mój... – Szuka właściwego słowa.

– Adwokat – podrzucam, podając Janet dłoń. – Z kancelarii Adams&Williamson.

Janet kiwa głową.

– Ach tak, negocjowałeś warunki zwolnienia Rory'ego z kuratorem po wypadku z samochodem.

Być może ma na to wpływ charakter mojej pracy, ale nie jestem fanem rządowych agencji ani ich pracowników. Za wielka władza w rękach zbyt wielu ludzi, powoduje zbyt wiele błędów, które mogą zostać popełnione, a później nikt nie ponosi odpowiedzialności. Właśnie dlatego pytam:

– Tak się złożyło, Janet, że byłaś w pobliżu?

– Nie. – Przygląda się otwartej teczce, którą trzyma w ręce. – Za każdym razem, kiedy któreś z dzieci objętych naszą opieką ma wypadek angażujący szkołę, szpital lub policję, jesteśmy o tym automatycznie powiadamiani. – Patrzy na Chelsea. – Mogę zadać kilka pytań?

– Jasne, proszę.

– Świetnie. Lekarz przekazał mi, że Rory spadł z drzewa. Widziałaś jego upadek, Chelsea?

Nagle mam cholernie złe przeczucie co do tej rozmowy, jednak Chelsea wydaje się nie podzielać moich obaw.

– Nie. Tak naprawdę nie było mnie w domu, kiedy to się stało.

To nowość dla Janet.

– A gdzie byłaś?

Chelsea zerka na mnie kątem oka.

– Byłam z Jakiem.

– Twoim prawnikiem?

– To było służbowe spotkanie przy śniadaniu – wyjaśniam gładko.

– Rozumiem. – Zapisuje coś w dokumentach. – Zatem pod czyją opieką pozostawały dzieci, kiedy byłaś na tym spotkaniu?

– Matki Jake'a – odpowiada Chelsea.

Z długopisem w gotowości, Janet pyta mnie:

– Nazwisko i adres matki?

– Giovanna Becker. – Recytuję adres i numer jej telefonu. Mówię również, że może się z nią skontaktować, kiedy tylko zechce.

Janet zamyka teczkę.

– Tyle na razie mi wystarczy, Chelsea. Czy mogę przez chwilę porozmawiać z Rorym na osobności?

– Jest nieletni – wtrącam.

– W takich przypadkach to standardowa procedura.

– W jakich przypadkach? – pytam, modulując głos. – Jaki dokładnie to przypadek? Janet nie jest ugodowa.

– To przypadek, kiedy powstały obrażenia fizyczne i należy wykluczyć przemoc opiekunów.

– Przemoc? – Parskam gorzkim śmiechem. – Myślisz, że ona mu to zrobiła? – Wskazuję na Chelsea.

– Nie, panie Becker, jednakże gdyby tak się stało, Rory byłby o wiele mniej skłonny wyznać to w waszej obecności.

Właściwie rozumiem jej punkt widzenia. Po prostu mi się to nie podoba.

Spoglądam na chłopaka.

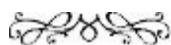
– Chcesz pogadać, młody? To twoja decyzja.

Rory jest bystry. Widzę w jego oczach, iż czuje, że to coś, co musi zrobić.

– Tak, rozmawiam z nią, Jake. To nic takiego.

Ściskam jego ramię.

– Będziemy na korytarzu.



Wyprowadzam Chelsea na korytarz, byśmy byli poza zasięgiem słuchu Janet.

– Co się z tobą dzieje? – pyta, gdy się zatrzymujemy. – Dlaczego ją zaatakowałeś?

Chwytam ją za łokieć.

– Nie atakowałem jej, ale musi wiedzieć, że znasz swoje prawa.

Kręci głową, na jej twarzy maluje się dezorientacja.

– Janet to najmilsza osoba jaką poznałam w opiece społecznej. Jest przydzielonym nam pracownikiem. Ma za zadanie nam pomagać.

– Nie, Chelsea, mylisz się. Jej zadaniem jest upewnienie się, że jesteś odpowiednim opiekunem dla dzieci.

Po raz pierwszy zaczyna dostrzegać różnicę. Zaciska ze zmartwienia usta.

– Myślisz... to znaczy... mogę mieć przez to jakieś problemy? Będą robić aferę z powodu ręki Rory'ego? O to, że byłam z tobą w nocy?

Łapię ją za ramiona, ściskam i pocieram, żeby ją ukoić.

– Nie. Posłuchaj, wszystko w porządku. Nie zrobiłaś nic złego i nie będą robić ci problemów. – Milknę, chcąc sprawić, żeby zrozumiała, nie strasząc jej jednocześnie. – Ale musisz się zastanowić w jaki sposób pewne rzeczy ubierać w słowa. Czasami notatka w raporcie nie oddaje rzeczywistości.

Często spotykam się z takimi sytuacjami w moich sprawach. Słowa takie jak „zagrożenie terrorystyczne” użyte w przypadku sześciolatka, który strzela z palców do kolegów, twierdząc, że ich „zabije”. Albo zarzut „posiadania narkotyków z zamiarem handlu” sprawia, że jakiś kretyn nagle wydaje się być członkiem kartelu, choć tak

naprawdę jest tępym próżniakiem, któremu udało się dorwać większy zapas prochów.

Słowa są istotne, czasami kontekst może mieć decydujące znaczenie.

– Kiedy rozmawiasz z Janet, musisz myśleć nie o tym, co jest prawdziwe, ale jak ta prawda będzie wyglądała na papierze, dobrze? – Chelsea kiwa głową, więc tulę ją do siebie. Całuję jej czoło i szepczę: – Nie martw się, wszystko jest dobrze.

Ściska mnie i ponownie przytakuje.

Odsuwamy się od siebie, gdy wychodzi Janet, zgodnie ze szpitalną procedurą, wywożąc Rory'ego na wózku.

– Wszystko ustalone. – Uśmiecha się.

Pojawia się pielęgniarka, która wręcza Chelsea wypis oraz środki przeciwbólowe. Już za drzwiami, Rory wstaje, mówiąc, że może odprowadzić wózek.

Janet przysłania oczy, chroniąc się przed promieniami popołudniowego słońca.

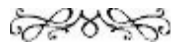
– Zjrzyj do was w tym tygodniu, dobrze, Chelsea?

– Oczywiście – odpowiada Chelsea. – Zapraszam.

– Miło było cię poznać, Janet – mówię jedynie ze względu na uprzejmość.

– Nawzajem, panie Becker.

Rory idzie między nami, kiedy zmierzamy do samochodu. Chelsea trzyma rękę na jego plecach, a ja na ramionach, w razie gdyby się potknął. Nie oglądam się za siebie, choć czuję baczny wzrok Janet.



Przez kolejne tygodnie wypracowujemy z Chelsea jakiś dziwny domowy układ. Po pracy jadę do jej domu, żeby pomagać przy dzieciakach, spędzam z nimi czas, robiąc wszystko, co wymaga uwagi. Kiedy maluchy już śpią, zostajemy z Chelsea sami, najczęściej nie mając na sobie ubrania.

Seks jest cholernie intensywny. Cichy, żeby nie obudzić tych małych szkodników, które uwielbiają przeszkadzać, jednak wyśmienity. To dla mnie nowa sytuacja, niezbyt normalna, ale dziwnie wygodna. Tak naprawdę nie myślałem o tym dużo. Nie rozmawialiśmy, nie nadawaliśmy etykietek, nic z tych rzeczy. Mawiają, że niewiedza jest błogosławieństwem. Moje noce z Chelsea z pewnością takie właśnie są.

Jak na razie mi to wystarcza.

A dzieciaki są cholernie absorbujące. Czasami zabawne, przeważnie urocze, niekiedy wkurzające, ale przywiązałem się do nich. Pewnego dnia po pracy Chelsea poprosiła, żebym zabrał Rosaleen na lekcję gry na fortepianie. Pojechałem z nią, ale nie poszło za dobrze:

– Musimy dodać do listy znalezienie nauczyciela gry na fortepianie – mówi Rosaleen ciotce, kiedy wchodzi ze mną do kuchni.

Telewizor grzmi z sąsiedniego pokoju, Raymond i Rory grają w Mortal Kombat na konsoli, jednak wnosząc po towarzyszących odgłosach, mogą naprawdę się pobić. Ronan kołysze się spokojnie w bujaczku, a siedząca na podłodze Regan zajęta jest zabawą garnkami i patelniami oraz drewnianymi łyżkami. Na kuchence stoi wielki gar, z którego rozchodzi się miły, mięsny aromat.

Chelsea podnosi wzrok znad deski, gdzie leży pokrojona do połowy marchewka.

– Co to znaczy? Przecież masz nauczyciela.

– Już nie – odpowiada siedmiolatka, wzruszając ramionami.

Chelsea spogląda na mnie podejrzliwie.

Bez wyrzutów sumienia ogłaszam:

– Ten facet nie powinien uczyć dzieci. Sadystyczny sukinsyn.

Chelsea odkłada nóż obok marchewki, po czym bierze głęboki wdech. Wiem, że próbuje się nie denerwować.

– Monsieur Jacques La Rue jest najlepszym nauczycielem gry na fortepianie w tym mieście. Rachel musiała przekonywać go miesiąc, żeby Rosaleen mogła zostać jego uczennicą. Co się stało?

Wrzucam do ust kawałek marchewki.

– Jaki gość każe uczniom mówić do siebie Monsieur? Pewnie nie jest nawet Francuzem – narzekam. – Założę się, że nazywa się Joey Lawrence i pochodzi z Bronxu.

Rosaleen wspina się na wysokie krzesło przy wyspie, naprzeciw ciotki, po czym z entuzjazmem podejmuje opowieść:

– Uderzył mnie w rękę linijką, bo źle zagrałam.

– Pozwól, że dodam – przerywam. – Co za chory drań mógłby ją uderzyć? – Wskazuję na słodką twarzyczkę Rosaleen. – Rory’ego? To zupełnie inna bajka, ale ją? Nie ma mowy.

Rosaleen kontynuuje:

– Więc Jake poszedł do auta i wrócił z kijem baseballowym. Monsieur La Rue zapytał go, co robi, a Jake odpowiedział: „Jeszcze raz uderz to dziecko, a sam dostaniesz tym”.

Chelsea patrzy na mnie, przechylając głowę i otwierając usta.

Milczę.

– Więc mamy już nie przychodzić – podsumowuje dziewczynka.

Szturcham ją łokciem, podając marchewkę.

– To my stwierdziliśmy, że więcej do niego nie pójdziemy.

Mała wrzuca do ust warzywo i się uśmiecha.

Chelsea obserwuje nas, a wyraz jej twarzy łagodnieje.

– Dobrze. Nowy nauczyciel gry na fortepianie. Dodam do listy.

Innym razem starsze dzieciaki miały umówioną wizytę u dentysty, co kolidowało z czasem rodzinnej zabawy Regan i Ronana. Jak już wspominałem, nienawidzę lekarzy, a dentyści też nimi są. Zaproponowałem, że wezmę maluchy do przedszkola. Stwierdziłem, że skoro to małe dzieci, nie powinno być w tym nic trudnego.

Dzieci są dosłownie wszędzie. W każdym kształcie i rozmiarze, niektóre się wspinają, niektóre potykają, niektóre tak jak Ronan, mają czas na raczkowanie na podłodze. A rodzice, Jezu, są przeraźliwie spięci, uśmiechają się sztucznie i gruchają do swoich pociech, uzbrojeni jednocześnie w aparaty fotograficzne. Pokój zabaw jest

obrzydliwie kolorowy – tęcza wykładzina, neonowe zjeżdżalnie, rażące miękkie dywaniki i maty, od których krwawią mi oczy. Pierońsko radosna muzyczka płynie z głośników, podczas gdy sztucznie szczęśliwa nastolatka w różowej koszulce próbuje zapanować nad widowiskiem.

Nawet nie kaźcie mi opisywać klaunów.

Są namalowane na ścianach, ich marionetki leżą na półkach, maskotki siedzą w kątach z szeroko rozpostartymi ramionami, ich żywoczerwone usta z białymi zębami rozciągają się w najohydniejszych uśmiechach, jakie w życiu widziałem. Jakby tylko czekały na nieuważne dziecko, które do nich zawędruje, żeby odgryźć mu głowę.

Po około dziesięciu minutach zabawy, obserwuję jak Regan porusza się na torze z przeszkodami. Obok mnie stoi ojciec żywo dopingujący syna, jakby ten miał zdobyć decydujące punkty i wygrać puchar Super Bowl. Wskazuje na niego ruchem głowy.

– Jest tu najszybszym dzieckiem. Pokonuje ten tor w czterdzieści pięć sekund.

Super, mały.

– Które to twoje?

Wskazuję na Regan, która wdrapuje się na zjeżdżalnię, jej pomarańczowe ubranko jaśnieje w świetle lamp. W miarę postępu woła:

– Ceść, ceść, ceść, ceść... – jak Siedmiu Krasnoludków wędrujących ze swoimi kilofami.

– Coś z nią nie tak? – pyta gnojek.

Krzywię się.

– Nie, nie ma żadnego problemu. Jest skupiona. – Następnie dla podkreślenia atmosfery, dodaję: – I z pewnością potrafi przemierzyć ten tor szybciej niż w czterdzieści pięć sekund.

Palant drwi:

– Wątpię.

Piorunuję go wzrokiem.

– Założymy się?

Odgarnia brązową grzywkę z oczu.

– Pięć dych, że mój chłopak ją pokona.

– Wchodzę.

Ściskam mu dłoń, po czym zabieram Regan ze zjeżdżalni i gdy wracam z nią przez cały tor przeszkód, udzielam jej wskazówek niczym Mickey Rocky'emu w narożniku:

– Musisz się postarać Regan. Nie pozwól mu się rozproszyć, uważaj na jego lewy sierpowy, patrz prosto przed siebie.

Mała chwyta mnie za nos.

Używam słów, które będzie mogła zrozumieć:

– Jeśli to zrobisz, na zawsze dam ci ceść.

Uśmiecha się.

Ustawiamy dzieci obok siebie, ojciec chłopca odlicza:

– Na miejsca, gotowi, start!

Maluchy biegną...

Kibicujemy z dupkiem, jak widzowie na wyścigach konnych.

– Dalej, mała, dalej!

– Właśnie tak! Wysuń się na prowadzenie! Ruszaj się!

Idą łeb w łeb, aż chłopczyk zatrzymuje się, bo zaczyna mu zwisać z nosa wielki glut.

Stara się wytrzeć buzię, więc Regan wygrywa.

– Tak! Cholerne zwycięstwo! – krzyczę z dumą. Porywam małą na rękę i unoszę nad głowę. Regan chichocze i piszczy. Gdzieś w tle Freddie Mercury śpiewa *We Are the Champions*.

Przeegrany ojczulek wypłaca mi pięć dych. Nakrywa nas nastolatka.

– Co tu się dzieje? To miejsce zabawy, nie hazardu!

– No tak. Cóż, i tak już wychodzimy.

Na jedną rękę biorę Ronana, na drugą Regan. W drodze do drzwi szepczę do dziewczynki:

– Niech to zostanie między nami, dobrze?

Mała patrzy mi prosto w oczy, przytakuje i mówi:

– Ceść.

Soboty również spędzam z Chelsea i dziećmi. Zabieram robotę do ich domu, wykorzystując krótkie momenty, kiedy mogę się nad nią skupić. Większość dnia, jeśli nie ma zbyt wiele zaplanowanych rozrywek, jest leniwa. Powiedziałbym nawet, że fajna. Jednak czasami... cóż, mamy tutaj szóstkę dzieci. Ze statystycznego punktu widzenia szanse na zły dzień są dość wysokie.

Pewnego ranka, już wysiadając z samochodu, wiem, że nie będzie najlepiej. I to wcale nie jest żaden szósty zmysł.

To krzyk.

Otwieram drzwi wejściowe, a przerażający pisk, jaki może wydać z siebie tylko dwulatka, uderza w moje uszy niczym gorące powietrze po wybuchu bomby. Regan siedzi na podłodze w foyer naprzeciw szafy, płacze, krzyczy i rzuca się, otoczona trampkami, klapkami i innymi butami. Chelsea kuca przed nią, trzymając w ręce połyskujące buciki. Obok niej na podłodze leżą podobne dwie małe pary.

– Te? – pyta z mieszaniną nadziei i rozdrażnienia.

Regan wytrąca jej butki z ręki, kręci głową, uderza piąstkami o podłogę i zawodzi.

Najwyraźniej jednak nie te.

Chelsea zauważa moje nadejście. Unoszę brwi i ze wszystkich sił próbuję powstrzymać uśmiech.

– Wszystko w porządku?

– Nie – syczy. – Wcale. – Zbiera włosy z twarzy i upina je w niechlujny kok. Na koszulce ma plamy, wyglądające jak po groszku, jej policzki są zarumienione.

Wtedy orientuję się, że nie tylko Regan jest źródłem hałasu. To cały chór – symfonia złości dochodząca z salonu. Z góry dochodzi również głos Ronana, który w ogóle nie brzmi wesoło.

Po kolejnej próbie z butami, Chelsea rzuca sandałkami przez foyer.

– Które, Regan? Czego w ogóle chcesz?

Regan płacze, nie potrafiąc się zdecydować.

Zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć, wpadają bliźniaki, trzymając jeden drugiego. Padają na podłogę, gdzie tarzają się, pokrzykując i chrząkając.

– Wiedziałeś, że je sobie schowałem! – krzyczy Rory.

– Było w szafce, znaczy do wzięcia! – warczy Raymond.

– Przestańcie! – upomina głośno Chelsea. – Obaj, natychmiast! – Teraz i ona zaczyna pisać.

Jednak zostaje całkowicie zignorowana.

– Palant! – krzyczy jeden z chłopców.

– Fiut! – odpowiada drugi, przy czym mogę się założyć, że to Rory.

– Stop! – skrzeczy Chelsea, chwytając tego u góry za włosy u podstawy czaszki.

Szarpie w górę.

Nawet ja się wzdrygam.

Rory jęczy, obiema rękami chwyta za tył głowy.

– Co jest? – pyta ciotkę. – Wyrwiesz mi włosy i będę łysy!

– Nie bij brata!

– Zjadł ostatnie czekoladowe ciastko! – pyskuje Rory. – Wiedział, że je schowałem dla siebie, a i tak je zjadł.

Wstając, Raymond rzuca:

– I było pyyyszneee...

Rory rzuca się na niego, więc ruszam ku nim, przestraszony, że całe piekło rozpęta się na nowo. Staję pomiędzy nimi i rozdzielam ich, trzymając za ramiona.

– Macie przestać.

Zza rogu wychodzi zapłakana Rosaleen, tuż za nią znajduje się sina ze złości Riley.

Oczywiście.

– Oddawaj!

– Nie, jest mój!

– Nie twój, tylko mój!

– Wcale nie!

Chelsea instynktownie rozkłada ręce, Rosaleen chowa się za nią.

– Co się dzieje? – pyta najstarszą bratanicę.

– Wzięła mój długopis! – krzyczy Riley.

– Długopis! – odpowiada równie głośno Chelsea. – Żartujesz? Kłóćcie się o cholerny długopis?!

Riley wytyka zjadliwie, jak to tylko nastolatki potrafią:

– Ładny język, ciociu.

Chelsea zaciska usta.

– Oduść, Riley.

– Nie, to ty powinnaś być tu dorosła. Spójrz na nas! Nic dziwnego, że to dom



wariatów!

– A to moja wina? To, że jesteście bandą egoistycznych, złośliwych nienawistników?

Te słowa uderzają w Riley.

– Tak! To twoja wina!

Chelsea unosi rękę.

– Koniec! Mam tego dosyć! Wszyscy natychmiast do swoich pokoi!

Zaczyna oburzona Rosaleen:

– Ale ja nic nie zrobiłam!

Chelsea obraca się gwałtownie do małej jasnowłosej dziewczynki.

– Powiedziałam, że macie iść. Natychmiast!

Rosaleen patrzy w górę, jej twarzyczkę wykrzywia złość.

– Jesteś podła! Nie lubię cię!

Chelsea chwyta siedmiolatkę za rękę i ciągnie w kierunku schodów.

– Cóż, możesz mnie nie lubić w swoim pokoju!

Rosaleen wspina się z płaczem po schodach. Riley, maszeruje zaraz za nią, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Rory po raz ostatni popycha brata, po czym również odchodzi. Kiedy i Raymond się odwraca, Chelsea dodaje:

– Raymond, ty idź do innego pokoju. Nie chcę, żebyście przebywali blisko siebie.

Piorunuje ją wzrokiem.

– Bez sensu!

Chelsea odpowiada tym samym.

– Nie musisz mi mówić!

Kiedy czterech jeźdźców apokalipsy znika na schodach, cisza powraca do domu, który staje się niczym wymarłe miasto po przejściu huraganu. Ronan też już nie płacze na górze, prawdopodobnie się zmęczył i zapadł w drzemkę. Regan wybiera dwa różowe klapki ze stosu, wsuwa na nóżki, po czym ślizga się po podłodze, przemierzając foyer.

Chelsea oddycha ciężko, więc podchodzę do niej ostrożnie.

– Dobrze się czujesz? – pytam cicho.

Przez chwilę patrzy mi w oczy, następnie wybucha płaczem.

Wygląda tak cholernie słodko, nawet sfrustrowana do granic, że staram się zdusić śmiech, ponieważ zabije mnie, jeśli tylko parsknę.

Pocieram jej ramiona i prowadzę do kuchni.

– Wszystko dobrze. Ciii, nie płacz. Już dobrze.

Kręci głową, łzy płyną po jej policzkach, gdy siada przy wyspie.

– Nie jest dobrze. Są złem wcielonym, małymi, niewdzięcznymi zwierzętami.

Nagle mam chęć zadzwonić z przeprosinami do matki. Za nic szczególnego... tak tylko, za piętnaście pierwszych lat mojego życia.

Wyciągam likier z zamrażarki i nalewam jej kieliszek.

Chelsea płacze zasłaniając twarz dłońmi.

Dolewam więcej do kieliszka.

– Co się stało? – pytam.

– Nic! – Przygląda mi się. – Absolutnie nic! Obudzili się w takim nastroju.

Chelsea ociera policzki i bierze spory łyk alkoholu. Ściskam jej ramię. Opiera ręce na blacie i opuszcza głowę. Jej głos jest pełen wyrzutów sumienia:

– O Boże. Nie wierzę, że pociągnęłam Rory’ego za włosy. Rachel nigdy nie zrobiłaby tego. Nie wierzyli z Robbiem w kary cielesne.

– To wiele wyjaśnia. – Możecie mi wierzyć, nie jestem fanem bicia dzieci, ale czasami klaps w tyłek nie zaszkodzi.

– Rosaleen ma rację. Jestem podła! – Ponownie zanosi się szlochem.

Moja wesołość nagle znika. Rozkwita we mnie głębokie współczucie.

– Skarbie, nie jesteś podła. Zaufaj mi, znam podłych ludzi, ale ty taka nie jesteś.

Wypija zawartość kieliszka.

– Nie mówię ci, jak masz je wychowywać, ale z doświadczenia wiem, że dzieciakom potrzebna jest dyscyplina. Pragną jej, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Powinnaś zrobić listę rzeczy zabronionych i wyznaczyć kary. No wiesz, za przeklinanie – szlaban na cały dzień na komórkę. Za bójkę – zbieranie psich odchodów. Ustalić kodeks McQuaidów.

Parska. Ma czerwone oczy i zakatarzony nos.

– To nie jest taki zły pomysł.

Podchodzę, rozchylając jej kolana, i staję między nimi. Dotykam jej policzka.

– Lepiej się czujesz?

Chelsea wzdycha przygnębiona.

– Nie.

Unoszę jej twarz i pochylam głowę.

– Zobaczą, czy coś na to poradzę...

Jej wargi są ciepłe. Zatraca się w tym pocałunku, otwierając je przede mną, witając z westchnieniem mój język i delikatnie oferując swój. To tylko pocałunek – nie będzie nic więcej, ale jeśli dla niej jest to choć w połowie tak dobre jak dla mnie, moja rola jest spełniona.

Odsuwam się zaledwie o centymetr.

– Lepiej ci już?

Uśmiecha się.

– Prawie. Powinniśmy jeszcze chwilę nad tym popracować.

Również się śmieję.

– Dobra. – Ponownie ją całuję.

Czasami nakręca mnie przyglądanie się Chelsea. Temu, jak się porusza, jak się uśmiecha, jak się pochyla, żeby pozbierać zabawki. Jeśli mam szczęście, okazja trafia się sama, ale musimy się pilnować.

Pewnego wieczoru Ronan zasnął wcześniej, Riley czytała w salonie, Rosaleen i Regan przyglądały się jak Rory i Raymond grali na konsoli.

Chwytam Chelsea za rękę i ciągnę w kierunku schodów.

– Chłopcy, popilnujcie siostr – wołam.

Chwilę później mam Chelsea w łazience na piętrze. Odkręcam wodę pod prysznicem i w umywalce, żeby zamaskować dźwięki, po czym przyciągam ją do siebie plecami i wodzę nosem po szyi, wdychając słodką woń jej skóry. Wiem, że mnie pragnie. Kiedy odwraca głowę, całuje głęboko z pasją, trzymając się umywalki tak mocno, że bieleją jej knykie.

– Co robimy? – dyszy.

– To będzie szybkie – obiecuję. – Ale dobre.

Klękam za nią. Unoszę jej spódnicę i ściągam białe, koronkowe majteczki. Nakrywam ją ustami, naciskając na jej cipkę, liżąc niczym człowiek umierający z pragnienia. Mój nos znajduje się między jej pośladkami – Boże, te pośladki...

Gdybym miał więcej czasu, z pewnością poświęciłbym im uwagę, na którą zasługują.

Pobudzam ją palcami, rozgrzewając, sprawiając, że robi się jeszcze bardziej wilgotna. Jęczy nade mną, pochylając się w przód. Jest gotowa i cholernie chętna.

Wstaję, rozpinam spodnie i płynnym ruchem wchodzę w jej gładką, ciasną cipkę.

– Chryste – sapię. – Nic nie powinno być aż tak dobre.

Chelsea skomli zachęcając mnie, żebym się poruszył, po czym słyszę dzwoniące klamry mojego paska, gdy wychodzę z niej i wchodzę. Chelsea stoi prosto, sięga za siebie rękami, dotykając, gdzie tylko zdoła, a nowy kąś sprawia, że robi się jeszcze ciaśniejsza.

Jedną rękę opieram na jej biodrze, drugą obejmuję twarz, obracając, żeby ją pocałować, zaznać słodyczy jej ust. Całujemy się mocno, skubiąc nawet zębami, nasze języki mieszają się ze sobą. Poruszam biodrami coraz szybciej, przesuwam rękę na jej ramię i piersi, trzymając ją mocno, dokładnie tam, gdzie jej potrzebuję. Chelsea przesuwa dłoń w dół, dotyka własnego ciała, zatacza palcem kółka na łechtaczce, gdy wsuwam się w nią od tyłu.

Tracę kontrolę.

– O kurwa...

Chelsea również osiąga szczyt, piszcząc przy tym, gdy jej kolana się poddają. Trzymam ją, spowalniając rytm pchnięć, dochodząc w niej z wielką przyjemnością.

Po wszystkim ubieramy się nawzajem, całujemy i pieścimy. Na kremowych policzkach Chelsea maluje się uroczy rumieniec, gdy śmieje się tuż przy moich ustach.

– Boże... lubię takie szybkie numerki.

Chyba ją kocham.





Chociaż większość nocy spędzam w łóżku Chelsea, właściwie u niej nie śpiam. Przed pobudką dzieciaków wracam do siebie – rozmawialiśmy o tym. Chelsea nie chce dawać im mylnego wrażenia ani złego przykładu. Zatem pewnego ranka, po biegu i prysznicu, gdy wiążę krawat przy szyi, widzę, że na wyświetlaczu mojej komórki pojawia się imię Chelsea. Odbieram:

– Niech zgadnę, znalazłaś nianię, przy której Mary Poppins to wcielenie zła i zgodziła się zająć dziećmi na cały tydzień, więc natychmiast potrzebujesz zarówno mnie, jak i mojego twardego fiuta?

Słyszę jej gardłowy śmiech.

– To wspaniałe marzenie, ale niestety nie rzeczywistość. Dzwonię w innej sprawie, choć może jeszcze cudowniejszej. Siedzisz?

Zaciekawiony siadam na zamkniętej klapie sedesu.

– Tak. Co tam?

– Posłuchaj.

Słyszę szelest, dźwięk przekładanego telefonu. Gdzieś w tle Chelsea pyta:

– Regan, nauczyłaś się nowego słowa?

Następnie, głośno i wyraźnie słyszę piskliwy głosik Regan:

– Nie.

– Na pewno?

– Nie.

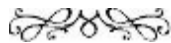
– Regan, powiedz „nie”.

– Nie, nie, nie!

Chelsea ponownie bierze telefon, a ja również wybucham śmiechem. Czuję dumę – nedorzeczną, obezwładniającą dumę.

– I co myślisz? – pyta Chelsea wesoło.

– Myślę, że mamy wśród nas geniusza.



Pewnego dnia na początku kwietnia, Chelsea spotyka się z Janet w siedzibie opieki społecznej. Zabiera ze sobą dwójkę najmłodszych dzieciaków, więc wychodzę wcześniej z pracy, żeby być u niej w domu, gdy starsze wrócą ze szkoły. Siedzę przed frontowymi drzwiami, obserwując Rory'ego i Raymonda przechodzących przez podjazd. Już z daleka widzę czerwony ślad na policzku Raymonda – świeży, choć widać, że tworzy się siniec.

– Co ci się stało?

Raymond zerka na brata, to znów na mnie.

– Spadłem w szkole ze schodów. Uderzyłem policzkiem o barierkę.

Wskazuję krzesło obok siebie.

– Siadaj. – Z ogródka przynoszę przyzwoitej wielkości kamień i zaczynam stukać

nim w kolana dzieciaka, przyglądając się, czy noga podskakuje przy uderzeniu.

Mały poprawia okulary.

– Co robisz?

– Sprawdzam twoje odruchy.

– Dlaczego?

– Ponieważ masz dziewięć lat. Jeśli ktoś nie jest stary lub chory, naturalną reakcją ciała przy upadku jest ochrona twarzy jak i ważnych organów przez wyciągnięcie rąk. Zatem zanim oskarżę cię o wygadywanie bzdur, chciałem się upewnić, że nie masz guza w mózgu. – Ponownie uderzam, po czym odkładam kamień na stolik z kutego żelaza i patrzę mu prosto w oczy. – Wszystko wydaje się być w normie, więc, Raymondzie, powiedz, kto uderzył cię w twarz.

Rory ucieka przed rozmową, wchodząc na trawnik, a jego brat wzdycha.

– Nie możesz powiedzieć cioci.

– Dlaczego nie?

– Bo zadzwoni do dyrektora i umówi się na spotkanie, a przez to będzie jeszcze...

– Gorzej. – Kiwam głową, rozumiejąc.

– Tak.

Pochyłam się, opierając łokcie na kolanach.

– Nie powiem cioci, ale musisz mi wszystko opowiedzieć. Teraz.

– Nazywa się Jeremy Sheridan. Nie znosi mnie.

– Jest sportowcem? – zgaduję. – Dokuczają ci, żeby popisać się przed swoimi koleżkami?

– Nie, chodzi ze mną na wszystkie zaawansowane zajęcia. Należy też do National Honor Society. Nie uprawia żadnego sportu.

Kujon prześladowcą? A to nowość.

Najwyraźniej coś się pozmieniało odkąd chodziłem do szkoły.

– Ale mam wyższą średnią niż on. Zawsze dostaję więcej punktów na testach, więc on mnie nie znosi – wyjaśnia z melancholią Raymond.

– Kiedy się to zaczęło?

Zastanawia się.

– W styczniu. Z początku to były małe rzeczy, zepsuł moją szafkę, wytrącił książki z ręki, popchnął mnie, jednak ostatnio to się nasiliło.

Powoli przytakuję, a złość rozpala się jak długi lont.

– A jak reagujesz, kiedy Jeremy cię prześladowuje?

Zażenowany wzrusza ramionami.

– Próbuję schodzić mu z drogi. Myślę, żeby opuścić się trochę w nauce. Nie chcę tego, ale może zostawi mnie w spokoju, jeśli będzie pierwszy w klasie.

Zauważam, że Rory wciąż chodzi po trawniku, pochylając się co chwilę i podnosząc coś przez foliowy woreczek.

Zwijam ręce w trąbkę wokół ust i wołam:

– Co robisz?

– Zbieram gówna Cosia – odkrzykuje.

– Dlaczego?

– Żeby włożyć je do papierowej torby i podpalić w szafce Jeremy’ego Sheridana.

Cóż, jest to pewien pomysł.

– Dobrze kombinujesz, ale nie sędzę, żeby to była najlepsza metoda. – Macham do niego. – Chodź tutaj.

Mam inny plan.

Mierzę Raymonda wzrokiem.

– Jesteś chudy... słaby.

– No tak. – Wzdycha. – Wiem.

– Ale... jeśli potrafisz być szybki i wiesz, gdzie uderzyć, nie ma to znaczenia.

– Chcesz, żebym uderzył Jeremy’ego?

– Następnym razem, gdy coś ci robi? Chcę, żebyś złamał mu cholerny nos. Gwarantuję, że więcej ci nie podskoczy.

Raymond, rozważając moje słowa, patrzy pod nogi.

– Tata mówił, że przemoc nigdy nie jest odpowiedzią.

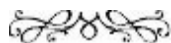
– Nie jest, ale obrona nie jest przemocą. To zasadnicza różnica. Tata chciałby, żebyś się bronił, Raymond.

Wydaje się zgadzać z moją logiką.

– Ale... nie wiem, jak się uderza.

Kładę rękę na jego ramieniu.

– Ale ja wiem.



Po powrocie Chelsea, zabieram chłopców na siłownię. Następne dwie godziny spędzamy na okładaniu worka – Rory używa jedynie zdrowej ręki. Pokazuję Raymondowi, jak wycelować, jak wyprowadzić cios, jak uderzyć nie łamiąc palców. Wsiadając do samochodu, wygląda na pewniejszego siebie niż po przyjeździe ze szkoły.

Odzywa się mój telefon.

To firma monitorująca.

– Pieprzony Milton – przeklinam pod nosem. – Gdzie jest? – warczę do telefonu. Podają mi adres, więc zawracam. – Trzymajcie się chłopcy, musimy zrobić mały przystanek.

Piętnaście minut później podjeżdżam pod posiadłość. To nie jest wielki dom, który mógłby być tak nazywany, tylko prawdziwy pałac. Grupa dwudziestokilkulatków, a nawet młodszych ludzi stoi na trawniku, trzymając w dłoniach czerwone kubki i paląc papierosy. Samochody stoją zaparkowane wzdłuż długiego podjazdu, muzyka dudni z rozświetlonych okien. Rory i Raymond idą za mną do drzwi frontowych.

– Trzymajcie się blisko mnie, chłopaki.

Rory i Raymond wytrzeszczając oczy, przechodząc przez pomieszczenia pełne roześmianych półnagich kobiet – dziewczyn. Przekrzywiają głowy, przyglądając się chłopakom w czapczkach baseballowych i kosztownych jeansach, wciągającym biały

proszek ze szklanych blatów. W korytarzu natykamy się na blondynkę, ubraną jedynie w kuse szorty i biustonosz, która przygląda się Rory'emu. Wyciąga do niego rękę.

– Jaki słoodki.

Udaje mi się złapać ją za nadgarstek, nim go dotknie.

– Milton Bradley? – pytam cicho.

– W pokoju gier, na tyłach.

Puszczam ją i udaję się w tamtym kierunku, upewniając się, że chłopcy są zaraz za mną. Wchodzimy do pokoju, gdzie dostrzegam gnojka w kłębach dymu – siedzi przy okrągłym karcianym stoliku, blond grzywka opada mu na czoło, przed nim znajduje się wysoka szklanka z piwem i stosik czarnych żetonów.

Nasze spojrzenie się krzyżują.

– O, cholera.

Podrywa się z miejsca, gotów wyskoczyć przed drzwi balkonowe, które znajdują się za nim.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegam. – Jeśli zwiejesz, wkurzysz mnie jeszcze bardziej – więc będzie jeszcze gorzej, kiedy cię dopadnę. A możesz wierzyć, że to zrobię.

Rory próbuje być pomocny.

– Jak na starszego pana, jest dość szybki, brachu.

Miltonowi opadają ramiona.

– Koniec imprezy. – Kiwam na niego palcem. – Idziemy.

Rory i Raymond zapinają pasy na tylnym siedzeniu, dupek siada z przodu. Kiedy tylko wyjeżdżamy na drogę, zaczyna skomleć:

– Mogę wyjaśnić.

– Co byłoby pomocne, gdybym chciał słuchać wyjaśnień. Ale nie chcę.

I tak się odzywa:

– Świątowałem! Mam powód do szczęścia, bo umorzyli moją sprawę z heroiną.

– Bez jaj, Sherlocku! – krzyczę. – To ja załatwiłem, żeby nie wniesiono oskarżenia.

Pozwól mi to dobrze zrozumieć: założyłeś, że dobrze będzie świętować uwolnienie od zarzutów związanych z narkotykami na imprezie pełnej pieprzonych prochów? Serio, nie widzisz w tym żadnego problemu?

Wzrusza ramionami.

Dwadzieścia minut błogosławionej ciszy później, podjeżdżam pod dom Milтона. Nie gasząc silnika, pytam:

– Gdzie są twoi rodzice?

– Nie wiem – odpowiada rozdrażniony. – Chyba we Francji. Matka stwierdziła, że musi odpocząć.

Prawdopodobnie od głupoty syna.

Nawet jeśli – to jego starzy i tak nie dostaną nagrody Rodziców Roku.

– To... chcecie może... wpaść do mnie? – pyta Milton.



Przecieram oczy.

– Nie, Milton, nie chcę wpadać do ciebie. – Wskazuję na niego palcem. – Po prostu wejdź do środka, zamknij drzwi i idź spać. Może jutro obudzisz się mądrzejszy.

Krzywi się.

– No dobrze.

Czekam, aż zamknie za sobą drzwi, po czym odjeżdżam.

Po kilku minutach Raymond mówi:

– Wydawał się samotny.

– Jest pieprznięty. – Nie ma we mnie współczucia.

– Wydawał się pieprznięty i samotny.

– Bacz na słowa – rzucam przez ramię.

– Sam tak powiedziałaś!

– Kiedy będziesz po trzydziestce, będziesz mógł mówić tak, ile ci się żywnie podoba, ale do tego czasu, wyrażaj się prawidłowo.

– To definicja hipokryzji, Jake – spiera się Raymond.

– No i? – pytam.

Rory przez całą drogę zachowuje się nienaturalnie cicho. Zastanawiam się, czy rozmyśla nad tym, co widział. Jego rodzina nie jest, aż tak bogata jak Bradley'owie, jednak nie są biedni. Bezwiednie budzi się we mnie Sędzia.

– Wiecie, dlaczego jest pieprznięty, chłopcy?

– Ponieważ pije i ćpa? – zgaduje Raymond. – Tylko frajerzy ćpają.

Jest coś wspaniałego w odpowiedzi Raymonda. To prosty, czarno-biały świat, wielka niewinność.

– To prawda, ale nie tylko. – Skręcam na ulicę, przy której znajduje się ich dom i kontynuuję: – Milton obiecał mi, że zostanie w domu i złamał dane słowo. Jeśli odbierzecie mężczyźnie wszystkie rzeczy: pieniądze, ubrania, samochody, domy, pozostaje mu jedynie honor. Kodeks, którego przestrzega: mówi, co myśli i robi, co mówi. Jeśli ktoś łamie swoje własne przyrzeczenia, nie jest prawdziwym mężczyzną.

Chłopcy milczą, zastanawiając się przez chwilę, po czym Rory pyta:

– Tata cię tego nauczył? Pokazał ci jak być... mężczyzną?

W jego głosie słyhać nutę niepokoju, więc zastanawiam się, czy nie martwi się, że całe jego rodzeństwo będzie dorastać bez ojca. Bez przewodnika dającego dobry przykład. Mogę odpowiedzieć jedynie zgodnie z prawdą:

– Nie, Rory. Mój tata był... kimś, kim nie chciałem się stać. – Dodaję: – Jednak był ktoś, przyjaciel, najlepszy przyjaciel, który radził sobie z moim gównem. Nauczył mnie wszystkiego, co powinienem wiedzieć.



Tego samego wieczora, ale znacznie później, gdy dzieciaki smacznie śpią, wykorzystujemy łóżko Chelsea. Sam akt jest powolny, niemal słodki. Wyciąga długie, smukłe ramiona nad głowę, ukazując wspaniałą, gładką skórę. Całuję ją w szyję, wielbiąc każdy jej centymetr, poruszając biodrami między jej nogami. Posuwam ją

długimi, gładkimi ruchami w równym tempie, a mięśnie pleców napinają się od wzrastającej przyjemności. Chelsea ssie płatek mojego ucha, szepcząc jak jej dobrze, więc mimowolnie przyspieszam. Moje ciało przejmuje kontrolę – to cielesna doskonałość, która nigdy nie powinna się kończyć.

Niemniej jednak koniec jest spektakularny.

Chelsea chwyta mnie za tyłek, zachęcając, żebym wszedł głębiej, jednocześnie unosząc biodra. Razem wznosimy się na szczyt – spina się pode mną, a ja sztywnieję, zawisając nad nią, jednocześnie pulsując w jej wnętrzu, gdy oboje dyszymy cicho.

Po wszystkim przytulam się do jej pleców. Śmieje się lekko, po czym całuje moje dłonie i układa na nich policzki, jakby były jej poduszką. Odpływając w sen, wdycham jej zapach, z nosem wciśniętym w jej kark.

Jednak przestraszony głosik przerywa tę błogość.

– Neeee, nieee – dochodzi z elektronicznej niańki Regan.

Chelsea się wzdryga, otwiera oczy i próbuje wstać. Nie zastanawiając się, całuję ją w skroń.

– Śpij, ja pójdę.

Zakładam spodnie i podkoszulek, boso wspinam się po schodach.

Pokój rozświetla lampka w kształcie Kopciuszka. Regan siedzi na łóżeczku, ma zaczerwienione oczy, rozczochrane włosy. Na mój widok natychmiast unosi rączki.

Z moich ust wychodzą słowa mojej matki, zasłyszane wieki temu:

– Co się stało, robaczku?

Biorę ją na ręce, od razu się do mnie tuli. Głaszczę ją po pleckach i włosach. Jej dolna warga drży, gdy wskazuje na zasłonę w ciemnym kącie pokoju.

– Neeee...

– Miałaś zły sen?

Podnoszę zasłonę, pokazując jej, że nic się pod nią nie ukrywa i nie ma się czego bać. Obejmuje mnie drobnymi ramionkami i opiera główkę na mojej piersi. Siadam w bujanym fotelu przy jej łóżku, klepię ją lekko po plecach i mówię cicho:

– Nie ma tu potworów, Regan.

Są w prawdziwym życiu, ale nie w tym domu. I nie będzie ich póki oddycham.

– Jestem przy tobie, mała. Jesteś bezpieczna. Ciii... śpij.

Całuję ją w główkę, pocieram plecy, kołysząc, aż odpręża się w moich ramionach i z powrotem spokojnie zasypia.





Kilka dni później Rosaleen niemal na śmierć straszy Chelsea swoim zniknięciem. Pracuję do późna, Chelsea pomaga Riley z zadaniem domowym, reszta dzieci kręci się po domu, zajmując się swoimi dziecięcymi sprawami. Kiedy nadchodzi czas snu, Chelsea orientuje się, że mała blondyneczka zniknęła. Wołają ją, przetrząsają pokoje, szafy, nawet ogródek i pieprzony basen. Chelsea dzwoni do sąsiadów, oni również sprawdzają swoje ogródki.

Kiedy dzwoni do mnie, jest roztrzęsiona i zalana łzami. Ma w planach powiadomienie policji i gwardii narodowej. Siedząc już w samochodzie, pytam, czy sprawdzali na samej górze – w pokoju Roberta i Rachel.

Bez tchu, Chelsea informuje, że nie i biegnie na górę. Znajduje małą śpiącą, zwiniętą na podłodze garderoby na szlafroku matki. Docieram do nich kilka chwil po tym odkryciu, jednak Chelsea nadal nie może się uspokoić. Rosaleen jest zawstydzona, ale mówi, że lubi czasami tam przychodzić, żeby przypomnieć sobie zapach mamy.

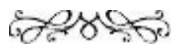
Z powodu tego wyjaśnienia, Chelsea rozkleja się jeszcze bardziej. Moje serce również zostaje rozdarte.

Po wydłużonym rytuale wieczornego układania się do snu, Chelsea nie potrafi wyjść z pokoju bratanicy, ale muszę poruszyć temat tej sypialni. Minęło wiele miesięcy od śmierci Roberta i Rachel, a pokój pozostał niezmieniony.

Nie wiem za wiele o żałobie – a jeszcze mniej o dzieciach – ale nie wydaje mi się to zdrowe. Chelsea jest nieugięta – twierdzi, że dzieci nie są gotowe na zmianę, aby spakować prywatne rzeczy rodziców do pudeł i je wynieść. Albo oddać. Jednak myślę, że nie chodzi o dzieci.

Tylko o nią.

Unika tematu. Mówi, że nie chce o tym rozmawiać. Jednak dopiero kiedy jej niebieskie oczy stają się lodowate, ja również odpuszczam. Tak naprawdę to nie jest moja sprawa, więc nie warto się kłócić.



Późnym popołudniem w środę, po incydencie z magicznym zniknięciem Rosaleen, Chelsea dzwoni do mnie do kancelarii.

– Jesteś wolny?

– Zależy, co masz na myśli – mówię głosem sugerującym, co konkretnie mam w głowie. Wiąże się to ściśle z tym, co mam w spodniach.

– Nie napalaj się. – Chelsea wzdycha. – Jadę do szkoły po Raymonda.

Zerkam na zegarek.

– Nie powinien być już w domu?

– Powinien, ale zatrzymali go po lekcjach. Najwyraźniej wdał się w bójkę.

Uśmiecham się.

– Wygrał?

– A co to w ogóle za pytanie?

– Ach... jedyne ważne?

Chichocze.

– Nie wiem, czy wygrał. Dyrektor Janovich chce się ze mną spotkać, żeby o tym porozmawiać. Chcesz też być? Mam przeczucie, że przydałby mi się prawnik.

Mam podobne przeczucia.

– Już się zbieram, zobaczymy się na miejscu.

Spotkanie rozpoczyna się, zanim docieram na otoczony bluszczem parking prywatnej szkoły. Sekretarka prowadzi mnie do przestronnego gabinetu, gdzie za prezydenckim biurkiem zastaję siwego, dystyngowanego mężczyznę. Na ścianie za nim widnieją przeróżne wyróżnienia i podziękowania, na ciemnych regałach poustawiane są grube książki w skórzanych oprawach z tytułami wypisanymi złotymi literami.

Chelsea siedzi po drugiej stronie, obok niej znajduje się puste krzesło, a za nim para wyglądających na zamożnych oraz bardzo wkurzonych rodziców. Kobieta jest blondynką, ma krwistoczerwony manicure oraz ciemnoniebieską garsonkę i perły. Jej mąż wydaje się być spokojniejszy, mniejszy, wygląda przy niej jak płotka.

– A pan to...? – pyta siwy mężczyzna, dyrektor Janovich.

Wyciągam wizytówkę.

– Jake Becker. Adwokat tej rodziny.

Blondynka zjadliwie unosi brew.

– Ja również jestem adwokatem – mówi, jakby mnie ostrzegała.

– Tak myślałem – odbijam piłeczkę.

Potrafimy się rozpoznać.

Siadam obok Chelsea, która wygląda na zdenerwowaną, splecione palce trzyma na kolanach.

– Co ustalono?

– Chcą wydalić Raymonda ze szkoły – mówi spiętym głosem.

Opieram się na krześle i kiwam głową.

– Interesujące.

Janovich odchrząkuje zdenerwowany.

– Nie tolerujemy tutaj agresji, bójek ani prześladowania. Raymond zranił kolegę.

– Złamał mu nos? – pytam zaciekawiony.

Dyrektor jest nieco zaskoczony.

– Nie...

*Szkoda – następnym razem się uda, młody.*

– ...ale poląła się krew. Było to dla wszystkich przerażające.

Nie potrafiąc usiedzieć dłużej na miejscu, blond mamuśka podrywa się z miejsca.

– Nie płacę trzydzieści tysięcy rocznie za naukę, żeby moje dziecko było napadane na korytarzach tej szkoły. Żądam, żeby ten... kryminalista został oskarżony o napaść!

– Obejrzyjmy taśmy – sugeruję.

– Taśmy? – pyta Janovich, jakby nie wiedział o czym mówię.

– Taśmy. – Kiwam głową. – W drodze tutaj minąłem na korytarzu przynajmniej dziewięć kamer. Musicie mieć rejestrator. A skoro stało się to parę godzin temu, materiał nie mógł zostać nadpisany.

Dyrektor wytrzeszcza oczy – niemal spodziewam się, że powie, żebym nie wygadywał bzdur.

– No chyba że... już pan widział nagrania? – Mrużę oczy. – Już rozumiem, co się tu dzieje. – I niesamowicie mnie to wkurza.

Nie dam się wyprowadzić z równowagi.

– Co pańskim zdaniem tam zobaczymy, panie Becker?

Zwracam się do blond żmii:

– Wspieracie tę szkołę na wszystkie sposoby, prawda? Wpłacacie znacznie więcej niż trzydzieści tysięcy rocznie: na bibliotekę, dobudowanie nowego skrzydła, tego typu rzeczy?

W końcu odzywa się ojciec:

– Nie rozumiem, co to ma z tym wspólnego.

Przenoszę spojrzenie na starszego mężczyznę siedzącego za biurkiem.

– Wszystko, ponieważ pan Janovich myśli, że łatwiej obarczyć odpowiedzialnością za całe zajście Raymonda, który ma zbyt zajętą opiekunkę, żeby o niego walczyć niż dzieciaka, którego rodzice płacą tyle na jego placówkę. To właściwe?

– Oczywiście, że nie! – jąka się. – Nie życzę sobie takich insynuacji.

– Jestem pewien, że pan sobie nie życzy.

Poprawia krawat.

– Obejrzałem nagranie, do którego odnosi się pan Becker. Chociaż zachowanie obu chłopców nie było wzorowe, po sile ataku Raymonda wnioskuję, że jego kara powinna być wyższa.

Wybucham śmiechem.

– Zatem tylko dlatego, że Raymond jest lepszy w walce, dostanie surowszą karę?

Otwiera usta, żeby to wyjaśnić, ale nie dopuszczam go do głosu.

– Zostawmy skutki i skupmy się na polityce zerowej tolerancji dla agresji. Gdzie była szkoła, kiedy od stycznia Raymond był prześladowany?

Chelsea natychmiast na mnie spogląda.

– Co?

Nadal skupiam wzrok na dyrektorze, mój głos jest cichy i zabójczo spokojny.

– Mam wiedzę, że Jeremy wielokrotnie popychał, podkładał nogę, wytrącał książki i poniżał Raymonda. Albo zdecydował pan, żeby ignorować te przypadki, albo zupełnie nie ma pan pojęcia, co dzieje się w pańskiej szkole, panie Janovich. Tak czy inaczej, nie wpływa to korzystnie na pański wizerunek.

Mężczyzna robi się czerwony, ale nie odpuszczam. Przesuwam się na skraj krzesła.

– I proszę pozwolić mi dokładnie to wyjaśnić, żebyśmy się dobrze zrozumieli: jeśli od dnia dzisiejszego prześladowanie Raymonda McQuaida kiedykolwiek się powtórzy, zaskarżę do sądu całą tę wspaniałą szkołę i pana osobiście. – Wskazuję ruchem głowy

na Chelsea. – Do czasu aż skończę, ta kobieta zostanie właścicielką całego tego terenu jak również pańskiego domu. – Piorunuję go wzrokiem. – Zazwyczaj nikomu nie grożę, ale kiedy to robię, panie Janovich, nie są to słowa rzucane na wiatr.

Obracam głowę, spoglądając na blond piranię.

– To tyczy się również was i waszego syna.

Wydaje się, iż moja wypowiedź sprawia, że krew zaczyna wrzeć jej w żyłach.

– Czeka pan! To mój syn jest tutaj ofiarą! Był...

– Paniusiu, przykro mi o tym mówić, ale twój syn jest podłym gówniarzem, który uwielbia się wyżywać na słabszych i mądrzejszych. Ale to się od dzisiaj zmieni.

Kobieta znów wstaje.

– Jeremy nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

O rany – jest jedną z tych. W pracy widuję wielu takich rodziców: ludzi, którzy widzą, co chcą i nie wierzą w winę swoich „aniołków”.

– Jeśli Raymond McQuaid mówi, że Jeremy to zrobił, to oznacza, że wasz syn jest obrzydliwym, paskudnym małym kłamczuchem!

Teraz wstaje też Chelsea.

– Nie będę się przysłuchiwać, jak poniżasz mojego bratanka. Chłopak jest greczny i ułożony, a jeśli twój syn skrzywdzi go w jakikolwiek...

Kobieta krzyczy Chelsea w twarz:

– Może gdyby twój brat był lepszym ojcem, nie wychowałby syna, który zachowuje się jak zwierzę!

Powietrze ucieka z płuc Chelsea. Z jej twarzy odpływa kolor.

– Coś ty powiedziała?

– Słyszałaś! Zamiast wychodzić z domu i dawać się rozjechać na autostradzie, może powinien w nim zostać i...

Słyszałem, że ojcowie oddaliby życie za swoje dzieci, a matki zabiłyby dla nich, jednak do tej chwili nie rozumiałem tego w pełni. Nie ma już słodkiej, uroczej, uśmiechniętej kobiety jaką znam, a jej miejsce zabiera wojowniczką podziemnych walk w klatkach zamierzająca się na Hulka.

To seksowne.

– Pierdol się, ty złośliwa cipo!

– Chelsea – krzyczę, całkowicie zdumiony.

Wstaję i chwytam ją, gdy bierze zamach, celując w blondynkę. Próbuje mi się wyrwać, ale wpycham ją za siebie.

– Wepchnę ci te perły do gardła, ty niegodziwa suko!

Niegodziwa suka odpowiada w ten sam sposób:

– Nie, to ty się pierdol, mała kurwo! Wykończę cię! – Jej mąż dzielnie stara się ją przytrzymać.

Chelsea próbuje ją złapać, niemal mi się wyrywa.

– Rozwałę ci gębę, ty uzależniony od chirurgii plastycznej cudaku!

To się zaczyna wymykać spod kontroli. Chwytam mocniej Chelsea, przerzucam sobie

przez ramię, ale kopie nogami z przodu tak samo, jak i bije mnie pięściami po nerkach, gdy podtrzymuję ją drugą ręką.

– Zgadza się na jednodniowe zawieszenie – mówię do dyrektora. – Przynajmniej póki Jeremy’ego spotka ten sam los.

– Dobrze – zgadza się Janovich, nie mogąc się doczekać, żebyśmy wszyscy opuścili jego gabinet.

Trzymam Chelsea z dala od zasięgu rąk piszczącej blond wiedźmy.

– Powodzenia, stary – mówię do jej męża i wychodzę.

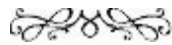
Na krzesłach po przeciwnych stronach korytarza siedzą Raymond i – wnioskując po zakrwawionej chusteczce przyciskanej do nosa – rudy Jeremy.

– Ładna buźka – mówię do wiewióra, po czym wołam Raymonda: – Chodź, młody.

Raymond patrzy osłupiały na wciąż rzucającą mi się na ramieniu kobietę.

– Co się stało cioci?

– Och... – mówię, idąc korytarzem i starając się nie robić z tego afery. – Troszeczkę ją poniosło.



Kiedy docieramy na parking, Chelsea się nieco uspokaja – cichnie.

– Postaw mnie, Jake! Natychmiast. Mówię poważnie.

Stawiam ją na ziemi.

Obchodzi mnie, kierując się wprost do drzwi szkoły.

Natychmiast zagradam jej drogę.

– Po pierwsze, spędziłem już niezliczoną liczbę godzin, starając się uchronić członków twojej rodziny przed więzieniem.

Niezrażona, maszeruje dalej. Ponownie przed nią wskakuję.

– Po drugie, opieka społeczna nie będzie patrzyła przychylnym okiem na napaść na matkę kolegi Raymonda.

Dopiero to załatwia sprawę. Chelsea patrzy mi w oczy z furią... i bólem.

– Ta baba to suka bez serca.

Przysuwam się i mówię ciszej:

– Zgadza się w stu procentach, ale nic z tym nie możesz zrobić. – Pocieram jej ramiona. – W porządku?

Jej oddech zaczyna wracać do normy, szaleństwo opuszcza i Chelsea zaczyna przypominać siebie.

– Tak, już dobrze.

Obraca się, idzie w kierunku samochodu, gdzie czeka Raymond. Wskazuje na niego palcem.

– Powinieneś był mi powiedzieć!

– Nie chciałem tego pogarszać – odpowiada chłopak.

– Kocham cię! Moim zadaniem jest cię chronić, a nie mogę tego robić, jeśli nie mówisz, gdy ktoś robi ci krzywdę!

– Powiedziałem Jake’owi – krzyczy Raymond, wskazując na mnie. – A on mi pomógł.



Wszystko będzie teraz okej.

Chelsea przygląda mi się ostro. Nie jest zadowolona. Mam niejasne przeczucie, że dla mnie wcale nie będzie okej.

Bierze głęboki wdech.

– Dobra. Musimy jechać po resztę dzieciaków. Porozmawiamy o tym w domu.

W drodze Chelsea jest dobijająco cicha. Wchodzi do domu sąsiadów, żeby podziękować za opiekę nad resztą swojej gromadki. Kiedy tylko przekraczamy próg jej domu, marszczy czoło.

– Jake, muszę porozmawiać z tobą w kuchni. Natychmiast.

Gdy tylko zamykamy drzwi, obraca się do mnie.

– Jak mogłeś nie powiedzieć mi, co dzieje się z Raymondem?

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to dla niej tak ważne.

– Prosił, żebym tego nie robił.

Zaczyna wymachiwać rękami.

– Dwa dni temu Rosaleen poprosiła mnie o przefarbowanie włosów na trzy różne kolory! Nie zawsze musimy robić to, czego chcą! Myślałam, że mogę na tobie polegać, powinniśmy być zespołem, Jake!

Nie wiem, czy to przez jej krzyk, czy może przez nieznany punkt, w którym znajduje się teraz moje życie, ale zaczynam się wkurzać.

– O co ci chodzi?

– O co ci chodzi, pytając „o co mi chodzi”? To my kontra oni. Jestem w mniejszości, powinieneś być po mojej stronie.

Patrzy mi w twarz, a jej piękne niebieskie oczy są zachmurzone.

Niepewnością. Wątpliwościami.

– Jesteś po mojej stronie?

Odpowiedzialność za nich wszystkich ciąży mi na plecach niczym kasa pancerna. To zobowiązania, które są bagażem – czyli wszystkim z czym zarzekałem się nie mieć do czynienia. A teraz ona się na mnie wyżywa? Czego jeszcze ode mnie chce? Chryste, nie wystarcza, że nieustannie o niej – o nich – myślę? Jestem całkowicie przez nich pochłonięty? Spóźniam się do pracy, wcześniej z niej wychodzę, żeby tylko ich zobaczyć.

Na litość boską to... to... przerażające.

Wskazuję na siebie, moje słowa są gorzkie i szorstkie:

– Jedyne miejsce, po którym jestem, jest moją własną. – Ocieram twarz. – Nie zrozum mnie źle, fajnie spędzać czas z tobą i dziećmi, ale nie jestem pieprzoną mamuszką, Chelsea. To nie jest moje życie. Mam swoje priorytety i plany, które, wierz lub nie, ale nie mają nic wspólnego z nikim mieszkającym w tym domu.

Oddycham ciężko, kończąc przemowę.

Chelsea... milczy. Cisza trwa kilka sekund, po czym, nie patrząc na mnie, kobieta szepcze:

– Mój błąd. Dziękuję za wyjaśnienie.

Obraca się sztywno, wyciąga z lodówki warzywa na kolację. W ogłuszającej ciszy rozważam swoje słowa i to... jak były okrutne.

Podchodzę do niej.

– Chelsea, słuchaj, ja...

– Hej, Jake, chcesz pograć na konsoli? – pyta Rory, ślizgając się przez drzwi na skarpetkach.

Wreszcie Chelsea unosi głowę i widzę jej oczy. Są pełne żalu, błyszczą bólem. Coś okropnego ściska moją pierś.

– Jake nie może teraz grać, Rory. Musi wrócić na swoją stronę.

Rory ściąga brwi.

– I powinienem rozumieć, co to znaczy?

Być może zwróciła się do Rory’ego, ale mówiła do mnie.

– Rory, idź do salonu – mówię, po czym spoglądam na jego ciotkę.

Cudem, chłopak robi o co proszę. Kiedy znika, wybucham:

– Poważnie będziesz się tak zachowywała? Stawiała ich między nami? Wykorzystywała ich do szantażu emocjonalnego? – Wskazuję na nią palcem. – To popieprzone, Chelsea.

Patrzy na mnie z ogniem w oczach.

– Nigdy nie postawię ich między nami, Jake. Poza tym, musiałyby być jakieś „my”, a według ciebie go nie ma! A to, że nie chcę, żebyś w tej chwili bawił się z Rorym, nie ma nic wspólnego z tą dyskusją, ale z tym, że zachowujesz się jak fiut!

Z drugiego pokoju dobiega głosik Rosaleen:

– Oho... Ciocia nazwała Jake’a słowem na „F”.

Odpowiada jej głos Rory’ego:

– Frajer?

– Nie.

– Fajtłapa?

– Nie.

– Fajfus?

– Co to jest fajfus?

– Rory! – krzyczymy z Chelsea w tym samym czasie.

Nasze spojrzenia się krzyżują, żadne z nas nie chce odpuścić.

– Może powinienem już iść.

To nie jest pytanie, ale Chelsea i tak odpowiada:

– Myślę, że tak będzie lepiej.

Sam tak zdecydowałem, więc nie ma pieprzonego powodu, żeby jej słowa aż tak mnie mierziły. Jednak to robią.

Bez pożegnania obracam się i wychodzę.







Czwartek zaczyna się cholernie źle, po czym przechodzi w równię pochyłą wprost do piekła. Pada, poranne bieganie jest do dupy, ponieważ się nie wyspałem. Bez względu na to, ile razy waliłem pięścią w pieprzoną poduszkę, nie potrafiłem znaleźć wygodnej pozycji do spania. Spóźniam się do pracy, ponieważ jakiś kretyn, który nie wiedział, że w deszczu należy zwolnić, wjechał w słup telefoniczny, blokując cały ruch na ulicy. Następnie, godzinę po tym, jak zasiadam za biurkiem, biorąc się za stos dokumentów wyższy ode mnie, rozlewam sobie kawę na ulubioną koszulę.

– Niech to szlag jasny trafi!

Stanton obraca się w fotelu po drugiej stronie naszego wspólnego gabinetu.

– Problem?

Wycieram pierś chusteczką, próbując zetrzeć plamę.

– Rozlałem kawę.

Unosi brwi.

– Ktoś najpierw do niej naszczał? Warczysz cały ranek. Ofuknąłeś nawet panią Higgens, a ona jak dla mnie jest niemal święta.

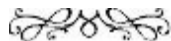
Kręcę głową, nie jestem w nastroju do zwierzeń.

– Mam zły dzień.

Wraca do czytania dokumentów.

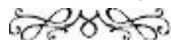
– A on się dopiero zaczyna.

*Nie musisz mi, kurwa, mówić.*



Chelsea nie dzwoni cały ranek. Nie to, żebym się tego spodziewał. Nie myślę o niej. Nie myślę o gniewie na jej twarzy ani bólu w jej oczach, gdy ostatni raz ją widziałem. O pełnych ustach, które potrafią całować tak delikatnie, uśmiechać się z łatwością i śmiać się dźwięcznie. Nie myślę również o dzieciach – ani o spostrzegawczej Riley, ani o dociekliwym Raymondzie. Nie myślę o mądrali Rorym i o chichoczącej Rosaleen. Nie myślę o słodkim głosiku Regan ani o uśmiechającym się zaślinionym Ronanie.

Odmawiam poświęcania im choćby jednej myśli.



Po milczącym lunchu z Sofią i Stantonem – Brent utknął w sądzie – siedzę przy biurku, od dwóch godzin zagrzebany w dokumentach. Słyszę zamieszanie przed drzwiami gabinetu. Podniesione głosy, panią Higgens, która mówi, że nie wolno mi przeszkadzać bez wcześniejszego umówienia terminu spotkania. Przez sekundę myślę, że może to Chelsea z dziećmi.

Ale tak nie jest.

– Pani Holten.

Staje w moich drzwiach. Blond włosy ma upięte w idealny kok nisko przy karku. Ma na sobie białą bluzkę, zaledwie ton jaśniejszą niż jej skóra. Delikatne dłonie prócz

pierścionka i obrączki, zdobi francuski manicure. Trzyma je po bokach, przy granatowej spódnicy.

Pani Holten jest żoną senatora Williama Holtena. Tego, który został oskarżony o pobicie. Tego, którego jestem obrońcą. A ona stoi w moim gabinecie.

– Muszę z panem porozmawiać, panie Becker.

Pani Higgens stara się wyjaśnić:

– Mówiłam pani, że nie możesz jej przyjąć, Jake, ale...

Unoszę dłoń.

– Wszystko w porządku, pani Higgens. Zajmę się tym. – Starsza kobieta wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Pani Holten wzdycha z ulgą i podchodzi do mojego biurka.

– To prawda?

– Pani Holten...

– Przyszłam prosto od prokuratora. Powiedziano mi, że przez proces mojego męża pewne... niezręczne rzeczy... z mojej przeszłości mogą zostać upublicznione. Przez pana. To prawda?

Wstaję. Mówię cicho, lecz stanowczo:

– Nie mogę z panią rozmawiać. Jest pani świadkiem przeciwko mojemu klientowi.

– Muszę wiedzieć!

Kładę rękę na sercu.

– Mógłbym zostać oskarżony o manipulowanie świadkiem. Pani nie może tutaj przebywać.

Zaciska usta. Widać, że jest bliska łez, bo drżą jej dłonie, jednak przede wszystkim wygląda na przerażoną.

– Wyszłam za Williama, gdy miałam osiemnaście lat. Nigdy nie pracowałam, zawsze byłam wyłącznie jego żoną, matką naszych dzieci, jego podporą w kampanii. – Przełyka odruchowo ślinę. – William zdolny jest do przeciągania rozwodu przez lata. Zna sędziów. Kiedy to się skończy, będę mogła liczyć wyłącznie na życzliwość zamożnych przyjaciół i miłość moich dzieci. Jeśli pan wie to, co podejrzewam, i jeśli wypłynie to podczas procesu Williama, nikt nigdy nie spojrzy na mnie w ten sam sposób. Nic mi już nie zostanie. Proszę, panie Becker, muszę się jedynie przygotować na to, co ma nadejść.

Przesuwam dłonią po twarzy i wskazuję gestem na krzesło naprzeciw mojego biurka. Pani Holten zajmuje miejsce, ale pozostaje spięta.

– Napije się pani wody?

– Tak, poproszę.

Napełniam szklanę, którą stawiam przed nią. Siadam, a kiedy się odzywam, ostrożnie dobieram słowa, robiąc co w mojej mocy, żeby naginać zasady, ale ich nie łamać, ponieważ cała moja pieprzona kariera może lec przez to w gruzach.

– Mówiąc czysto hipotetycznie i nie odnosząc się do żadnej konkretnej sprawy, to standardowa procedura tej kancelarii, a moim zadaniem jest zatrudnienie prywatnego

detektywa, który przeprowadza śledztwo dotyczące potencjalnych świadków. Sprawdza on otoczenie, jak i historię, szukając informacji, które mogłyby zostać wykorzystane do podważenia ich wiarygodności.

– Podważenia wiarygodności? – powtarza kobieta. – Zatem, kłamca zawsze pozostanie kłamcą, prawda?

Patrzę jej prosto w oczy, są łagodne, brązowe, niczym oczy łani.

– W zależności od okoliczności... tak.

Pani Holten bierze łyk wody i pyta:

– Zatem, jeśli potencjalny świadek miał romans i okłamał męża, dzieci i przyjaciół? Jeśli uzależniony był od środków przeciwbólowych i musiał chodzić na terapię? Wykorzystałby pan te informacje, żeby podważyć jego wiarygodność, panie Becker?

Pyta, ponieważ według raportu, leżącego na moim biurku, pani Holten winna jest wszystkich tych rzeczy.

Skreca mnie ze złości, ale nie zamierzam jej okłamywać.

– O ile sędzia pozwoli, to tak, wykorzystałbym te informacje w procesie.

– To szantaż!

– To prawo.

Zaczyna pospiesznie oddychać, trzyma rękę na szyi – jakby doszło do hiperwentylacji. Stanton podchodzi do niej z drugiego końca pomieszczenia.

– Czy mogę pani pomóc w jakiś sposób?

Kobieta zamyka oczy i stara się uspokoić oddech.

– Nie, nic mi nie będzie. Po prostu... Byłam głupia, zakładając... – Poprawia włosy i ponownie na mnie spogląda. – Proszę powiedzieć Williamowi, że to naprawię. I wrócę do domu. Proszę powiedzieć mu...

– Nie mogę tego zrobić. Nie mogę przekazywać wiadomości...

– To ważne, żeby wiedział, że jestem gotowa wrócić do domu! – mówi, naciskając. – I że posprzątam bałagan, którego narobiłam. – Podrywa się z miejsca. – Sama wyjdę. Dziękuję panie Becker, za pańską... szczerłość.

Wyraz jej twarzy staje się pusty, ma spojrzenie jak więzień w celi śmierci, czekając, aż ktoś naciśnie przycisk.

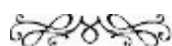
Wychodzi z mojego gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę gapię się na wejście... wspominając.

Stanton woła do mnie:

– Dobrze się czujesz, Jake?

Mrugam i kręcę głową, żeby ją oczyścić, po czym podchodzę do biurka i znów jestem skupiony.

– Tak, spoko. – Mój głos jest bez życia, podobnie jak oczy pani Holten. – To tylko praca.



Kilka godzin później, gdy za oknem gabinetu zapada zmrok, zza drzwi ponownie dochodzą dziwne odgłosy. Chwilę po ich otwarciu dostrzegam kipiącego wściekłością

młodego oskarżyciela, Toma Caldwell.

Jego biały rumak zapewne został w korytarzu.

Mówię oschle do Stanton:

– To dopiero dramatyczne wejście. Mam dziś szczęście.

Macham na panią Higgens, żeby go wpuściła, gdy Tom praktycznie rzuca się do mojego biurka.

– Co jej powiedziałaś?

Opieram się w fotelu.

– Chyba nie wiem, o czym mówisz, Tom.

Wyciąga palec w górę.

– Dobrze wiesz o czym mówię! Sabrina Holten przyszła do mojego gabinetu, żeby wycofać zarzuty przeciwko mężowi. Stwierdziła, że nie może ryzykować, żeby jej „niezręczności” wyszły na jaw.

Wzruszam ramionami.

– Niezdecydowanie świadków zawsze daje w kość.

– Wiem, że tutaj była! – wykrzykuje, piorunując mnie wzrokiem.

– Tak, wpadła. Wydawała się przerażona.

Opiera się o moje biurko.

– Rozmawiałeś z nią o sprawie?

Wciąż nie mam ochoty wstawać z fotela.

– Oczywiście, że nie. Wyjaśniłem jej, że nie mogę rozmawiać z nią o jej sprawie.

Mówiliśmy tylko czysto hipotetycznie, po czym wyszła. Stanton cały czas był w pokoju.

– Hipotetycznie... – warczy, jakby przeklinał. – Akurat.

Z drugiego końca pomieszczenia Stanton pyta:

– Oskarżasz o coś mojego kolegę, Caldwell?

Odpowiada, patrząc na mnie:

– Tak, oskarżam go o bycie draniem.

Przyglądam mu się.

– Naprawdę nie podoba mi się twoja postawa, Tom. Miałem ciężki dzień, nie chcesz mnie wkurzyć.

Pochyla się, tylko odrobinę. Nadal zaciska dłonie w pięści, a w jego oczach wciąż tli się wściekłość.

– Powiedziałem, że mogę oskarżać bez jej zeznań, że jako dowód dołączę raport z jej policyjnego przesłuchania.

– Na co nigdy nie pozwoliłbym ci – przerywam mu. – Nie mogę przepytować raportu.

– Była przerażona, Becker! To się dla ciebie w ogóle nie liczy?

Nie odpowiadam, ponieważ czasami nie ma co powiedzieć.

– Posunęła się do tego, żeby stwierdzić, iż będzie bronić męża w sądzie, jeśli nadal będę naciskał – ciągnie Caldwell. – Że powie, iż była dezorientowana, a to wszystko to tylko polityczna nagonka na niego. Powiedziałem, że mogę ją oskarżyć o składanie



falszywych zeznań.

Stanton się śmieje.

– Wow, chcesz oskarżać ofiarę? Staniesz się przez to popularny wśród klientów.

– Tak naprawdę nie zamierzałem tego robić – mówi Tom. – Chciałem jedynie zobaczyć, czy zmieni zdanie. Ale tego nie zrobiła. – Przygląda mi się przez chwilę, po czym pyta: – Przeglądałeś jej historię medyczną? Ona nie jest jego żoną, tylko workiem do bicia.

Przecieram oczy. Nagle... jestem cholernie zmęczony. Całym tym syfem.

– Czego ode mnie chcesz, Caldwell? Nie rozumiem, co według ciebie mam zrobić?

Taksuje mnie wzrokiem pełnym niesmaku. Obrzydzenia.

– Zapomnij o patrzeniu na siebie w lustrze. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz we własnej skórze. – Jego słowa wybrzmiewają w ciszy gabinetu, kiedy kręci głową. – Nieważne. To i tak nie ma znaczenia, a ty nie jesteś wart mojego czasu.

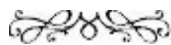
Wychodzi, trzaskając drzwiami.

Pocieram kark. Wstaję i pakuję dokumenty do aktówki.

– Wychodzę – informuję Stantona.

– Chcesz wpaść do nas na kolację? Zjeść ze mną i Sofią?

– Nie dzisiaj, stary. Im wcześniej pójdę spać, tym szybciej skończy się ten pieprzony dzień.



Jednak nie jadę do domu. Zamiast tego trafiam do prawdziwej speluny – podrzędnego baru – gdzie obsługa jest zręczliwa, prawie nie ma klientów, ale za to szkocka jest fantastyczna. Zamiast spędzać czas z uczynnymi, łasymi na kasę barmanami i klientkami, które liczą na niezobowiązujący seks, zostaję tutaj, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Właśnie tego mi teraz trzeba.

Siedzę na wytartym stołku, a umięśniony barman z gęstą, czarną bródką nalewa mi podwójną szkocką. Rzucam banknoty – więcej niż trzeba – na zniszczony drewniany bar.

– Zostaw całą tę przeklętą butelkę.





Kilka godzin później wtaczam się na ganek Chelsea, choć nie mam zielonego pojęcia, jak się tu dostałem. Zerkam na samochód – postawiony dość krzywo.

I na trawnik.

Najwyraźniej parkowanie bokiem mi nie wyszło – jestem w tym kiepski.

W domu się nie świeci, wokół mnie panuje cisza. Dociera do mnie, że jest prawdopodobnie zbyt późno, żeby się tu zjawiać, cholernie późno, żeby pukać do drzwi.

Przypominam sobie jednak o zapasowym kluczu. Jestem pieprzonym geniuszem.

Unoszę wycieraczkę i widzę srebrny, połyskujący kawałek metalu. Otwieram drzwi i wchodzę cichutko na paluszkach – przynajmniej na tyle, na ile pozwala mi stukilowa sylwetka. Pojawia się futrzana kulka, jej pazurki stukają na drewnianej podłodze, gdy obwąchuje mi stopy.

– Cześć, Kudłaty. Gdzie Scooby? – Śmieję się, choć mój żart naprawdę nie był śmieszny.

Wchodzę do kuchni, z lodówki wyciągam butelkę wody. Niczym ninja, Chelsea wyskakuje z za kuchennych drzwi z uniesionym nad głowę kijem baseballowym.

Na mój widok panika znika z jej twarzy, przekształcając się w irytację. Przynajmniej opuszcza kij.

– Jake? Wystraszyłeś mnie!

Przełykam wodę i bełkoczę:

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zabrała spod wycieraczki ten cholerny klucz? To pierwsze miejsce, które sprawdzi włamywacz. No bo, patrz, wszedłem. Jestem tu i ze mną utknęłaś.

Przechyla głowę i ściąga brwi. To urocze. Chciałbym pocałować tę zmarszczkę. Całą jej twarz. Chciałbym ją lizać, pieścić, ocierać się o nią, aż cała przeszłaby moim zapachem. Aby każdy wiedział, że jest moja.

To tak obrzydliwe, jak to brzmi?

– Jesteś pijany? – pyta szeptem.

Naprawdę musi pytać? Przecież bełkoczę, oczywiście, że jestem napruty.

– Taaak, nawalony jak stodoła jestem.

*Dzięki, Yoda.*

– Wszystko... Dobrze się czujesz?

– Miałem ciężki dzień w pracy, kochanie. Zasłużyłem, żeby sobie chlapnąć.

– Co się stało?

Unikając odpowiedzi, mówię cicho:

– Musiałem cię zobaczyć. Sprawiasz, że wszystko jest... lepsze.

Przygląda mi się przez chwilę, po czym odstawia pałkę w kąt. Bierze mnie za rękę.

– Musisz być cicho, dobrze? Nie chcę obudzić dzieci.

To byłoby okropne. Zamykam usta na niewidzialny kluczyk.

Jednak gdy zaczyna mnie prowadzić, pociągam ją za rękę, przez co się obraca i zderza z moją klatką piersiową. Muszę jej coś wyjaśnić.

– Chelsea... nie chciałem wcześniej tego powiedzieć. Jestem po twojej stronie.

Przygląda się mojej twarzy, uśmiechając się łagodnie. Przeciąga palcami po moich ciemnych włosach.

– Wiem, że jesteś.

Udaje nam się bezszelestnie dotrzeć do pokoju Chelsea. Zamyka drzwi, gdy siadam na łóżku, próbując wyplątać się z krawata. Chelsea przybywa mi na ratunek i zdejmuje mi go przez głowę. Rozpina koszulę, spodnie – pozostają jedynie w bokserkach i podkoszulku.

Przyglądam się jej spod półprzymkniętych powiek, rozkoszując się widokiem uśmiechu tańczącego na jej ustach i wdzięcznym sposobem z jakim się porusza.

– Jesteś taka piękna – mówię, nie mogąc się powstrzymać.

Patrzy na mnie, klęcząc na podłodze, rzucając przez ramię moimi skarpetkami.

– Sam też nie jesteś najbrzydszy. – Ruchem głowy wskazuje na środek łóżka. – Wskakuj.

Wypełniam polecenie, a Chelsea kładzie się za mną. Układam się na plecach, z jedną ręką pod głowę. Chelsea przytula się do mnie, opiera policzek na mojej piersi.

– Co się z tobą dzieje, Jake?

Prawda pogrzebana jest głęboko w moim wnętrzu. Jest zwinięta w ciasną, czarną kulę, okrytą grubym pledem rozczarowania. Strachu. Wstydu. Jednak chce się ujawnić, niczym ranne zwierzę odsłaniające miękkie podbrzusze, gdy wie, że zostało pokonane. Żeby przyspieszyć nieuniknione.

– Nie jestem dobrym człowiekiem.

Wyszeptane wyznanie odbija się echem w cichym pokoju. Chelsea unosi głowę, opiera podbródek na mojej piersi.

– Jesteś najlepszym człowiekiem jakiego znam. W każdy możliwy sposób. – W jej głosie słychać niedowierzanie, jakby uważała, że się drocę.

Nie chcę się kłócić. Wkrótce się przekona. *Prawda cię wyzwoli.* Co za banał. Kiedy prawda jest okropna, trzyma cię niczym więźnia, a kiedy zostaje ujawniona, rozrywa cały twój świat.

– Opowiadałem ci o moim ojcu?

– Mówiłeś tylko, że zostawił was, gdy miałeś osiem lat.

Prycham.

– Tak, zostawił. – Kręcę głową, gdy pogrążam się w otchłani niechcianych wspomnień. – Był podłym sukinsynem, nawet kiedy miał dobry humor. Jednak gdy sobie wypił... był naprawdę niebezpieczny. Mama... siadywała tak nieruchomo, że musiałem obserwować jej pierś, żeby mieć pewność, że oddycha. Wydawało się, że próbowała wtopić się w tapetę, żeby nie dawać mu powodu...

Jednak tacy dranie jak mój stary najczęściej nie potrzebują powodu.

Mają swoje własne.

Mój głos jest płaski i odległy.

– Ostatni raz... stało się to, bo kichnęła. – Mam to przed oczami. Sposób w jaki wytrącił jej tacę, a obiad roztrzaskał się na telewizorze i ścianie, pozostawiając smugi po ściekającym na podłogę puree ziemniaczanym. W jaki ją złapał. – Możesz uwierzyć? Kichnęła...

Po raz pierwszy, odkąd zacząłem opowiadać, spoglądam na Chelsea. Patrzy na mnie ze smutkiem i współczuciem. Ma ściągnięte brwi, opuszczone kąciki ust, choć nie wydaje się, że to litość.

– A była taka drobna, Chelsea. Nawet jako dziecko widziałem, o ile była od niego mniejsza. – Zwilżam wargi językiem, żeby reszta słów zdołała przez nie przejść. – Zrzucił ją ze schodów. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy tym razem to mu wystarczy. Powiedział, że pewnego dnia nic go nie powstrzyma, a kiedy to się stanie pogrzebie jej ciało w takim miejscu, żeby nikt go nie znalazł. Stwierdził, że i tak nikt nie będzie za nią tęsknił... – Oczy pieką mnie na to wspomnienie, czuję ucisk w gardle. – Nikt, z wyjątkiem mnie.

Mrugam, żeby rozgonić łzy i odchrząkuję.

– Poszedłem więc do schowka w łóżku, ten kretyn trzymał tam naładowaną broń. Wróciłem do salonu i wycelowałem w niego. Pistolet nie był ciężki. Ręce w ogóle mi nie drżały, jednak gdy odbezpieczyłem, dźwięk, który rozbrzmiał, wydawał się bardzo głośny. Ojciec zamarł. Dobrze wiedział, co to za dźwięk. Obrócił się powoli i zobaczył lufę wymierzoną prosto w swoją pierś. Powiedziałem, żeby odszedł, żeby nas zostawił... albo go zabiję. Naprawdę zrobiłbym to.

W pewnej chwili Chelsea zaczęła kreślić koła na mojej piersi, brzuchu, jednak nie zauważyłem tego aż do teraz. Daje mi to motywację do dokończenia historii.

– Najwyraźniej to prawda, co mówią o tchórzach. Znęcają się jedynie nad słabszymi, nad tymi, którzy nie potrafią oddać, ponieważ ojciec odszedł i nigdy nie wrócił.

Przez moment jedynym dźwiękiem w pokoju jest szept naszych oddechów. W końcu Chelsea mówi z podziwem:

– Właśnie dlatego robisz to, co robisz.

– Co masz na myśli?

– Jesteś obrońcą. Bronisz ludzi. Obroniłeś mamę... i Rory'ego. Dałeś im szansę, możliwość nowego początku.

Zaciskam powieki.

– Większość ludzi tak tego nie postrzega, Chelsea.

Obejmuje moją twarz.

– Ja tak to właśnie widzę.

Jej mina mówi sama za siebie. Na jej twarzy widać podziw i uwielbienie – jakbym był bohaterem tej historii. I, Boże, chciałbym być teraz egoistą. Obrócić ją, rozebrać i upewnić się, że nigdy nie spojrzy na mnie inaczej.

Chciałbym ją zatrzymać.

Jednak brzydka prawda zawsze ujrzy światło dzienne. Chelsea zasługuje, żeby

usłyszeć ją ode mnie.

– Dzisiaj bronię mężczyznę takiego jak mój ojciec.

Dłoń Chelsea zamiera, przestaje mnie głaskać.

– Jego żona... została z nim przez trzydzieści lat, przyjmując całą tę przemoc, aż w końcu znalazła w sobie odwagę, żeby odejść. Aby powiedzieć mu, żeby się pieprzył. – Milkę, przełykam ślinę. – A ja jej to odebrałem. On ją krzywdzi, wiem o tym, a przeze mnie nadal będzie się nad nią znęcał. – Patrzę jej prosto w oczy, licząc na to, że znajdę odpowiedź, z którą uda mi się żyć. – Jest potworem, Chelsea, a ja go bronię. Kim przez to jestem?

Jej serce przyspiesza, niczym skrzydła ptaka, który uświadomił sobie, że jest w klatce. Przygląda się mojej twarzy... szukając w myślach odpowiednich słów.

Cichym, lecz stanowczym głosem mówi:

– Jake... czasami życie stawia przed nami trudne dylematy...

Chwytam ją za ramię i przyciągam bliżej.

– Ale właśnie o to chodzi. Gdybym był dobrym człowiekiem, nie byłoby to trudne. Czasami... czasami sprawy są jasne... powinny być proste.

Coś pęka we mnie pod ciężarem wszystkich moich pragnień. Chcę Chelsea, tej nieustraszonej, wspaniałej kobiety. I chcę dzieci. Tych idealnych, okropnych, cudownych dzieciaków, które ona kocha każdym skrawkiem serca i duszy. Chcę, żeby wszyscy byli moi. Abym mógł ich tulić, chronić i uczyć. Pragnę ich radości, ich śmiechu, ich miłości. Chcę wracać do ich domu, wygrzewać się w jego atmosferze, rozkoszować się przepelniającymi go uczuciami, ale również je tworzyć.

Jednak, co ważniejsze, chcę na to zasługiwać.

Być tego wart.

A wszystko, co się dzisiaj stało, było przypomnieniem, zimnym dowodem... że nie jestem.

– Nie powinienem tu być – mówię z bólem. – Zasługujesz na mężczyznę, który wie, co dobre, który postępuje właściwie. Chcę... Chryste, chciałbym być nim dla ciebie.

Bez słowa, Chelsea odsuwa się, po czym przesuwając wyżej na łóżku i układa sobie moją głowę na piersi.

Jest miękka i ciepła, pachnie tak wspaniale. Szepcze do mnie, dotyka mojej skroni, karku, głaszcząc mnie po włosach. Nie ma na świecie miejsca, w którym wolałbym teraz przebywać.

– W porządku, Jake. Śpij. Ciii... jest dobrze.





– On chyba nie żyje.

– Żyje, oddycha.

– Można oddychać, jak się nie żyje?

– Nie. Cóż, może, ale trzeba respiratora.

Słyszę odgłos wachania.

– Śmierdzi, jakby nie żył.

Czuję palce na powiekach, po czym jedna się unosi, ukazując zamazany obraz twarzyczki Rosaleen.

– Nie żyjesz?! – krzyczy mała.

Najwyraźniej podejrzewa, że jestem też głuchy.

Odsuwam głowę, uwalniając oko.

– Tak, nie żyję. – Obracam się na drugi bok, z dala od głosów. – Dajcie mi spoczywać w spokoju. – Łomot nie oddaje w pełni tego, co dzieje się w mojej czaszce. Czuję, jakby pasożyty z ostrymi pazurami drążyły w niej tunele, chcąc rozłupać ją od środka. Jest mi niedobrze i choć nie wymiotowałem po alkoholu odkąd skończyłem dwadzieścia dwa lata, dzisiaj może się to stać.

– Wiesz, mogę coś zaradzić – mówi Raymond.

Powoli obracam się na plecy i uchylam powieki. Cała czwórka: Raymond, Rory, Riley i Rosaleen, ubrana w szkolne mundurki gapi się na mnie z ciekawością i obrzydzeniem. Głównie z niesmakiem.

– Jak?

– Mama wierzyła w homeopatię. Mógłbym ci coś przygotować.

– Dobra.

Jestem aż tak zdesperowany – polegam na dziewięciolatku.

Idąc do kuchni, przytrzymuję się ścian. Zastaję tam Chelsea ubraną w getry i podkoszulek z logo Berkeley, w którym jej cycki wyglądają fantastycznie. Gdybym tylko był na siłach, żeby odpowiednio wyrazić swój podziw.

Karmi Ronana jakąś ohydną zieloną papką, na której widok niemal wymiotuję na podłogę. Mały wydaje się zadowolony.

– O, wstałeś – mówi wesoło Chelsea, po czym jej uśmiech znika. – Wyglądasz okropnie.

– Logiczne – mamroczę. – Tak właśnie się czuję.

Siadam przy wyspie, kiedy Raymond otwiera blender wrzucając do niego owoce, kapsułki i jakieś pastylki. Włącza go, a moja głowa eksploduje. Po dwóch długich minutach, brązowa, ziemista mikstura zostaje nałożona do szklanki i ustawiona przede mną. Wszyscy mi się przyglądają – nawet niemowlak – jakbym był człowiekiem-wilkiem w cyrku.

– To naprawdę zadziała? – pytam Raymonda.



– Cóż... – Zaciska usta. – Albo zadziała, albo to zwrócisz. Tak czy inaczej, poczujesz się lepiej.

Ma rację.

Wychylam to duszkiem, starając się nie oddychać. Bekam głośno, gdy mój brzuch protestuje. Kładę głowę na blacie.

– Niech mnie ktoś dobije.

– Dobra, dzieci, czas do szkoły – mówi Chelsea, w chórze jęków podając im plecaki i torebki z jedzeniem. Słyszę, jak maszerują niechętnie przez foyer i wychodzą. Myślę, że zdrzemnąłem się na chwilę, bo kiedy ponownie otwieram oczy, jesteśmy w kuchni tylko z Chelsea.

Stawia przede mną szklanę z wodą, ma neutralny wyraz twarzy.

– Dziękuję.

Nie pamiętam za wiele z wczorajszej nocy, zaledwie kilka słów i obrazów. Mimo to czuję potrzebę rozmowy.

– Przepraszam za wczoraj.

– Dlaczego? – pyta, układając naczynia w zlewie. – Nie napastowałeś mnie przecież.

– Nie, z pewnością pamiętałbym o tym.

Zerka na mnie z przelotnym uśmiechem.

– Chelsea. – Desperacja pobrzmiwa w moim głosie, przez co kobieta zamiera, a nasze spojrzenia się krzyżują. – Przepraszam też za to, co wcześniej powiedziałem. Nie jesteś dla mnie jedynie „rozrywką”, wiesz o tym, prawda? Musisz wiedzieć, że jesteś kimś... więcej. A ja nie radzę sobie z... tym... za dobrze.

Jej poważny wyraz twarzy nieco się rozpogadza, a spojrzenie staje się miękkie i ciepłe. Zwilża wargi językiem, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Tęskniłam za tobą. Wiem, że minął zaledwie dzień i zdaję sobie sprawę, że pewnie cię to przerazi... ale lubię, gdy tutaj jesteś i wszystko, co się z tym wiąże. Nie musimy... rozwijać tego mocniej, jeśli nie chcesz. Wystarczy mi tak, jak jest. Myślę, że to też jest... dość niesamowite.

Biorę ją za rękę, przyciągając bliżej siebie. Zakrywam jej dłoń swoimi. Jest taka malutka. Taka piękna.

– Ja też uważam, że to dość niesamowite.

Jej uśmiech staje się szerszy.

– Dobrze.

Ziewam i się przeciągam... i, cholera, właściwie nie czuję już, jakbym miał umrzeć. Raymond może miał rację z tym koktajlem. Mam nadzieję, że zapisał gdzieś przepis.

– Muszę iść do pracy, ale zanim pojedę do domu się przebrać, chciałbym wziąć prysznic.

Chelsea głaszcze mnie po włosach i masuje kark.

– W tym domu jest pięć łazienek, możesz sobie wybrać.

Uśmiecham się.

– Lubię tę przy twoim pokoju.

Ciepła woda działa cuda na spięte mięśnie. Trzymam głowę pod natryskiem, pozwalając, żeby strumień zmył ze mnie wczorajszy dzień. Rozmowę z panią Holten, Toma Caldwell, aby uczucia, które wywołali spłynęły do kanalizacji.

Okręcony w pasie ręcznikiem, wchodzę do pokoju Chelsea, która układa seksowną koronkową bieliznę w szufladzie. Przygląda mi się, śledząc wzrokiem krople wody spływające mi po brzuchu i piersi. Mój członek zostaje pobudzony tym spojrzeniem.

Chelsea to zauważa.

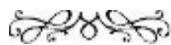
Przyglądając się ręcznikowi z głodem w oczach, pyta bez tchu:

– Lepiej się czujesz?

Wodzę językiem po dolnej wardze.

– O wiele lepiej.

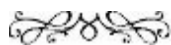
Ręcznik nie pozostaje zbyt długo na moich biodrach.



Podczas kolejnych dni ponownie odnajdujemy z Chelsea właściwy rytm w i poza sypialnią. Moje życie wraca do normy – dziwacznej, innej normy, która uwzględnia ją i dzieciaki. Któregoś dnia Chelsea dołącza podczas lunchu do mnie, Brenta, Sofii i Stantona – Sofia przez cały czas trzyma na rękach Ronana. Kiedy indziej zabieram Rory’ego na kwalifikacje do małej ligi, po czym wszyscy świętujemy, jedząc pizzę na tarasie, ponieważ chłopak dostał się do drużyny. Rosaleen zaczyna lekcje z nowym nauczycielem gry na fortepianie, który przychodzi do ich domu – pilnuję, żeby nie bił jej linijką po rękach. Riley odkrywa 5 Seconds of Summer, przez co One Direction idzie w odstawkę – chociaż, jeśli mam być szczery, te chłopaki wyglądają dla mnie identycznie. Ronan zaczyna przesypiać całe noce – co jest wielkim postępem. Raymond cieszy się spokojem w szkole. Regan natomiast przy każdej okazji wykorzystuje nowo poznane słowo, mówiąc „nie”, kiedy tylko ma na to szansę.

Jest idealnie.

Jednak... przychodzi dzień, który to zmienia. Wszystko nagle szlag trafia.



Po wycofaniu oskarżenia przez panią Holten i odmowie składania zeznań na jakiegokolwiek rozprawie dotyczącej jej męża, Caldwell nie miał wyjścia, musiał zamknąć sprawę przeciwko senatorowi. Odnotowano to jako moje zwycięstwo. To wielki krok dla mojej kariery. Jestem teraz pupilkiem Jonasa Adamsa oraz ulubieńcem w świecie senatora Holtena – wpływowego człowieka w Waszyngtonie. Późnym popołudniem w piątek senator robi miejsce w swoim napiętym grafiku, żeby zawitać do naszej kancelarii i spotkać się ze mną w gabinecie Jonasa. Aby podziękować i omówić moją przyszłość.

Pogadać o paktach, które chce zawrzeć sam diabeł.

Siedzimy na skórzanych kanapach w gabinecie Jonasa, delektując się wyśmienitą szkocką. Holten mówi o „przyjacielu”, przeciw któremu toczy się śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy. Jego oczy są ciemne, niemal bezduszne. Trochę mnie to mierzi.

Senator ciągnie opowieść, ale czuję, że telefon wibruje mi w kieszeni. Dyskretnie zerkam na wyświetlacz – pojawia się na nim imię Chelsea. Przełączam ją na pocztę, jednak chwilę później włoski stają mi na karku, gdy telefon odzywa się ponownie.

Waham się przez sekundę... jednak ponownie odrzucam połączenie. Być może to najważniejsze spotkanie w mojej karierze – słuchanie o tym, ile Ronan dzisiaj raczkował może poczekać.

Kończymy drinka, rozmowa schodzi na bieżące sprawy – ostatnie uniewinnienie. Wtedy Veronica, sekretarka pana Adamsa wchodzi do jego gabinetu i przerywa nam drżącym głosem:

– Przepraszam za najście, panowie. – Patrzy na mnie. – Dzwoni pani Higgins, która ma bardzo pilną sprawę do pana Beckera.

Pierwszą myślą są dzieci, czyżby Rory znów wpakował się w kłopoty, a może Regan miała wypadek? Coś małego oczywiście, może drobne złamanie albo rana, która wymaga kilka szwów.

Jednak ukrywam troskę za wzruszeniem ramionami, przyglądając się szefowi i senatorowi.

– Przepraszam, klienci.

Adams kiwa głową.

– Skorzystaj z mojego telefonu, Becker.

Wchodzę za jego biurko i wciskam klawisz pod migającą diodą. Następuje kliknięcie, przerwa na połączenie, po czym słyszę głos Chelsea:

– Jake?

Tak wiele jest w tym słowie. Jej ton jest... płaski, choć jednocześnie piskliwy. Oddycha ciężko, jakby skręciła kostkę albo zacięła się w palec... jakby coś ją bolało.

– Co się stało?

– Jest tu Janet. Z... policją. Mają... nakaz...

Kolana się pode mną uginają.

– Zabierają dzieci, Jake.

Czuję podchodzące do gardła wymioty, wydaje mi się, że spadam. Muszę przytrzymać się biurka, żeby nie upaść.

Przełykam żółć.

– Zaraz przyjadę. Powiedz... – Zduszam przekleństwo. – Powiedz, że już jadę.

– Pospiesz się – błaga szeptem. Telefon milknie.

Odkładam słuchawkę. Potrzebuję użyć całej swojej siły, żeby nie wybiec ani niczego po drodze nie uszkodzić.

– Przepraszam, muszę iść. – Z teczką udaję się do drzwi, gdzie zatrzymuje mnie głos szefa:

– Becker, senator Holten ma czas jedynie w tej chwili.

Trzymając za klamkę, obracam się i odpowiadam:

– Ponownie przepraszam, ale nie mogę dłużej rozmawiać, senatorze. To... – Nie muszę myśleć o swoich następnych słowach. – ...nagła sytuacja rodzinna.





Wpadam przez drzwi, kipiąc i wrząc, próbując się pozbierać. Emocje sprawiają, że traci się koncentrację i łatwo o niedbałość. A ja naprawdę muszę być skupiony.

Foyer jest puste – wpadam do salonu. Pierwsze, co widzę, to Riley z niebieską torbą przy stopach, głaszczącą rozdygotaną siostrę po plecach, gdy mała się do niej tuli. Czternastolatka patrzy na mnie, jej oczy pełne są wstrzymywanych łez.

– W porządku. – Kiwa głową, próbując być dzielna. – Nic mi nie jest.

Zauważam umundurowanego policjanta – jest młody, zaraz po szkole. Zastanawiam się, czy kiedy wyobrażając sobie służbę i ochronę niewinnych, myślał o zabieraniu przestraszonych dzieci z ich własnego domu. Podnosi oprawione zdjęcie stojące na stoliku.

– Nie dotykaj tego – warczę.

Odkłada fotografię i unosi ręce w geście poddania. Mijam go w drodze do Chelsea, która stoi z Regan u boku i Ronanen w nosidełku pod nogami. Chelsea ma otwarte szeroko, przerażone oczy, palce trzyma splecione. Na mój widok wzdycha z ulgą.

– Co się, u diabła, dzieje, Janet? – rzucam do pracownicy opieki społecznej stojącej obok.

Janet kręci głową.

– To nie moje zalecenie. Nakaz przyszedł z góry.

– Z jakiej góry? – *Kogo muszę rozerwać na strzepy?*

– Od dyrektora ośrodka pomocy społecznej, który zrewidował sprawę i zdecydował o zabraniu dzieci z domu. To Dexter Smeed.

Biorę sądowy nakaz z rąk Chelsea.

– Zanedbania i zagrożenie? – czytam na głos. – To jakiś pieprzony żart?

Janet zaciska usta, nie wygląda na zadowoloną.

– Naprawdę mi przykro.

Ponownie zerkam na dokument, sprawdzam datę, słowa, podpisy. Szukam nieprawidłowości. Czegokolwiek.

– Możesz coś zrobić w tej sprawie, prawda? – pyta Chelsea z błaganiem w oczach. – Możesz prosić o odroczenie czy coś? Żeby dzieci mogły zostać.

W jej głosie jest nadzieja. Wiara. Zaufanie. To mnie miazdzy.

Chwytam ją za łokieć i przysięgam:

– Odzyskamy je. Przysięgam, Chelsea... Odzyskamy je.

Przez chwilę przygląda mi się, nie mrugając. Jakby nie rozumiała, co do niej mówię. Aż to do niej dociera. Zaciska powieki, oddycha ciężko przez nos. Otwiera oczy, widzę budujący się w nich mur. Wznosi go cegła po cegle, aby poradzić sobie z ciosem. Aby okazać siłę dla dzieci, aż do... później.

Kiwa głową i zmusza się do uśmiechu. Bierze Regan na ręce i podchodzi do Riley i Rosaleen, głaszcze je po głowach, mówi, że przez chwilę muszą zostać u przyjaciół

Janet, że będzie fajnie, że będą się dobrze bawić.

Modlę się, żeby nie wyłapały drżenia jej głosu.

– Gdzie je zabierasz? – pytam Janet.

W zeszłym miesiącu czytałem Sędziemu artykuł, który opisywał zarówno przepełnienie domów dziecka w Waszyngtonie, jak i brak miejsc w rodzinach zastępczych. Wyobrażam sobie trzy samochody, zabierające po dwoje dzieci, odjeżdżające w przeciwnych kierunkach. Rozdzielające tę rodzinę.

– Nie mogę powiedzieć.

– Więc powiedz przynajmniej, że mogą zostać razem, Janet – mówię, choć głos mam tak napięty, że brzmi to jak błaganie.

Kobieta lituje się nade mną.

– Pracowałam wcześniej z pewną rodziną, to dobrzy ludzie, pomocni. Zgodzili się zaopiekować całą szóstką... na weekend.

Patrzę na nią ostro.

– Weekend? A co potem?

Janet staje naprzeciw mnie.

– Potem wszystko zależeć będzie od dostępnych opcji. – Wraca do profesjonalizmu. – Nic nie jest jednoznaczne, Chelsea ma prawa, inne możliwości. Może wnioskować o przesłuchanie w trybie pilnym.

– Niech to szlag jasny trafi.

Na schodach słyhać kroki. Pojawia się Raymond ze stoickim wyrazem twarzy, jednak zdradzają go zaczerwienione oczy i pociąganie nosem. Rzuca plecak i biegnie do Chelsea, która natychmiast go obejmuje.

Próbuję wymyślić, co mam powiedzieć. Staram się wyjść ze słowami, które zmniejszą ten koszmar. Jednak zanim mam szansę to zrobić, ze schodów schodzi Rory, jest roztrzęsiony, ma szeroko otwarte oczy. Spodziewam się, że dołączy do rodzeństwa, pobiegnie do Chelsea. Ale tego nie robi.

Podchodzi do mnie.

Tuli się, obejmuje, trzyma mocno. Jego głos jest przytłumiony przy moim pasie, jednak dobrze rozumiem każde słowo.

– Przepraszam. Przepraszam. Będę grzeczny. Przysięgam, już będę grzeczny.

Czuję klucie w oczach, patrząc na tego biednego, zagubionego dzieciaka... pęka mi serce.

Klękam przed nim, odsuwając go nieco od siebie.

– To nie twoja wina, Rory. Nie zrobiłeś nic, co miałoby na to wpływ.

– Ale...

– To nie twoja wina, młody.

Czka.

– Nie pozwól... żeby nas... zabrali.

Mówię cicho, ale z pewnością:

– Sprowadzę was do domu. Wszystkich was sprowadzę.

Przygląda się mojej twarzy, szuka w niej szczerości.

– Kiedy?

Przeklinam porę dnia, rozkład spraw w sądzie i wszystko, co ma wpływ na moją odpowiedź:

– W poniedziałek. Sprowadzę was w poniedziałek. – Odgarniam mu włosy z twarzy i ocieram mokre policzki. – Pamiętasz, co mówiłem o mężczyźnie i jego słowie?

Przytakuje.

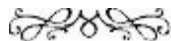
– Najważniejszy dla mężczyzny jest jego honor. Aby mówił, co myśli i robił, co mówi. Słabiutki uśmiezek unosi kąciki jego ust.

– Właśnie tak. Daję ci moje słowo, Rory. Sprowadzę was do domu w poniedziałek.

Spoglądam na Chelsea i dzieci zebrane wokół niej – wszyscy przyglądają mi się i słuchają moich słów. Zwracam się znowu do Rory'ego.

– Jednak w międzyczasie musicie się trzymać razem. Potrzebuję waszej siły, dobrze? Zaopiekujcie się sobą nawzajem. Nie kłóćcie się. Pomagajcie sobie.

Po dłuższej chwili Rory zaciska zęby. Kiwa lekko głową i wierzchem dłoni ociera oczy. Jest gotowy.



Pomagamy dzieciakom wsiąść do vana. Chelsea ściska je i całuje przed wejściem, ledwie jest w stanie je puścić. Twarzyczka Rosaleen jest czerwona i mokra od strumieni łez.

– Chcę tu zostać.

– Wiem, maleńka. – Ocieram kciukiem jej policzki, zapinając pasy. – To nie potrwa długo. Naprawdę szybko wróćcie do domu – kłamię.

Regan drży wargą, choć jestem pewien, że mała nie rozumie dlaczego.

– Nie...

Nie umiem udzielić jej jakiegokolwiek odpowiedzi. Całuję ją jedynie w czoło.

Odsuwamy się, gdy Janet zasuwą boczne drzwi. Robi to z hukiem – echem – co przypomina mi zamykanie drzwi więziennej celi. Wsiada za kierownicę.

Chelsea macha i nie przestaje mówić, nawet jeśli dzieci nie mogą jej już słyszeć.

– Kocham was! Bądźcie grzeczni. Niedługo się zobaczymy. Wszystko będzie dobrze. Nie martwcie się. Obiecu... – Urywa. – Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Trzyma uniesioną rękę, gdy van odjeżdża, a za nim podąża radiowóz. Przemierzają podjazd, wyjeżdżają za bramę i znikają nam z oczu.

Kiedy tylko niebieski pojazd przestaje być widoczny, wyraz twarzy Chelsea się załamuje. Ze świstem wypuszcza powietrze z płuc, nakrywa twarz dłońmi. Obejmują ją, żeby wiedziała, że nie jest sama.

Krzyczy. Zawodzi przenikliwie, czego nie zapomnę do końca życia. To czysty ból, tak głęboki, że nie wiedziałem, iż jest możliwy – to niekończący się udręczony szloch.

Jej nogi nie wytrzymują, więc ją chwytam.

Zaciska palce na mojej koszuli, tuli twarz do mojej piersi. Jej łzy wsiąkają w materiał. Prowadzę ją do domu, gdzie trzęsie się, płacząc.



– Były przerażone, Jake. Boże, były tak bardzo przerażone.

To straszne. Każde słowo uderza niczym bicz, rozcinając mnie, przekształcając moje wnętrze w bezkształtną, krwawą miazgę. Prowadzę ją prosto do jej pokoju. Ślady dzieci widoczne są w całym domu – zabawki, uśmiechnięte twarzyczki na zdjęciach – wszystko o nich przypomina. Siadam na łóżku, wciąż tuląc Chelsea w ramionach. Głaszczę ją po włosach, całuję w czoło, szepczę słowa pociechy, które nie mają żadnego pieprzonego znaczenia.

Chelsea płacze, długo i głośno. Wiem, że nie chodzi jedynie o dzieci – uwalnia wszystko, co nagromadziło się w niej przez ostatnie miesiące. Cały żal, ból, samotność i strach, których nie pozwalała sobie odczuwać.

– Robbie był dobrym bratem – mówi, krztusząc się.

– Wiem.

– Kochałam go.

– Wiem, że tak – odpowiadam kojąco.

– Ale odszedł. Tęsknię za nim... tak bardzo.

Tulę ją mocniej.

– Wiem.

Mówi ochryple:

– Miałam do wykonania jedno zadanie. Miałam pomóc w jednej rzeczy... i nawaliłam! Straciłam je...

– Ciii... W porządku. – Przyciskam usta do jej czoła.

– Zabrali je. O Boże... zabrali je...

– Odzyskamy dzieci. Ciii... Obiecuję.

W końcu Chelsea jest tak osłabiona płaczem, że zasypia głęboko. Nie śpię przez całą noc, trzymając ją w ramionach. Szepczę, gdy jęczy i spanikowana ściąga brwi, aż ponownie się uspokaja. Myślę o dzieciach, o każdym po kolei – wyobrażam ich sobie. Dźwięk ich głosów, małe rączki, specyficzną woń, gdy przychodzą do domu, pachną wtedy ziemią, słońcem i dobrocią. Staram się sobie wmówić, że będą bezpieczne – chronione – jeśli nie przestanę o nich myśleć.

Jednak wyobraźnia czasem bywa złośliwa. Przypominam sobie wszystkie okropne rzeczy, które widziałem, o których czytałem i słyszałem od klientów i kolegów. Zastanawiam się, czy dzieci wołają właśnie Chelsea albo swoich rodziców. Czy chowają się pod kocami, płaczą w poduszki, ponieważ wokół są sami obcy ludzie i nie mają pojęcia, czego się spodziewać.

To najdłuższa noc w całym moim życiu.





Rano ostrożnie wstaję z łóżka i idę do kuchni. Włączam ekspres do kawy, wypuszczam psa do ogrodu, po czym napełniam jedzeniem jego miskę. Kuzyn Coś przygląda się jej smutno, ale nie je, tylko z ciężkim westchnieniem zwija się w kłębek na fotelu. Głaszczę go po głowie.

– Wiem, jak się czujesz, kolego.

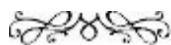
Zanoszę kawę Chelsea, stawiam kubek na szafce nocnej, po czym siadam na łóżku. Kiedy kładę rękę na jej biodrze, Chelsea otwiera oczy i gwałtownie wciąga powietrze, jakby została wyrwana z koszmaru. Rozgląda się i smutnieje, gdy uświadamia sobie, że koszmar jest rzeczywistością. Opada z powrotem na poduszkę, przyglądając mi się.

– Dziękuję za wczorajszą noc. Za to, że ze mną zostałeś.

– Nie ma za co. – Zakładam jej kosmyk włosów za ucho. – Muszę iść do kancelarii, przygotować się do poniedziałkowego przesłuchania.

– Dobrze. Dziękuję – mówi z bólem. Otacza nas nienaturalna cisza. – Mogę iść z tobą?

– Oczywiście.



Gdy Chelsea się ubiera, dzwonię do Sofii i Stanton, a później do Brenta. Wprowadzam ich w wydarzenia wczorajszego dnia, po czym proszę o spotkanie w kancelarii. Sprawy w sądzie rodzinnym są nieco inne, więc będę musiał zaznajomić się z przepisami, jednak przesłuchanie nie powinno się zbyt różnić od procesu karnego. Będę potrzebował dowodów i podstaw prawnych, żeby wykazać, że dzieci powinny zostać z Chelsea, a stanowisko opieki społecznej jest dla nich krzywdzące.

Chelsea wchodzi do pokoju z kawą w dłoni. Ma na sobie jeansy i flanelową, czerwoną koszulę. W promieniach słońca wpadających przez okno jej ściągnięte w kucyk włosy mienią się czerwienią i złotem.

Wygląda lepiej, ale... nie do końca dobrze, jak posklejana chińska porcelana, która przy najmniejszym drgnięciu może się na powrót roztrzaskać.

Po drodze do mojego mieszkania zatrzymujemy się po drożdżówki. Przebieram się szybko, po czym jedziemy do kancelarii. Praca w soboty nie jest niczym niezwykłym, więc po budynku kręci się kilku prawników w nieformalnych strojach. Prowadzę Chelsea do swojego gabinetu, gdzie czekają już na nas Sofia, Stanton i Brent. Witają się, ściskając Chelsea i klepiąc mnie po plecach, po czym zajmujemy miejsca wokół mojego biurka.

– Mają, kurwa, wszystko – klnę, przerzucając raport z opieki społecznej dołączony do nakazu sądu. Na papierze nie wygląda to zbyt dobrze. – Aresztowanie Rory'ego i jego złamana ręka, zatrzymanie Riley na imprezie, problemy Raymonda z Jeremym Sheridanem w szkole. Wspomnieli nawet o zaginięciu Rosaleen. Założyli w domu pluskwy?

– Prawdopodobnie rozmawiali z sąsiadami – podsuwa Sofia. – Z rodzicami znanych dzieci. Chelsea, raport wspomina o problemach Regan z mową, według opieki społecznej nie zgłosiłaś im tego.

Chelsea kręci głową.

– Nie jest opóźniona, wszystkie dzieci dość późno zaczynały mówić. Rachel z początku się martwiła, ale pediatra nieustannie powtarzał, że to zupełnie normalne.

Mówię do Sofii:

– Potrzebne nam zaświadczenie od tego pediatry. I od terapeuty Rory’ego. I od ich nauczycieli, to bystre dzieciaki, dobrze radzą sobie w szkole. Będzie to działać na naszą korzyść.

Stanton kiwa głową.

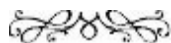
– Poszukam czegoś na temat Dextera Smeeda i całego tego ośrodka. Sprawdzę, jakie są ich ostatnie osiągnięcia.

Dzielimy się zadaniami. Zanim Brent idzie pomóc Sofii z zaświadczeniami, wskazuje Chelsea wygodną skórzaną kanapę tuż przy oknie. Przynosi jej kubek ciepłej herbaty, wyjmuje też piersiówkę z grawerowanym monogramem i dolewa jej trochę alkoholu do napoju.

– Kapka z rana nie zaszkodzi. Pobudzi cię trochę.

– Dziękuję, Brent.

– O nic się nie martw. Myśleli, że trafili na jakieś płotki, ale Jake to prawdziwy rekin.



Kilka godzin później jestem w firmowej bibliotece, szukam kilku ksiąg na długich, pełnych regałach. Czuję, że Stanton wyciągając coś dla siebie, bacznie mi się przygląda.

– Jak się trzymasz?

– A jak myślisz? – odpowiadam, nie zaszczycając go spojrzeniem.

– Myślę, że wewnątrz cię skręca. Nie możesz zdecydować, kogo najpierw zabić. Ja czułbym się właśnie tak, gdyby chodziło o Presley. – Milknie, czekając na odpowiedź. Wyciągam książkę i przerzucam strony. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem, Jake. Czegokolwiek będziesz potrzebował, wal jak w dym.

Zamykam książkę z hukiem i patrzę na niego wilkiem – nie dlatego, że coś mi zrobił, ale tylko ze względu na to, że tu stoi.

– Dom jest dla dzieci fortecą, chroni przed potworami lub czymkolwiek, czego boją się teraz młodzi ludzie. – Zaciskam usta. – A oni przyszli i wyrwali je z ich własnego domu, Stanton. Wiesz, jak to wpływa na dziecko?

Przytakuje.

– Tak, wiem.

Nie chcę o tym rozmawiać. Po prostu... nie mogę... tego teraz robić.

– Chcesz poprawić mi humor? – Szturcham go książką w pierś. – Znajdź mi coś, z czym będę mógł pójść tam w poniedziałek i przyszpilić tego sukinsyna.



Mijają kolejne godziny, siedzę przy biurku, pracując nad odpowiedzią dla opieki społecznej w sprawie odebrania dzieci. Chelsea siedzi blisko mnie, zwinięta niczym kociak i mi się przygląda.

– Co to jest? – pyta, wskazując na wielką księgę otwartą na moim biurku.

– To ustawy. Prawo dotyczące opieki nad nieletnimi.

Opiera głowę na dłoni.

– Dlaczego są napisane w ten sposób?

– Cóż, najbardziej oczywistą odpowiedzią jest to, żeby nie było miejsca na interpretację. Aby nikt nie mógł się spierać, że dany przepis znaczy co innego, niż zakładał ustawodawca. Jednak osobiście uważam, że zostały tak napisane, żeby prawnicy mogli zbijać grubą kasę, mówiąc wszystkim, co to tak naprawdę oznacza.

Moja odpowiedź wywołuje u niej słaby uśmiech.

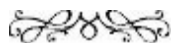
– A to co? – Wskazuje kolejną książkę.

– Wcześniejsze orzecznictwo. Są tu spisane decyzje sędziów, którzy rozstrzygali w sprawach podobnych do twojej. Podpieram się tym w argumentacji. Sędziowie nie lubią się wychylać, idą z tłumem.

Ponownie się uśmiecha, mrugając wolno, całkowicie wykończona. Odsuwam jej włosy z twarzy.

– Zamknij oczy, Chelsea. Odpocznij.

Nie kłóci się ze mną.



Jest już ciemno, gdy wsiamam z Chelsea do samochodu. Zabrałem ze sobą część dokumentów – materiały, nad którymi zamierzam później popracować – jednak wydaje się, że Chelsea ma dosyć. Nie mogła znieść ani minuty dłużej w moim gabinecie. To kontrast w stosunku do jej wcześniejszego wyczerpania, które teraz odeszło w niepamięć. Bije od niej niewykorzystana energia. Desperacja.

Stuka stopą o podłogę samochodu.

– Moglibyśmy wpaść po psa i zostać dziś u ciebie?

Nie muszę pytać dlaczego o to prosi. Bez dzieci dom przypomina grobowiec.

– Jasne.

Kiwa głową.

– Hej, zatrzymaj się. – Wskazuje sklep monopolowy przed nami, jego zielony neon błyszczący w mroku. Staję przy chodniku, a Chelsea wysiada. Wraca chwilę później, trzymając wielką papierową torbę. Gdy przyjeżdżamy pod jej dom, zostaje w samochodzie, podczas gdy ja zabieram Kuzyna Coś i jedziemy do mnie.

Chelsea zostawia psa na podłodze w salonie i idzie prosto do kuchni. Stoję w drzwiach, przyglądając się jej, gdy wyciąga z szafki dwa kieliszki i nalewa do obydwu wódki, wyjętej z papierowej torby. Jej ruchy są szybkie i ostre. Wychyla pierwszy kieliszek niczym zawodowiec, po czym chwyta za drugi. Oddycha ciężko po wypiciu tego, po czym skupia na mnie wzrok.

Uzupełnia kieliszki, bierze jeden i podchodzi do mnie. Nieco przeźroczyściego płynu wylewa się na podłogę. Ma poważną minę, te krystaliczne oczy świecą niemal drapieźnym światłem. Niech mnie szlag, jeśli mój fiut nie odpowiada na bijącą z nich energię. Biorę kieliszek i nie odwracając od jej spojrzenia, przełykam pałący alkohol.

Chelsea oblizuje usta i odsuwa się o krok. Powoli rozpina koszulę... to wyzwanie. Wkrótce koszula ląduje na podłodze, jeansy idą w jej ślady.

– Nie potrafię przestać myśleć. – Jej zazwyczaj słodki głosik jest niższy, ostrzejszy, ochryply. – Nie potrafię się wyłączyć, wiesz? – Jej spojrzenie ląduje na kieliszku, który sobie naląła, jednak jeszcze go nie podnosi. – Wariuję przez to. Nie chcę myśleć o tym wszystkim. – Spogląda na mnie przez długie rzęsy. – Myślisz, że mógłbyś mi w tym pomóc?

Poruszam się szybko, zaskakuję ją. Chwytam ją za kark. To mocny uścisk. Przyciągam ją, aż przylega do mnie, naga. Biorę kieliszek.

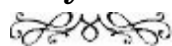
– Otwórz.

Chelsea rozchyła usta, więc wlewam w nie alkohol. Gdy przełyka, całuję ją mocno, smakując wódkę i jej ból.

Gdy się odsuwam, dyszy. Drugą ręką przesuwam po jej brzuchu i obejmuję pierś. Jej sutek twardnieje pod moimi palcami.

– Tak, wiem, jak ci pomóc – mówię.

Przez resztę nocy nie mamy czasu na myślenie.



W niedzielny poranek Chelsea budzi się przede mną. Słyszę, jak porusza się po pokoju, szukając ubrania, po czym zakłada rzeczy i bierze psa na spacer. Wraca, siada na skraju łóżka, czekając, żebym otworzył oczy. Kiedy to robię, zauważam, że w jej twarzy jest więcej życia. Więcej... determinacji. Ucisk, który czuję w żołądku od dwóch dni nieco łagodnieje.

– Chciałabym iść dzisiaj do kościoła. – Jeden kącik jej ust unosi się nieco. – Rachel i Robbie zabierali do niego dzieci co tydzień, jednak ja się na to jeszcze nie zdecydowałam. Zebranie ich wszystkich w eleganckich strojach i wyjście jest wręcz niemożliwe. – Milknie, prawdopodobnie wyobrażając sobie dzieci i ten cudowny kłopot. – Ale chciałabym tam dzisiaj pójść. Dołączysz do mnie?

Jestem cyniczny w temacie religii. Poza pogrzebami, ślubami i tymi kilkoma mszami, na które zabrała mnie mama, gdy byłem dzieckiem, nie chodzę do kościoła. Jestem zaskoczony, słysząc własne słowa:

– Tak, pójdę z tobą.

Zawozimy Kuzyna Coś do domu Chelsea, gdzie kobieta przebiera się w żółtą sukienkę z krótkim rękawem i dopasowane do niej szpilki. Na mszy zachowuję się tak, jak inni, klękam i wstaję, ale głównie wpatruję się w Chelsea. Obserwuję sposób, w jaki dotyka usta dłońmi, gdy modli się z pochyloną głową. Ma spokój wypisany na jej twarzy, kiedy ksiądz udziela końcowego błogosławieństwa.

Stoimy przed samochodem na kościelnym parkingu.

– Nie wiem, co ze sobą zrobić. – Chelsea śmieje się bez humoru. – Wydaje się, że powinnam mieć dość ostatnich trzech miesięcy, a teraz, gdy... Nie chcę tego. – Spogląda na mnie. – Masz zajęcie na niedzielne popołudnia, prawda?

Zauważyła, że znikalem co tydzień, jednak nigdy mnie o to nie pytała. Zastanawiam się, czy czeka, aż sam postanowię jej o sobie opowiedzieć.

– Tak.

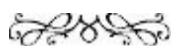
Przytakuje, a kiedy milczy, wyraźnie zasmucona perspektywą samotnego popołudnia, mówię:

– Chcesz jechać ze mną?

Natychmiast unosi głowę.

– Tylko... tylko jeśli ty tego chcesz.

– Chciałbym, żebyś kogoś poznała.



Trzymam Chelsea za rękę, gdy przemierzamy korytarze domu spokojnej starości Brookside. Zastajemy Mariettę wychodzącą właśnie od Sędziego.

– Cześć, Jake – wita mnie z szerokim uśmiechem.

– Hej, Marietto. Jak on się dzisiaj miewa?

– Och, mój drogi, ma dziś naprawdę dobry dzień.

Wzdycham z wielką ulgą. Nie chciałbym pogłębiać smutku Chelsea – kiepski dzień Sędziego nie jest przyjemnym widokiem.

Kiwam głową i wchodzę do pokoju, ciągnąc za sobą Chelsea.

Sędzia czyta książkę, siedząc w swoim skórzanym fotelu przy oknie, ubrany w ciemnoniebieski sweter i brązowe spodnie, na nogach ma brzydkie, brązowe mokasyny.

– Dzień dobry.

Jego twarz jest pogodna, oczy ukazują jasność umysłu i pewność siebie.

– Jake! – zamyka książkę, wstaje i porywa mnie w mocny uścisk. – Dobrze cię widzieć, synu. Jak się miewasz?

– Dobrze, Sędzio.

Zauważa Chelsea i posyła mi pełen zmarszczek uśmiech.

– Właśnie widzę dlaczego. – Podaje Chelsea dłoń. – Witaj, skarbie. Atticus Faulkner.

Chelsea ściska jego dłoń, uśmiechając się przy tym szeroko.

– Chelsea McQuaid... Miło pana poznać. Jake wiele mi o panu opowiadał.

– Jestem pewny, że nakłamał. – Puszczą do mnie oko. – Siadajcie, siadajcie. Należę wam herbaty, Marietta właśnie przyniosła cały dzbanek.

Kiedy zajmujemy miejsca z filiżankami w dłoniach, Sędzia zwraca się do Chelsea:

– Jesteś piękna, skarbie.

Chelsea uroczo się rumieni.

– Dziękuję.

– Ale muszę z góry przeprosić, Chelsea, gdybym powiedział albo zrobił coś, co cię zawstydzi. Czasami... zapominam o pewnych rzeczach... ostatnio coraz częściej mi się

to zdarza.

Chelsea się uśmiecha – jest piękniejsza niż którykolwiek ze świętych na kościelnych witrażach.

– Proszę się nie martwić. Jeśli cokolwiek uleci panu z pamięci, będziemy tutaj, żeby panu przypomnieć.

Nie potrafię wymyślić, dlaczego jej skrzynka pocztowa nie jest codziennie zapchana kartkami, prezentami i kwiatami, ponieważ, gdy obserwuję ją przy Sędzi, nie wiem, jak ktokolwiek, kto ją zna, mógłby nie być w niej, beznadziejnie zakochany.



Wieczorem wracamy do domu Chelsea... bierzemy razem kąpiel w wielkiej wannie. Chelsea siedzi przede mną, opiera się plecami o moją pierś, włosy ma upięte, ale wilgotne kosmyki zwisające na jej szyi łaskoczą mnie w twarz. Od dłuższej chwili jest milcząca – ciszę w łazience zakłóca jedynie odgłos wody falującej przy ściankach.

– Co się stanie, jeśli jutro przegramy?

Zatrzymuję usta na jej ramieniu.

– Nie przegramy.

– Ale jeśli tak się stanie? Jeśli... – Łamie jej się głos. – Czy pozwolą mi ich zobaczyć? Będę miała możliwość wizyt?

Obraca się, żeby spojrzeć mi w twarz, więc ostrożnie dobieram słowa:

– Znam ludzi... którzy mogą znaleźć dzieci. Znam też takich, którzy robią dokumenty, paszporty i inne. Dobre. – Muskam palcem jej policzek. – Zatem... jeśli przegramy, poszukam kontaktu z tymi ludźmi. Wyjmiesz tyle pieniędzy, ile tylko zdołasz ... i wyjedziecie.

– Na przykład... do Meksyku?

Śmieję się.

– Nie. Twoja kremowa skóra spaliłaby się pod wpływem piekącego żaru. Może do... Kanady? Zastanawiam się, czy Regan szybciej zaczęłaby mówić po francusku.

Chelsea patrzy na mnie, w jej oczach widzę cień. Głębiej.

– Zrobiłbyś to dla nas?

Dotykam jej miękkiego policzka.

– Nie ma nic, czego nie zrobiłbym dla was.

Cholernie mnie to przeraża.

Woda wylewa się ponad krawędzie wanny, gdy Chelsea siada na mnie okrakiem. Całujemy się przez dłuższą chwilę, po czym wkłada ręce do wody i przesuwa palcami w górę i w dół mojego członka, choć i tak jest już twardy i gorący. Chelsea unosi się i powoli osuwa się na mnie. Obejmuję ją, przyciągając bliżej, coraz bliżej. Całuję jej piersi, językiem drażnię sutki. Unosi biodra, po czym je opuszcza. Poruszam się, dopasowując się do równego, niespiesznego tempa.

Czuję jej skurcze i słyszę jęk, gdy z ochryplym chrząknięciem wylewam się w jej wnętrzu i wiem, że to coś więcej. Coś poważnego. Niepodobne do niczego, co czułem wcześniej i czego nie mógłbym osiągnąć z nikim innym.



Chelsea opiera głowę na moim ramieniu, aż stygnie nam woda. W końcu wychodzimy z wanny, wycieramy się i przytuleni zasypiamy w jej łóżku.





Następnego ranka, punkt dziesiąta wchodzimy do sądu rodzinnego dystryktu Columbia. Zajmujemy miejsce za wyznaczonym stołem. Sofia, Stanton i Brent siedzą w pierwszym rzędzie za nami. Chelsea się denerwuje, ale jest opanowana. Ja? Jestem gotowy, żeby wygrać tę sprawę. Zawsze czuję się głodny zwycięstwa. Nie denerwuję się – chcę, żeby przesłuchanie już się rozpoczęło.

Adwokatka reprezentująca opiekę społeczną zajmuje miejsce po drugiej stronie przejścia, po mojej lewej. Wygląda spódnice staromodnej, czarnej garsonki. Jest ruda, gdzieś po czterdziestce, wygląda na równie pewną siebie, jak ja się czuję.

Strażnik zawiadamia o rozpoczęciu przesłuchania i prosi o powstanie, ponieważ wchodzi sędzina – siwa kobieta w okularach, z koronkowym kołnierzykiem przy szyi. Przechodzi do formalności – kto reprezentuje kogo – po czym prosi mnie, żebym zaczynał.

– Wysoki sędzie, chciałbym powołać na świadka dyrektora ośrodka pomocy społecznej, Dextera Smeeda.

Dexter Smeed wygląda dokładnie tak, jak można byłoby sobie wyobrazić osobę o tym nazwisku. Ma okrągłe okulary, przerzedzone włosy, wykrochmaloną białą koszulę, brązową tweedową marynarkę i jasnozieloną muszkę. Składa przysięgę, po czym siada na miejscu dla świadka.

– Panie Smeed, czy wcześniej poznał pan osobiście Chelsea McQuaid?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek się pan z nią spotkał, bądź odwiedził pan jej dom?

– Nie.

– Czy wysłał pan jej choć e-mail?

Smeed chrząka.

– Nie.

Kiwam głową i kontynuuję:

– Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z którymkolwiek dzieckiem państwa McQuaid?

– Nie.

Wychodzę zza stołu i opieram się o jego blat.

– A mimo to podważa pan oświadczenie pana pracownicy, Janet Morrison, która widywała się, odwiedzała i rozmawiała z panną McQuaid i dziećmi, twierdzące, że przeniesienie do rodziny zastępczej nie jest konieczne?

– Tak.

– Skąd to przekonanie, panie Smeed?

– Okresowo przeglądam wszystkie akta w moim ośrodku. Dokumenty zawierały wszystkie potrzebne informacje. W swojej pracy muszę być krytyczny. Zdecydować, kto jest odpowiednim opiekunem – spogląda przez dłuższą chwilę na Chelsea – a kto nim nie jest.

Gnój. Ten skurwiel jest padliną, której nawet pies nie dotknie.

Przesuwam się w prawo, zasłaniając Chelsea.

– Pana żona ma szczęście. – Kręcę głową. – Ma pan jaja...

– Wysoki sędzie! – Adwokatka ośrodka podrywa się z miejsca.

Sędzina pochyła głowę i piorunuje mnie wzrokiem.

– Ten komentarz będzie kosztował pana pięćset dolarów, panie Becker. Albo będzie się pan przyzwocioie zachowywał w moim sądzie, albo pana klientka poszuka sobie nowego pełnomocnika. Nie będzie kolejnego ostrzeżenia, jasne?

Większość sędziów nie ma poczucia humoru.

– Jak słońce. Przepraszam.

Ponownie przyglądam się Smeedowi.

– Później do tego wrócimy. W tej chwili proszę powiedzieć, czy mówi coś panu nazwisko Carrie Morgan?

Przez chwilę się zastanawia, po czym kręci głową.

– Nie.

Biorę ze stołu teczkę i przeglądam jej zawartość.

– Trzy lata temu, Carrie, lat siedem, została zabrana przez opiekę społeczną, ponieważ jej matka została skazana za handel narkotykami. Dziewczynka została przekazana rodzinie zastępczej oraz został ustanowiony nadzór ośrodka. Pół roku później już nie żyła. Zmarła w wyniku tępego urazu głowy. Sekcja zwłok wykazała, że dziecko padło ofiarą przemocy domowej. – Wbijam w niego lodowate spojrzenie. –

Dzwoni panu jakiś dzwonek?

– Nie znam szczegółów tamtej sprawy, więc nie.

– Hmm. Dobrze. – Biorę kolejną teczkę. – A może Michael Tillings, lat czternaście?

Tę sprawę pan zna?

Smeed niespokojnie wierci się na krześle.

– Tak, znam.

– Dobrze. Panie Smeed, proszę opowiedzieć wysokiemu sądowi, co się stało Michaelowi Tillingsowi.

– Odszedł.

Broni się, wbijając pięty w ziemię, niczym ktoś spychany z urwiska, kto nie ma się czego złapać. A to ja go spycham.

– Odszedł? Bardzo delikatnie pan to ujął. Został zamordowany, nieprawdaż? Był w domu dziecka kontrolowanym przez opiekę społeczną. Został pobity przez innych jego mieszkańców, prawda?

Smeed niechętnie odpowiada:

– Tak, podejrzewamy, że były to porachunki gangów.

– Gang czy też nie, chłopak nie żyje. Był pod nadzorem opieki społecznej?

Smeed przytakuje, jego spojrzenie jest puste.

– Zgadza się.

Biorę trzecią teczkę.

– Matilda Weiss, lat cztery.

Adwokatka ośrodka wcina mi się w zdanie, jak mysz w ser:

– Co to ma w ogóle wspólnego ze sprawą Chelsea McQuaid?

– Wysoki sędzie, zaraz do tego dojdziemy.

– Proszę się streszczać, panie Becker – odpowiada sędzina.

– Proszę nam opowiedzieć o sprawie Weiss, panie Smeed, ponieważ w jej dokumentach widnieje pana podpis.

Mężczyzna ociera dłonie o spodnie, pociąga nosem i odpowiada:

– Rodzinie Weiss postawiono zarzut znęcania się nad dziećmi.

– Przeprowadził pan dochodzenie? Odwiedził pan ich dom, przesłuchał zainteresowanych?

– Tak.

– I co pan ustalił?

Milczy, jakby nie znał odpowiedzi, jednak nie ma wyboru, musi coś powiedzieć.

– Ustaliłem, że nie było wystarczających dowodów, uzasadniających podjęcie interwencji.

Palce mrowią mnie z powodu nagromadzonej energii.

– Zatem nie wszczywał pan postępowania?

– Nie.

– Co się stało dwa miesiące później?

– Sąsiadka znalazła Matildę... przetrząsając jej śmietnik. Szukając jedzenia.

– Ponieważ rodzice głodzili swoje dziecko – mówię ze skurczonym żołądkiem.

– Tak.

– Znęcali się nad nią, nawet jeśli nie znalazł pan ku temu dowodów?

Po raz pierwszy mężczyzna patrzy mi w oczy, a na jego twarzy nie tylko jest ostrość, ale również wyrzuty sumienia. Nawiedzają go duchy straconych dzieci oraz nazwiska bez twarzy.

– O co panu dokładnie chodzi, panie Becker?

Podchodzę bliżej.

– Powiedział pan, że musi być krytyczny w swojej pracy, żeby zdecydować, kto jest odpowiednim opiekunem. Chodzi mi o to, panie Smeed, że czasami zarówno pan, jak i ośrodek po prostu się mylicie.

Pozostawiam te słowa, żeby wybrzmiały.

Wracając do stolika, dodaję:

– Zgodzi się pan ze mną?

– Nie, nie zgodzę się.

– Nie? – Biorę z podłogi pudełko i stawiam na blacie. – Mam tutaj cały karton dokumentów twierdzących co innego. Możemy przerobić go w całości.

Smeed się jąka:

– Każda... sprawa jest inna. Tylko dlatego, że... pewne okoliczności mogły być pominięte... nie oznacza, że wystąpią błędy w innych postępowaniach. – Bierze wdech,

żeby się uspokoić. – Mówi pan o tych dzieciach, panie Becker, wymieniając nazwiska i wiek, ale dla pana to tylko dane. Dla mnie... mają one znaczenie.

Nie mógłby się bardziej mylić. Nie są tylko danymi w raporcie – mają twarze. Oblicza Riley, Rory'ego, Rosaleen – widziałem je wszystkie, na każdej stronie tych wstrętnych dokumentów.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie zawieść kolejnego dziecka, które trafi w nasze ręce. – Smeed stuka palcami w barierę miejsca dla świadków. – Właśnie dlatego dzieci państwa McQuaid powinny być pod naszą opieką. Czerwone flagi...

Uderzam dłonią o stół.

– Czerwone flagi, cieszę się, że pan o tym wspomniał. Porozmawiajmy o nich. – Poruszam się szybko i pewnie, chodząc przed nim. – Powiedział pan w swoim raporcie, że do decyzji o odebraniu Chelsea opieki nad dziećmi przekonała pana kombinacja różnych zdarzeń, zgadza się?

– Tak.

– Jednym z tych zdarzeń jest zatrzymanie Riley na imprezie z alkoholem.

– Tak – odpowiada i rozwija temat: – Nieletni spożywający alkohol jest oznaką braku kontroli opiekuna.

Unoszę brwi.

– Jest pan świadomy, że według statystyk, pięćdziesiąt jeden procent nastolatków miało kontakt z alkoholem już przed ukończeniem piętnastego roku życia?

– Nie umiem powiedzieć, czy to prawda, nie znam tych badań.

Ponownie przysuwam się bliżej niego.

– Jednak, gdyby założyć, że to prawda, te pięćdziesiąt jeden procent byłoby... połową, prawda?

– To nie sprawia, że to dopuszczalne...

– Nie, panie Smeed, nie sprawia. Mówi tylko, że to normalne zjawisko.

Przerzucam stronę i wiodę palcem po liniijkach.

– Następny zarzut? Złamana ręka Rory'ego?

– Tak. Poważne urazy zawsze są powodem do niepokoju.

– Nawet jeśli w zeszłym roku w Stanach Zjednoczonych siedem milionów osób złamało jakąś kość? – pytam. – Nawet jeśli dorosła osoba statystycznie łamie w życiu dwie kości? Rory jest zdrowym, aktywnym dziewięcioletkiem, więc dziwiłbym się bardziej, gdyby nigdy nic sobie nie złamał.

Mężczyzna wzdycha i przeciera oczy. Męcę go. Denerwuję.

Dobrze.

– Co jeszcze było dla pana czerwoną flagą? – pytam.

– Aresztowanie Rory'ego McQuaida, jak również fizyczna przemoc drugiego nieletniego w stosunku do szkolnego kolegi.

– Ten drugi nieletni ma na imię Raymond. Czy sprzeczka w szkole nie jest typowa dla chłopców w jego wieku?

– Tak. – Smeed poprawia okulary. – Ale gdy dodać do tego inne problemy,

wychodzi...

– Jest pan świadom, że dzieci w tragiczny sposób straciły oboje rodziców? Stało się to niespodziewanie?

– Tak, ale...

– Przyszło panu do głowy, że muszą to odreagować? Poradzić sobie z emocjonalną traumą, z którą przyszło im się zmagać?

– Jednak...

Podchodzę bliżej i w złości podnoszę głos, ponieważ on nie zadał sobie trudu, żeby porozmawiać z którymś z nich, bo wydaje mu się, że wie lepiej.

– Czy choćby przez jedną sekundę przeszło panu przez myśl, że czerwone flagi były tak liczne, ponieważ dzieci jest dużo? Perfekcyjnie normalne dzieci codziennie czegoś doświadczają – po prostu dzieciom McQuaidów przydarzyło się to w krótkim czasie.

– Nie. Pan nie wie...

– Powiem panu, co wiem – rzucam. – Wiem, że oderwał pan te dzieciaki od jedyne go pozostałego członka rodziny. Zabral pan je z domu, który znały, gdzie były chciane i kochane, a co najważniejsze, w którym były bezpieczne!

– Nie były bezpieczne! – również krzyczy, wskazując na Chelsea. – Nie jest zdolna...

– Nie wiedziałby pan do czego jest zdolna, nawet gdyby...

Sędzina uderza młotkiem, przywołując mnie do porządku.

Biorę głęboki wdech i próbuję się uspokoić.

Zwracam się do sędziny:

– Jeszcze tylko kilka pytań, wysoki sędzie.

Sędzina nie wygląda na zadowoloną.

– Proszę kontynuować.

Pytam pewnym głosem:

– Gdyby Robert i Rachel McQuaid przeżyli wypadek, a te „czerwone flagi” pojawiły się w identycznych okolicznościach, czy zaleciłby pan odebranie im dzieci?

To ważne pytanie. Ważniejsze niż statystyki, które przytaczałem, czy kontrargumenty, którymi sypałem.

– Mamy do czynienia z faktami, panie Becker. Z prawdą. Nie mam zamiaru bawić się w pańskie gdybanie – szydzi.

Jednak odzywa się sędzina:

– Właściwie ja również chciałabym poznać odpowiedź na to pytanie, panie Smeed. Jeśli opiekę nad dziećmi sprawowałiby biologiczni rodzice, czy sytuacja byłaby na tyle poważna, biorąc po uwagę posiadane przez pana informacje, że wydałby pan nakaz odebrania dzieci?

Mężczyzna mruga i przełyka ślinę. Rozgląda się i poprawia na krześle. Jednak nie jest na tyle głupi, żeby skłamać przed sądem.

– Wysoki sędzie, jeśli mam zakładać, powiedziałbym, że przy opiece dwojga osób, przy obecności biologicznych rodziców... nie, potrzeba byłoby czegoś więcej, żeby ingerować i zakładać sprawę.

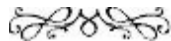
– Czy opieka społeczna interesowałaby się w ogóle ich rodziną? – pytam. – Przy złamanej ręce, bójce w szkole, nakryciu na imprezie... Czy usłyszeliby państwo w ogóle o McQuaidach?

Zwiesza głowę, ponownie się wierci, po czym mówi:

– W zasadzie to... nie.

Bingo.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.



Po przesłuchaniu Smeeda przez adwokatkę ośrodka, podczas którego potwierdzał jedynie głupoty o poważnych konsekwencjach i wytykał potencjalne zagrożenia związane z opieką Chelsea nad dziećmi, zostaje on zwolniony z miejsca dla świadka. Pod stołem ściskam kolano Chelsea, po czym wstaję i powołuję ją na świadka. Składa przysięgę i siada na wyznaczonym miejscu – wygląda na małą i nieśmiałą.

Spoglądam jej w oczy i posyłam uśmiech, następnie opieram się nonszalancko o stół.

– Denerwujesz się, Chelsea?

Spogląda na sędzinę, po czym znów na mnie.

– Troszkę.

– Niepotrzebnie. To tylko rozmowa między nami.

Kiwa głową, więc zaczynam.

– Opowiedz mi o dzieciach.

Chelsea praktycznie promienieje, opowiadając o silnej kobiecie, jaką niedługo stanie się Riley, o nadmiernej energii Rory’ego, która pewnego dnia poprowadzi go do wielkich rzeczy. Uśmiecha się, omawiając spokojny charakter Raymonda i to, że nie da się przebywać z Rosaleen i się nie śmiać. Dławi się, wspominając o Regan i o tym, czego uczy się od rodzeństwa, mówi też jakim dobrym dzieckiem jest Ronan, jak bardzo chciałaby być przy nim, gdy będzie dorastał i zmieniał się we wspaniałego młodego człowieka.

– Masz dwadzieścia sześć lat – mówię. – W Kalifornii miałaś swoje własne życie: przyjaciół, mieszkanie, studia. Odsunęłaś to wszystko na bok i przyjechałaś zaopiekować się bratankami i bratanicami. Czy kiedykolwiek rozważałaś odrzucenie opieki nad nimi? Czy myślałaś, żeby oddać ich opiece społecznej, która znalazłaby im nowe domy?

Unosi głowę.

– Nigdy. Nawet przez sekundę.

– Dlaczego? – pytam miękko.

– Ponieważ ich kocham. Są moi. Wychowanie ich jest dla mnie najważniejsze. – Z wilgotnymi oczami obraca się w stronę sędziny. – Czasami jest ciężko, wysoki sędzie... jednak nawet wtedy dają mi wiele radości. Są dla mnie wszystkim.

Kiwam głową, dając Chelsea znać, że świetnie sobie radzi. Siadam, ponieważ nadchodzi kolej adwokatki ośrodka opieki.

Kobieta wstaje.



– Panno McQuaid, co łączy panią z pani prawnikiem, panem Jakiem Beckerem?

Natychmiast podrywam się z miejsca.

– Sprzeciw, wysoki sędzie. Takie pytanie jest nie na miejscu, no chyba że moja koleżanka sugeruje, iż stanowią pewnego rodzaju zagrożenie dla dzieci państwa McQuaid.

– Zgadzam się. Proszę kontynuować.

Adwokatka próbuje tak wykręcić incydenty z udziałem dzieci, żeby działały na szkodę Chelsea, jednak nic nie może udowodnić. Nic nie wydarzyło się z jej winy, więc nie ma ją o co oskarżyć.

Po przesłuchaniu Chelsea, przedstawiam zaświadczenia od pediatry, które stwierdzają, że dzieci są zdrowe, jak również pod stałą opieką. Przedstawiam również oświadczenia Sofii, Stanton i Brenta, potwierdzające kompetencje Chelsea jako opiekuna, pokazujące, że ma wsparcie systemu. Adwokatka ośrodka przytacza poprzedni nakaz sądowy odebrania dzieci, po czym kończymy sprawę. Sędzina mówi, że musi się zastanowić i przedstawi nam wyrok najszybciej jak się da, po czym odracza rozprawę.

Po jej wyjściu, Chelsea zwraca się do mnie:

– I co teraz?

– Teraz... czekamy.





Lunch jemy w pobliżu sądu, pomimo irytujących wysiłków Brenta, Chelsea nawet nie próbuje swojego posiłku. Dwie godziny później sąd wznowia rozprawę. Mocno ściska mnie za rękę pod stołem, gdy sędzina odchrząkuje, żeby rozpocząć odczytywanie uzasadnienia wyroku.

– Jako jedno z dziewięciorga dzieci, czuję się kompetentna w orzekaniu w tej sprawie. – Spogląda na nas przez swoje okulary. – Jak mówiła panna McQuaid, wychowywanie dzieci jest trudne, szczególnie szóstki w wieku od sześciu miesięcy do czternastu lat. Jednak nieważne, czy mamy jedno dziecko, czy dziesięcioro, na sądzie wciąż ciąży obowiązek zadbania o prawidłową opiekę nad małoletnim, powierzenie jej osobie, która o niego zadba i zapewni bezpieczne środowisko do rozwoju. Po przeanalizowaniu przedstawionych dowodów wierzę, że Chelsea McQuaid jest takim właśnie opiekunem...

W duchu wiwatuję z powodu zwycięstwa, Chelsea zaczyna płakać.

– Zatem, ze skutkiem natychmiastowym, przyznaję prawną i fizyczną kuratelę nad sześcioma nieletnimi pannie Chelsea McQuaid. – Zwraca się do adwokatki zasiadającej po drugiej stronie pomieszczenia: – Opieka społeczna nie ma za zadanie jedynie wystawiać oceny dysfunkcyjności rodziny, ma również pomagać. Rolą państwa nie jest rozdzielanie rodzin, ale znalezienie sposobu, żeby mogły pozostać razem. Opieka społeczna przedstawi sądowi comiesięczne raporty, opisujące rodzinę McQuaid, abyśmy mieli pewność, że instytucja ta wykaże najwyższą troskę i pomoc w każdym możliwym aspekcie dotyczącym tej sprawy. – Z uśmiechem zwraca uwagę na Chelsea. – Powodzenia, panno McQuaid. Sąd zamyka rozprawę.

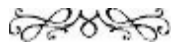
Brent, Sofia i Stanton uśmiechają się do nas. Chelsea porywa mnie w objęcia, po czym patrzy mi w oczy.

– Możemy po nie jechać?

– Tak, możemy.

– Teraz?

– Teraz – odpowiadam ze śmiechem.



Jedziemy po furgonetkę brata Chelsea, po czym, zgodnie z informacjami od Janet, zmierzamy jakąś godzinę na północ miasta, żeby odebrać te małe potworki. Chelsea uśmiecha się przez całą drogę i nawija jak nakrecona, wygląda na wniebowziętą. Janet poinformowała rodzinę zastępczą o naszym przyjeździe, żeby nie byli zaskoczeni, gdy staniemy na progu ich domu. To przyjemny dom – wielki, mieszczący się w spokojnej okolicy. Ładna blondynka, która nam otworzyła, informuje Chelsea, że dzieci są z tyłu. Przeprowadza nas przez dom na podwórze, po czym można byłoby pomyśleć, że dzieci nie widziały Chelsea przez dwa lata, a nie przez dwa dni.

Wybucho radość. Maluchy biegną do niej. Piszczą i krzyczą na jej widok. Ściskają ją

długo, jakby już nigdy nie chciały puścić.

– Jesteś! – krzyczy Rosaleen, podczas gdy ciotka próbuje uściskać ich wszystkich jednocześnie. – Wiedziałam, że przyjedziesz, wiedziałam!

– Możemy wrócić do domu? – pyta Rory.

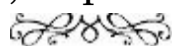
– Tak, wracamy do siebie.

Kiedy Regan traci równowagę w masie tulących się ciał i upada na pupę na trawę, biorę ją na rękę. Przez chwilę trzymam ją wysoko, po czym układam ją sobie przy piersi. Mała kładzie maleńkie dłonie na moich policzkach, wpatruje mi się głęboko w oczy i piskliwym głosem wypowiada swoje trzecie słowo:

– Jake!

Cały świat mi się rozmazuje.

– Kurczę, dzieciaku, ty zawsze wiesz, co powiedzieć.



Około czwartej po południu docieramy do domu i pomagamy dzieciakom przy rozpakowaniu. Wszyscy są tak podekscytowani powrotem, że wpadają na pomysł, żeby urządzić imprezę.

Na którą Chelsea się zgadza.

Istnieje wielka szansa, że już nigdy niczego im nie odmówi.

Kilka godzin później mamy pizzę, napoje gazowane, serpentyny i balony. Przyjeżdżają Sofia, Stanton i Brent oraz Janet, wpadają sąsiedzi i przyjaciele dzieci z rodzicami. Spędzam czas w cieniu, przyglądając się temu, oparty o ścianę.

Dystansuję się od wszystkiego. Popijam oranżadę, żałując, że nie mogę domieszać do niej alkoholu, który leży gdzieś na dnie zamrażarki.

Jest już ciemno, gdy postanawiam wyjść na tylny taras. Wokół kwitną fioletowe i białe hiacynty, ich ciężka woń sprawia, że mam silne mdłości. Z wnętrza domu dochodzą odgłosy – muzyka i przenikliwe dziecięce piski, głęboki śmiech Stanton'a oraz szum rozmów dorosłych.

Mimo że na zewnątrz jest chłodno, zaczynam się pocić.

Przypominam sobie wczorajsze kazanie, gdy byliśmy z Chelsea w kościele. Było o Jezusie w Ogrójcu, modlącym się o ułaskawienie, które nigdy nie nadeszło.

Chrystus mimo wszystko został skazany.

To teraz dla mnie dość ironiczne.

– Zerwiesz z nią, prawda?

Spoglądam w kierunku nieoświetlonego rogu ogrodu, gdzie stoi Riley.

Wydaje się wkurzona.

– Widzę, co robisz, jak się odsuwasz. To, jak unikasz jej cały wieczór. Zachowujesz się, jak chłopaki w mojej szkole zaraz przed rzuceniem dziewczyny na oczach całej stołówki. – Jej gniew ustępuje miejsca bólowi. – Jak możesz? Ciocia Chelsea jest najlepsza na świecie. Ona cię kocha.

– Riley...

– Kocha cię! To oczywiste. Jest z tobą taka szczęśliwa. Dlaczego chcesz jej to

odebrać?

Pocieram kark. Występowałem przed sędziami z wieloletnim doświadczeniem. Prawdziwie wielkimi głowami sądownictwa – od niektórych uczyłem się nawet na studiach. I byłem spokojny, i opanowany.

A teraz nie potrafię zachować zimnej krwi, tłumacząc się przed czternastolatką.

– Riley... to... skomplikowane. Staram się... Nie możesz... – Rzucam najstarszy i najbardziej niezawodny wykręt świata: – Zrozumiesz, jak dorośniesz.

*Jakie to cholernie żałosne.*

Dziewczyna wydaje z siebie dźwięk zdegustowania, następnie rozrywa mnie na kawałki.

– To pierwszy raz, kiedy zwróciłeś się do mnie, jak do jakiegoś niedorozwiniętego dzieciaka. Prawda jest jednak taka, że to ty tu jesteś głupi! – Riley w milczeniu kręci głową. – Nie zasługujesz na nią. Na nas też nie zasługujesz. – Przechodzi pospiesznie obok mnie, a jej brązowe włosy podskakują. – Jesteś dupkiem!

Otwiera drzwi tarasowe i znika w domu.

Mówię cicho do siebie:

– Tak, wiem.

Zanim drzwi się za nią zamykają, na taras wchodzi Chelsea.

– Tutaj jesteś. Riley nie wyglądała na zadowoloną. – Obejmuje mnie za szyję i się przysuwa. – Nastoletnie dramaty? – Jej idealne usta znajdują się coraz bliżej. – Myślałam, że będziemy mieć chociaż kilka dni spokoju.

Odsuwam się, chwytam ją za przedramiona i powoli odciągam od siebie jej rękę. Mój głos jest jedynie szeptem:

– Chelsea... nie możemy.

Z początku jest zdezorientowana, choć wciąż się uśmiecha, jednak ta wesołość zaczyna znikać, gdy Chelsea pojmuje znaczenie moich słów. Obejmuje się rękami.

– Myślałam, że coś nas łączy. Myślałam, że dobrze nam razem.

Tak, jednak dla mnie to za dużo. Za szybko, za intensywnie, za... bardzo rozpraszająco. Wczoraj mówiłem poważnie, nie ma rzeczy, której nie zrobiłbym dla niej. Dla nich.

– Zależy mi na tobie, Chelsea. – Wskazuję na dom. – Bardzo zależy mi też na nich, jednak to odpowiedzialność, której nigdy nie miałem w planach. Moim życiowym wzorem był pijak bijący żonę, następnie został nim kobieciarz pracoholik, poślubiony sądowi. Nie potrafię.

W karierze wiele razy podejmowałem ryzyko. Im było większe, tym wyższa była nagroda, ale... ich nie mogę tak potraktować. Są zbyt cenni i zbyt wartościowi. Przeraza mnie sama możliwość, że mogę coś spieprzyć, skrzywdzić ich, ponieważ nie wiem, co robić.

Zwilżam językiem usta, nie patrząc na nią.

– Teraz, kiedy wiem, że dzieciaki są bezpieczne i tobie też nic nie zagraża, muszę się wycofać.

Od samego początku tak właśnie miało być. Dziś, za miesiąc, czy pół roku – i nigdy nie skończyłoby się to dla niej dobrze. Już dawno powinienem był odejść.

Ale była taka... idealna.

A ja byłem pieprzonym samolubnym kretynem.

Chelsea bierze głęboki wdech, po czym powoli wypuszcza powietrze, jak zawsze, kiedy próbuje uspokoić swoje serce. Nienawidzę, że o tym wiem. Nie znoszę tego, że wiem już, co myśli i co zaraz powie.

– Jake, wiem, że to przerażające. Ja również się boję, ale czasami sprawy warte są tego strachu. Razem moglibyśmy...

*Rób dobrze albo sobie daruj.*

Zmuszam się, żeby spojrzeć w te niesamowicie niebieskie oczy i kłamię jak z nut:

– Nie chcę tego, Chelsea.

Wypuszcza powietrze, jakby ktoś je z niej wycisnął.

– Nie chcę takiego życia. Mogę się przyjaźnić z tobą, z nimi, ale to, co jest między nami, czymkolwiek jest, musi się teraz skończyć. – Przeczesałem włosy palcami, ciągnąc się za nie mocno, żeby ból pomógł mi się skupić. Wytrwać. – Jesteś wspaniałą kobietą, która pewnego dnia będzie chciała wyjść za mąż. Powinnaś sobie znaleźć właściwego faceta. Ja nim nie jestem. Czas, który spędzilibyśmy ze sobą... byłby jedynie marnotrawstwem.

Jej głos jest oschły, ledwie słyszalny:

– Rozumiem.

Słyszę w nim łzy. Nie spojrzę – nie mogę, jednak praktycznie czuję, jak powoli spływają jej po twarzy.

Odchrząkuje.

– Chłopcy cię ubóstwiają, Jake. Wszystkie dzieci, tak naprawdę. Proszę, nie...

– Nie porzucę ich – przyrzekam. – Nie odsunę się od nich, ani od ciebie. Nadal chcę pomagać. – Podnoszę głos i mówię coraz szybciej: – Czegokolwiek chciałabyś. Zawiozę na treningi, przyjdę na mecze, popilnuję albo po prostu przyjadę się z nimi pobawić. Nie zostawię cię samej, Chelsea.

W końcu zbieram się na odwagę, żeby spojrzeć jej w twarz.

Jednak nie powinienem był tego robić.

Jest blada jak ściana, rzęsy błyszczą jej wilgocią. Z kącika oka na jej porcelanowy policzek spływa łza, pozostawiając po sobie srebrzysty szlak.

– Przepraszam.

Naprawdę jest mi bardzo przykro.

Chelsea unosi głowę, prostuje plecy, zbierając się na odwagę – sięga po swoją siłę. Ociera łzy.

– Rozumiem, Jake. Dziękuję... – Przełyka ślinę. – ...za szczerość. – Jej głos staje się jeszcze bardziej miękki. – Nam też na tobie zależy. Bardzo. Jeśli pragniesz jedynie przyjaźni, pozostaniemy przyjaciółmi.

Krzywię się i kulę, słysząc te słowa z jej ust.

Jednak akceptuję je w milczeniu, kiwając jedynie głową.

Chelsea podchodzi do drzwi, a każda komórka mojego jestestwa krzyczy, żebym ją zatrzymał. Złapał za rękę, obrócił i pocałował, aż odzyskałaby uśmiech. Abym padł na kolana i błagał o wybaczenie. Abym wymazał ostatnie pięć minut.

Jednak próbuję postąpić słusznie, nawet jeśli to trudniejsze, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem.

Kiedy Chelsea odchodzi, zamykam oczy i zmuszam się do zachowania spokoju... żeby jej na to pozwolić.







Dni zamieniają się w tygodnie. Podtrzymuję zobowiązania wobec dzieci. Czasami przyjeżdżam równo ze szkolnym autobusem oraz na lekcje gry na fortepianie Rosaleen. Czasami zabieram Regan i Ronana na zajęcia do przedszkola, kibicuję Rory'emu w małej lidze, dopingując go głośniejszym niż każdy inny ojciec. Stosunki między Chelsea i mną są... poprawne. Jesteśmy dla siebie uprzejmi. Niemal żałuję, że mnie ani nie skrzyczyła, ani nie zwyzywała, ani nie uderzyła. Byłoby to lepsze niż bezosobowe, uważnie wazone wypowiedzi, które wymieniamy. Zwraca się do mnie w ten sam sposób, w który robi to Sędzia w te dni, gdy nie ma zielonego pojęcia kim, u diabła, jestem.

Jakbym był kimś obcym.

Dwa tygodnie po przesłuchaniu w sądzie rodzinnym, do mojego gabinetu wpada Brent.

– Stary, dzisiaj wieczorem, ja, Lucy Patterson, jej koleżanka i ty, idziemy po pracy wrzucić coś na ząb.

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł – odpowiadam, nie kłopotząc się, żeby spojrzeć na niego znad laptopa.

– I właśnie na tym polega twój problem, Jake. Za dużo myślisz. Czas wskoczyć na konia, harcerzyku. – Bawi się długopisem zabranym z mojego biurka. – Zabrałem Lucy kilka razy na miasto, fajnie się dogadujemy. Mówi, że jej koleżanka cię polubiła i się o ciebie dopytuje.

Pocieram oczy.

– Jak miała na imię ta jej koleżanka?

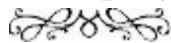
Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, ale to nieważne, i tak idziesz. Nie przyjmuję odmowy.

Kiedy coś sobie ubzdura, Brent potrafi przycisnąć, jak szczęki psa Sofii – nie puści i już. Zatem, ponieważ chcę już wrócić do pracy, poddaję się.

– Dobra.

– Super. – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Spotykamy się z nimi o szóstej.



Kolacja z Brentem, Lucy i jej koleżanką o jędrnym tyłku, której imienia wciąż nie pamiętam, przebiega normalnie. Spokojnie. Nudno. Spotykamy się w barze, jemy kanapki, przenosimy się do drugiej sali, żeby pograć w bilard. Koleżanka flirtuje ze mną, próbuje namówić mnie, żebym nauczył ją jak trzymać kij, jednak w ogóle mnie to nie kręci. Staram się nie wyjść na gbura.

Po czasie ciągnącym się w nieskończoność, choć były to zaledwie dwie godziny, postanawiamy zakończyć wieczór. We czwórkę wychodzimy z baru.

Obracam głowę w prawo i nagle wpatruję się w porażające, krystalicznie niebieskie oczy.

– Jake! – mówi Chelsea, podobnie zaskoczona.

– Chelsea... cześć.

Dzieciaki otaczają ją ze wszystkich stron. Raymond pcha wózek z Ronanem po lewej, a Riley trzyma Rosaleen za rękę po prawej, Regan znajduje się na rękach Chelsea.

– Jake! – krzyczy Regan, wykorzystując nowe ulubione słowo.

– Cześć, mała.

Mina Chelsea się zmienia, zaskoczenie na jej twarzy przeradza się w zakłopotanie, gdy jej spojrzenie ląduje na Brennie, Lucy i brunetce u mego boku. Blednie nieco, wydaje się... zraniona.

Rozanielona Rosaleen podskakuje i mówi:

– Cześć, Jake!

Uśmiecham się do niej, brunetka obok mnie się pochyła.

– Jaka słodoka! Moja siostra niedługo urodzi dziecko, mam nadzieję, że będzie takie śliczne jak ty. – Stuka palcem Rosaleen w nos, co wywołuje niesmak u małej.

– Kim jesteś? – pyta Rosaleen z ciekawością.

– Chodź, Rosaleen. – Riley ciągnie siostrę, piorunując mnie morderczym spojrzeniem.

– Raymond, ruszaj. Ciocia nas dogoni.

Dzieciaki odchodzą, pozostają wpatrując się w Chelsea.

– Co... co tu robisz?

– Terapeuta Rory'ego przesunął sesję, więc odprowadziliśmy go, a ja obiecałam dzieciakom lody, więc właśnie tam je zabieram. Idziemy w tamtą stronę – wskazuje ręką – do lodziarni.

Po chwili patrzy na Brenta.

– Cześć, Brent. Miło cię widzieć.

– Ciebie również, Chelsea – odpowiada cicho.

Poprawia sobie Regan na biodrze i zakłada włosy za ucho.

– Powinnam już iść. Miłego... miłego wieczoru życzę.

Mija mnie, ale udaje jej się ujść jedynie kilka kroków.

– Chelsea! – wołam, jej imię brzmi, jakbym wyrwał je z najgłębszych czeluści gardła.

Podchodzę do niej pospiesznie, zatrzymując się tuż przed nią. – Mogę wyjaśnić. To nie to...

– Jake, nie musisz nic wyjaśniać – mówi cicho, kręcąc przy tym głową. – Nic nie jesteś mi winien.

Wiem, że to prawda, więc dlaczego czuję się, jakbym dostał kopa prosto w jaja?

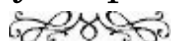
Przez chwilę stoimy nieruchomo, po czym wyciągam ręce po Regan.

– Mogę pomóc zabrać dzieciaki na te lody?

Jednak Chelsea się odsuwa. Ucieka przede mną.

– Nie, nie trzeba. – Uśmiecha się lekko, choć smutno. – Poradzę sobie.

Odchodzi, pozostawiając mnie na ulicy. Zupełnie samego.



Kilka dni później jestem w gabinecie. Stanton pracuje przy swoim biurku.

– Przychodźcie dziś z Sofią na mecz? – pytam.

– Ach... Nie. Nastąpiła zmiana planów.

– A co będziecie robić?

Nienagannie ubrana Sofia wpada do naszego gabinetu.

– Mamy popilnować dzieci Chelsea.

Opieram się w fotelu, całkowicie zapominając o pracy.

– Dlaczego? To znaczy... dlaczego mnie o to nie poprosiła?

Sofia podaje Stantonowi teczkę z dokumentami.

– Pewnie dlatego, że idzie na randkę i nie chciała się głupio przy tobie czuć.

– Randkę?

Pierwszą moją myślą jest to, że chce się na mnie odegrać, ponieważ przyłapała mnie na wyjściu z Brentem i tymi dziewczynami, jednak Chelsea taka nie jest. Nie jest złośliwa, co oznacza, że idzie na randkę, bo żyje dalej. Dokładnie tak, jak jej mówiłem.

*Kurwa.*

– Wiecie... Mówiła wam z kim się wybiera?

Sofia przygląda mi się zupełnie bez współczucia w piwnych oczach.

– Właściwie to tak. Z Tomem Caldwellem.

– Z Tomem Caldwellem? Pieprzysz. Jak do tego doszło?

– Najwyraźniej Chelsea wpadła na Toma w sklepie. Zaczęli rozmawiać, on zapytał, czy jest wolna... Następnie zaprosił ją na randkę.

*Skurwysyn.*

– A skąd o tym wiesz? – pytam ostro.

Sofia wzrusza ramionami.

– Rozmawiamy czasem z Chelsea. Przyjaźnimy się. Ona nie ma tu zbyt wielu znajomych, Jake.

Wiem. Dodatkowo, opiekując się szóstką dzieciaków, nie ma czasu się z kimś zadawać. Jednak – przemawia przeze mnie gorycz – ma czas dla cholernego Toma.

– Ja się zajmę małolatami. – Nie zostawiam miejsca na dyskusję.

Co wcale nie oznacza, że Sofia nie próbuje.

– Nie uważam tego za dobry pomysł.

– Dlaczego?

Wskazuje na moje zaciśnięte na biurku dłonie. Naprawdę nie musi nic dodawać.

Na siłę je rozluźniam, po czym potrząsam rękami.

– Będzie dobrze. Poradzę sobie. Chcę jedynie, żeby wiedział, że nie może się nią bawić.

– Damy radę ze Stantonem nagadać mu do słuchu. Nie żeby tego potrzebował, Tom jest przyzwoitym facetem.

Krzywię się.

– Chcę przypilnować dzieci.

– Nie...

Na szczęście popiera mnie Stanton.

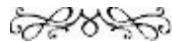
– Soph, wydaje mi się, że Jake powinien zająć się dziećmi. Jeśli ma zamiar nadal przyjaźnić się z Chelsea, będzie musiał poradzić sobie również z tym, że umawia się na randki. Jeśli uważa, że jest już na to gotów, powinniśmy pozwolić mu się tym zająć.

Uśmiecha się do niej tak samo, jak za każdym razem, gdy chce ją przekonać.

– Dobrze. – Sofia spogląda na mnie ostro. – Ale nie bądź gnojkiem, Jake.

Odpowiadam takim samym spojrzeniem.

– Kto? Ja?



Tego samego wieczora pukam do drzwi domu Chelsea. Są zamknięte, wreszcie nie ma klucza pod wycieraczką. W końcu skrzydło otwiera się, a ja doznaję *déjà vu* – czuję się jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłem. I zupełnie jak wtedy, jestem porażony jej pięknem.

Ma na sobie ciemnozieloną sukienkę, prostą i elegancką. Jest oszałamiająca. Krótkie rękawki odsłaniają jasne ramiona, błyszczący pasek podkreśla wąską talię, a jej nogi... Jezu, wydają się szalenie długie pod kusą, zwiewną sukienką.

Chelsea wytrzeszcza oczy zaskoczona. Podejrzewam, że Sofia nie poinformowała jej o zmianie planów.

– Cześć.

– Jake, hej. Co tu...?

– Sofii i Stantonowi coś wypadło... – To znaczy, ja im wypadłem. – Więc... Popilnuję dzieci, jeśli oczywiście nie macz nic przeciwko.

Otrząsa się z szoku i szerzej otwiera drzwi.

– Oczywiście, że nie mam. Proszę, wejdź.

Dzieci są w salonie.

– Cześć wam.

– Ty nas przypilnujesz? Fajnie. – Cieszy się Rory. – Wisisz mi rundkę w *Halo*.

Chelsea mówi, że musi napełnić butelki Ronana i wychodzi do kuchni. Witam się z resztą łobuzów i idę za nią. Stoi przy blacie, wpatrując się intensywnie w butelkę, kiedy ją napełnia. Po cichu staję za nią, zaledwie kilka centymetrów od niej.

Wystarczająco blisko, żeby ją dotknąć.

– Wyglądasz prześlicznie.

Natychmiast na mnie spogląda, uśmiechając się z zażenowaniem.

– Och... Dziękuję. – Nakrywa butelkę, odstawia dalej na blat i zwraca się twarzą do mnie. – To dziwne, prawda?

– Nie, wcale.

– Całkowicie dziwaczne, Jake. Wiesz, jak wyglądam nago...

No tak. Ten obraz wypalił mi się w umyśle. To moje ulubione wspomnienie.

– ...a teraz przyszedłeś, żeby popilnować dzieci, bo wybieram się na randkę z innym mężczyzną. To tak naprawdę dziwne z definicji.

Śmieję się.

– Wcale nie musi tak być. Jesteśmy dorośli. Przyjaźnimy się. To właśnie coś... co robią przyjaciele.

Patrzy mi w oczy, ma zarumienione policzki, jej wzrok mówi o czymś więcej niż samej przyjaźni.

Pies zaczyna szczekać, po czym słyszymy pukanie do drzwi. Chelsea posyła mi szybki uśmiech i idzie otworzyć. Wracam do salonu, równocześnie Chelsea wprowadza do niego Toma Caldwell, przedstawia go dzieciom, jego białe perłowe ząbki błyszczą, gdy uśmiecha się do każdego z nich.

Następnie słyszę jak mruczy do Chelsea:

– Wyglądasz rozkosznie.

Kto tak mówi? Kto używa takiego słowa?

Kretyn, oto kto.

– Wezmę tylko torebkę i możemy iść. – Posyła dzieciakom buziaka. – Bądźcie grzeczni. Niedługo wrócę – mówi i wychodzi.

Wkraczam do akcji.

– Caldwell.

– Becker. – Uśmiecha się, wyciągając rękę. – Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj.

Ściskam mocno jego dłoń.

– Niepotrzebnie. Często tu przyjeżdżam. Pilnuję dzieciaków.

– Miło z twojej strony.

Tak – to ja. W dupę uprzejmy.

Prowadzę go w stronę drzwi, chcąc być z nim przez chwilę sam na sam. Mówię cicho, lecz stanowczo:

– Chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy. Jeśli potraktujesz Chelsea inaczej niż z należyтым szacunkiem... Jeśli kiedykolwiek choćby pomyślisz o czymś, co mogłoby skrzywdzić te dzieciaki... gdy z tobą skończę, nie będzie z ciebie co zbierać.

Moje spojrzenie jest wymowne.

Caldwell się odsuwa.

– Grozisz mi, Jake?

– Myślałem, że to dość oczywiste.

Mężczyzna się śmieje, klepie mnie po plecach jak starego kumpla.

– Zrozumiałem. Nie musisz się martwić.

Chelsea schodzi ze schodów, Caldwell otwiera przed nią drzwi. Salutuje mi, gdy wychodzą.

– Miłego niańczenia dzieci, Becker.

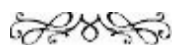
Po ich wyjściu przez dłuższą chwilę stoję w foyer, przyglądając się zamkniętym drzwiom. Rory staje tuż obok, gapiąc się w tym samym kierunku.

– Kretyn, nie?

– Wiesz, młody, doskonale potrafisz ocenić charakter.

Rory kiwa głową, więc klepię go w ramię.

– Chodź, zagramy w *Halo*. Mam ochotę coś zabić.



Chelsea wraca około jedenastej. Sama, co jest wspaniałe. Wchodzi do salonu, gdzie na nią czekam.

Wszyscy czekamy.

Skopuje buty.

– Wow, hej, nadal nie śpicie?

Siedzę na środku kanapy, z Regan na kolanach. Rory i Raymond znajdują się po moich bokach, Riley opiera się nieco dalej.

– Dzieci chciały z tobą o czymś porozmawiać – wyjaśniam.

Chelsea przygląda im się po kolei.

– Co się dzieje?

– Nie lubimy go – zaczyna Rory.

Chelsea potrzebuje chwili na zrozumienie.

– Go? – Wskazuje gdzieś za ramię. – Toma?

– Jest kretynem – potwierdza Rory.

– Nie wydaje się bystry – dodaje Raymond.

– Jest nuudny – wcina się Rosaleen.

– Jest nawet fajny – mówi Riley. – Ale stać cię na więcej.

Do rozmowy włącza się Regan:

– Nie!

*Boże, ale jest elokwentna.*

Chelsea się śmieje.

– Dobrze. Dziękuję za podzielenie się spostrzeżeniami. Odnotowałam. A teraz – wskazuje na schody – do łóżek.

Rozlegają się skargi i jęki, więc ich dopinguję:

– Idźcie, pomóżcie sobie nawzajem. Rory, pomóż Regan umyć zęby.

– Zaraz przyjdę, żeby was okryć – mówi Chelsea, gdy mijają ją rządkiem jak małe kacuszki. Następnie spogląda wymownie w moją stronę. – Mogę z tobą porozmawiać na zewnątrz? Teraz?

Jej głos jest poważny, najwyraźniej coś jej nie pasuje, ale nie mam nic przeciwko, ponieważ sam jestem rozdrażniony.

Dobra, nie to, żebyśmy chcieli się pozabijać, ale rozumiecie o co mi chodzi? Jeśli chce kłótni, jestem gotowy ją sprezentować. Nawet na więcej niż jeden temat.

Na kilka.

Mam ochotę kłócić się z nią długo, namiętnie, do połamania łóżka... Cholera! Co się, u diabła, ze mną dzieje?

Kiedy dzieci są już na górze, wychodzimy tylnymi drzwiami, moje dynamiczne kroki pasują do tempa Chelsea, gdy przemierzamy ciemny taras. Drzwi trzaskają za nami, Chelsea nie traci czasu, staje ze mną twarzą w twarz.

– To nie jest fair! Nie możesz tego robić!

– A co dokładnie, według ciebie, robię, Chelsea?

– Nastawiłeś dzieci przeciwko mężczyźnie, z którym się umówiłam. Moje życie miłosne nie jest twoją sprawą!

Jedyne słowa, które słyszę to „życie miłosne”. Co jest ze mną nie tak?

– Masz życie miłosne? – pytam przerażony. Popcorn, który zjadłem wcześniej, oglądając z dziećmi film, podchodzi mi do gardła.

Chelsea szturcha mnie w pierś.

– Mam prawo do szczęścia!

*Stuk.*

– Wierz lub nie, ale Tom naprawdę uważa, że jestem atrakcyjna.

*Stuk.*

– Lubi ze mną rozmawiać, spędzać ze mną czas!

*Stuk.*

– Pragnie ze mną być... nawet jeśli ty tego nie chcesz!

Chwytam ją za rękę, obracam i przyciskam plecami do ściany domu. Piorunuje mnie wzrokiem z wysoko zadartą głową, w jej oczach nie ma strachu, za to intensywnie niebieskie tęczęwki pełne są wściekłości.

Moje racjonalne myślenie odeszło w siną dal, gdy zaczęła mówić o spotykaniu się z innym mężczyzną. Wszelka konsekwencja została zapomniana, gdy stwierdziła, że jej nie pragnę.

Jakby to w ogóle było możliwe.

Instykt przejmuje nade mną kontrolę. Czyste emocje: ogień i żądza. Potrzeba, żeby to mój dotyk zapamiętała. Mój pocałunek na dobranoc. Nie jakiegoś pieprzonego Toma.

– Pożądanie ciebie nigdy nie było problemem, Chelsea.

Pochylam się, czuję, że nasze klatki piersiowe się stykają, wsuwam kolano między jej nogi, gdzie jest niebiańsko gorąca. Moja twarz znajduje się tak blisko jej, że oddychamy tym samym powietrzem.

Próbuje wykręcić się ode mnie.

– Właśnie, że tak! – syczy. – To właśnie powiedziałaś. Stwierdziłaś, że mnie nie chcesz.

Nie pamiętam dokładnie tamtego wieczoru. Jest mglistym wspomnieniem pełnym nerwów, żalu i jękania. Właściwie, to nie wiem, co jej nagadałem.

– Tak? – Przysuwam się jeszcze bliżej, pozwalając jej poczuć, jak bardzo jej pragnę. – Więc jestem idiotą. – Spijam ją wzrokiem, każdy centymetr jej ust, zaczerwienionych policzków, pulsującej żyły na szyi, która podpowiada mi, że ona również mnie pragnie. – A co gorsze, jestem też kłamczuchem.

Całuję ją smakując jęku – długiego dźwięku rozpaczliwej ulgi. Piszczy, gdy uwalniam jej nadgarstki, żeby jej dotknąć i obejmuje mnie za szyję, przyciągając jeszcze bliżej. Zasysam jej dolną wargę, delektuję się słodyczą jej ust.

Minęło tak wiele czasu. Zbyt wiele.

Wygina się ku mnie, więc mam ochotę ją podnieść i pieprzyć przy tej ścianie.

Jednak w tej właśnie chwili wraca mój zdrowy rozsądek.

*Cholera, co ja robię? Powiedziałem jej, że musimy przestać, po czym... Kurwa, jestem jaskiniowcem.*

Delikatnie chwytam jej ręce i odsuwam się, tworząc dystans. Gapię się pod nogi, żebym nie musiał patrzeć jej w twarz.

– Chelsea, ja... To był błąd. To się już więcej nie powtórzy. Przepraszam.

Z początku nic nie odpowiada, ale czuję ją. Czuję zmieszanie i gniew – bije z niej gęstymi, mocnymi falami. Kiedy w końcu na nią spoglądam, usta ma zaciśnięte w wąską linię. Ma ściągnięte brwi, zmarszczone czoło i iskry w niebieskich oczach.

A ponieważ jestem chorym sukinsynem, nakręca mnie to jeszcze bardziej.

Aż rzuca:

– Wiesz co, Jake? Zawsze wiedziałam, że potrafiłbyś być dupkiem, gdybyś tego chciał, jednak nigdy, przenigdy nie myślałam, że mógłbyś być tchórzem.

Odchodzi. Otwiera drzwi tarasowe i wślizguje się do domu.

Czuję się jak gówno. Jak brud pod pazurami Kuzyna Coś. To właśnie ja – drobinka ziemi pod niewielkim pazurkiem przeklętego małego psa.







Następnego dnia w kancelarii trafiam na szczyt czarnej listy Sofii. Dopiero przyjechałem, a już rozwścieczona wpada do mojego gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami. Oczy jej płoną, włosy falują na ramionach, gdy opiera ręce na biurku i pochyla się ku mnie.

Nabieram zupełnie nowego szacunku dla Stanton. Sofia potrafi być przerażająca, jeśli się do tego przyłoży.

– Co się, u diabła, z tobą dzieje?

– Jeśli pragniesz odpowiedzi, musisz sprecyzować pytanie.

– Bawisz się z Chelsea w jakieś gierki. Musisz przestać.

Najwyraźniej Chelsea wprowadziła ją w naszą małą przygodę na tarasie. Zastanawiam się, co powiedziała, jak to opisała. Właściwie nie przeszkadza mi to, że Sofia bierze jej stronę – Chelsea zasługuje na czyjeś wsparcie.

– Nie chciałem. – To była słabość. Pieprzona chwila słabości.

– Niszczysz ją, Jake. Chelsea nie wie, o co ci chodzi.

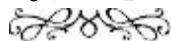
Wzdrygam się.

– Albo w tę, albo we w tę. Albo jesteś jej przyjacielem, albo kimś więcej. Nie możesz mieć wszystkiego naraz.

– Cholera, wiem o tym! – warczę. – Jestem jej przyjacielem.

Sofia prostuje się i krzyżuje ręce na piersi.

– Sugeruję więc, żebyś zachowywał się jak przyjaciel.



Werbalny atak Sofii nie daje mi spokoju do końca dnia. Nie mogę z tego powodu pracować, więc wychodzę wcześniej i jadę do Chelsea. Porozmawiać. Upewnić się, że nic się między nami nie popsuło.

Naprawdę bardzo potrzebuję tego, żeby było w porządku.

Na jej podjeździe widzę nieznanego samochód – to biały suburban. Frontowe drzwi domu nie są zamknięte, więc wchodzę. Panuje tu cisza, więc przechodzę do kuchni i opieram ręce na szklanych drzwiach. Widzę Chelsea, która ma na sobie ogrodniczki i opiętą białą koszulkę. Włosy ściągnęła w kok. Ronan raczkuje obok niej na kocu. Chelsea stoi wśród grządek, wbija w ziemię łopatę albo motykę.

I nie jest sama.

Obok niej, paplając coś, Tom Caldwell opiera się o swoje narzędzie.

I... pasuje tu. Wygląda, jakby należał do tego miejsca – do domu z ogrodem, kudłatym psem i wielkim garażem. To facet, który należy do fundacji charytatywnej i jeździ na obozy skautów. Pasują do siebie – on i Chelsea – rzygać mi się chce na tę myśl. Zastanawiam się nad ślubnym portretem Rachel i Roberta, wiszącym w ich sypialni. Z łatwością mógłbym do niego dopasować twarze Chelsea i Toma.

Zabieram dłonie z szyby i się obracam. Spieszę do foyer, zanim moja obecność

zostanie odkryta przez pozostałą piątkę, ale wydają się wyskakiwać znikąd, niczym wysysające mózgi zombie na starych horrorach. Są jednak nieco bardziej urocze.

– Masz zamiar po prostu wyjść? – pyta Riley.

Przyglądam się im przez chwilę, po czym kręcę głową.

– Tom tam jest.

– Chcemy ciebie – wyznaje cicho Raymond. Nie ma w tym stwierdzeniu pytania czy wątpliwości.

– Tom to fajny gość, Raymond.

– Ale nie jest tobą – mówi Rory. – Chcemy ciebie.

Wszyscy kiwają głowami.

Słowa Rosaleen rozkładają mnie na łopatki:

– Już nas nie lubisz, Jake?

No i co mam niby odpowiedzieć? To znaczy, jakich użyć słów?

– Chodź do mnie – mówię. Mała wchodzi w moje otwarte ramiona. Odchrząkuję, żeby odblokować nagle ściśnięte gardło. – Oczywiście, że was lubię. Ze wszystkich małych gnojków na świecie, najbardziej lubię waszą szóstkę. Jednak staram się postąpić właściwie, wiecie?

– Opuszczając nas? – Rory ściąga brwi.

Zmieniam ton na ostrzejszy:

– Nie opuszczam was. Nigdy tego nie zrobię. Cokolwiek się stanie... pomiędzy mną a waszą ciocią, zawsze będę waszym przyjacielem. Do końca życia, ponieważ nigdzie się nie wybieram.

Z kuchni dochodzą głosy, po czym dźwięk zamykanych drzwi. Wstaję, gdy Tom i Chelsea wchodzi do foyer.

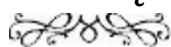
– Jake. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Ma na policzku uroczą smugę ziemi, którą zmazałbym z ochotą. Zaraz przed pocałunkiem.

– Tak, właśnie przyjechałem. Mamy ładny dzień, pomyślałem, że mógłbym zabrać dzieci do parku. Jeśli się zgodzisz.

Posyła mi sztywny uśmiech.

– Oczywiście, że tak. Przyniosę tylko kurtkę dla Regan.



Mija kolejny tydzień. Nie chodzę już na głupie podwójne randki z Brentem – w ogóle nie chodzę na randki. Przestałem nawet walić konia.

Cóż... może przestałem to zbyt mocne słowo. Jednak drastycznie to ograniczyłem.

Jestem okropnym towarzyszem – nawet dla własnego fiuta.

Wszystko wydaje się być złe. A co gorsze, rzeczy, które mnie cieszyły, sprawy, na które czekałem – wygrana w sądzie, pozyskanie kolejnej sprawy, cholerny mecz koszykówki – wydają się bez sensu. Puste.

Nieistotne.

Milton znowu zostaje aresztowany. Za wandalizm i zniszczenie mienia. Nie mogę się

zmusić, żeby na niego nakrzyczeć.

Pyta, czy zdechł mi pies.

Wychodząc mówi, żebym trzymał uszy do góry. Kiedy żałuje cię Milton Bradley, siedzisz gołą dupą na samym dnie.

Ale nawet mnie to nie obchodzi.

Mija kolejny tydzień, w którym nie potrafię znieść samego siebie, wszyscy inni mają mnie powoli dosyć. Późnym popołudniem Sofia, Brent i Stanton wpadają do mojego gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami. Brent zamyka mi laptopa i zabiera go z biurka, jakbym był dzieciakiem i miał szlaban.

– Co, u licha?

– Interwencja – mówi brodaty drań.

– Nie potrzebuję żadnej interwencji.

– Interwencja albo Stanton cię stąd wyprowadzi i skopie tyłek.

Wzdycham, spoglądam na nich po kolei, kiedy siadają naprzeciw mnie.

– Nic mi nie jest.

– Nieee... – Sofia kręci głową. – Wręcz przeciwnie.

– Jesteś nieszczęśliwy – mówi Stanton.

*Dzięki, chłopie.*

– Chelsea też jest nieszczęśliwa – dodaje Sofia, ale wcale nie poprawia mi to humoru.

– Przez was i my jesteśmy nieszczęśliwi – mówi Brent. – To niczym osmoza, paruje z ciebie i wsiąka w nas. Zaburza to moje *mojo*, więc musi się skończyć.

– Jake. – Stanton wstaje z poważną miną. – To oczywiste, że chcesz być z Chelsea.

Dlaczego, u diabła, nie wyjdiesz z tego nieszczęścia i po prostu z nią nie będziesz?

W końcu w moim głosie pojawia się iskra.

– Ponieważ nie chcę, żeby przeze mnie cierpiała.

– Teraz przez ciebie cierpi – wyklóca się Sofia.

– Ale w ten sposób wciąż jestem przy niej! – Przyglądam im się, wyzywając, żeby temu zaprzeczyli. – Wiem, jak walczyć, jak być prawnikiem, jak być przyjacielem. – Oddycham coraz ciężiej. – Ale nie wiem, jak żyć w rodzinie.

– Wydawało nam się, że możesz to powiedzieć. – Stanton kiwa głową, wskazując na Sofię. – Panie przodem.

Sofia wstaje i podchodzi, jakby zamierzała mnie przesłuchać w sądzie.

– Ile miarek mleka modyfikowanego wsypuje się do butelki Ronana?

– Co to ma do...?

– Po prostu odpowiedz na to cholerne pytanie.

– Sześć. – Wzdycham. – Prócz wieczora, wtedy trzeba dodać jeszcze dwie.

– A ile do tej pory Regan zna słów?

– Trzy. „Ceść”, „nie” i „Jake”. – Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. – Jest genialna.

Sofia siada, za to wstaje Brent.

– Jaki jest ulubiony kolor Rosaleen? – pyta.

– Tęczowy. Cokolwiek to oznacza.

Kiwa głową.

– Czego boi się Raymond?

Nie muszę się nawet zastanawiać.

– Meteorytów i kosmicznych skał. Wszystkiego, czego nie da się przewidzieć i kontrolować.

Brent zajmuje miejsce. Stanton opierając się o fotel Sofii, patrzy mi głęboko w oczy.

– Kim chce zostać Rory, gdy dorośnie?

– Sędzią sądu najwyższego, Boże miej nas wszystkich w opiece.

Stanton się uśmiecha.

– Jak ma na imię chłopak, w którym ostatnio podkochuje się Riley?

Marszczę brwi.

– Preston Drabblesmith.

To prawdziwy dzieciak, nie postać z *Harry'ego Pottera*.

Stanton podchodzi do mnie i klepie mnie w ramię.

– Gratulacje, Jake. Ty już żyjesz w tej rodzinie.

Rozważam te słowa, ich wcześniejsze pytania, podczas gdy Sofia i Brent szczerzą zęby jak idioci. Wiem, co Stanton chciał powiedzieć. Po prostu...

– Nie wiem, co robię.

Stanton pociera podbródek.

– Zamierzam zdradzić ci sekret, nikt z nas nie wie, co robi. Myślisz, że wiedziałem, co zrobić, gdy włożono mi niemowlaka w siedemnastoletnie ręce? Cholera, stary, trzy dni się trząsłem.

– Myślisz, że Chelsea wiedziała, co robi, rzucając życie w Kalifornii i pędząc, żeby zająć się tymi dziećmi? – pyta Sofia.

– Musisz ich tylko kochać – mówi Stanton. – To jest najważniejsze. Reszta... sama się ułoży.

– Poza tym – odzywa się Brent. – Naprawdę uważasz, że jest na świecie ktoś, kto będzie pracował na ich szczęście mocniej od ciebie?

To najłatwiejsze ze wszystkich pytań.

Oczywiście, że nie.

Więc... co, do diabła, jeszcze tu robię?

Wstaję. Zostawiam aktówkę i dokumenty. Pieprzyć to wszystko.

– Muszę iść.

Jednak gdy przyjaciele z uśmiechem klepią mnie po plecach i prowadzą w stronę drzwi, spotykam w nich mojego szefa, Jonasa Adamsa.

– Dobry wieczór, wszystkim.

Witamy go. Jesteśmy w niemałym szoku, ponieważ Jonas Adams nie odwiedza pracowników w ich gabinetach. Nigdy.

Odchrząkuję.

– Zdarzył się wypadek, panie Becker. Pani Holten nieszczęśliwie spadła ze schodów.

Ekscytacja i radosne oczekiwanie, które jeszcze sekundę temu tryskały ze mnie,

natychmiast się kurczą i znikają. Zamykam oczy, przełykam z trudem ślinę i w ogłuszającej ciszy pytam:

– Żyje?

Adams zdejmuje okulary i czyści je chusteczką z wyhaftowanym monogramem.

– O tak, żyje, poobijała się tylko. Policja aresztowała senatora, więc proszę, żebyś udał się na posterunek, pomógł mu przy jakichkolwiek próbach przesłuchania, załatwił kaucję...

– Nie. – Ta jedna sylaba jest tak czysta, tak dobrze brzmi w moich ustach. Niemal tak bosko, jak imię Chelsea. Wiem, jaki jestem – i wiem, co mogę. A co ważniejsze, wiem do czego się nie posunę. Nigdy więcej. – Nie zrobię tego, panie Adams.

Mruży oczy, jakby nie widział mnie wyraźnie.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Ponieważ jest winny.

– Przyznał się?

– Nie, ale wiem, że bije żonę.

Policzki Adamsa robią się ceglasto czerwone, gdy wydycha szybko powietrze. Zastanawiam się, czy Jonas jest rzeczywiście ślepy, czy może jest tylko wielkim ignorantem. Tak czy inaczej, mam to gdzieś.

– William Holten jest klientem mojej kancelarii, a co ważniejsze, od czterdziestu lat jest moim przyjacielem. Zasługuje na obrońcę.

– Ale nie na mnie. – Kręcę głową, patrząc na niego.

Adams zaciska usta w wąską linię.

– Panie Becker, powinien pan starannie przemyśleć następne słowa, ponieważ zdeterminują pańską przy...

– Odchodzę.

– Jake. – Stanton wypowiada moje imię jak ostrzeżenie. Jednak takowego nie potrzebuję.

– Moja rezygnacja znajdzie się na pańskim biurku z samego rana, panie Adams. Jest pańskim przyjacielem, więc niech sam pan broni tego gnoja.

Adams unosi głowę.

– Pańska rezygnacja z pewnością zostanie przyjęta. – Wychodzi.

Ciężar spada z moich ramion.

Bycie podwładnym nigdy mi nie wychodziło.

– Jake, coś ty zrobił? – pyta Sofia, ściągając brwi z niepokojem.

Całuję ją w policzek.

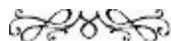
– To, co powinienem. – Klepię Brenta w ramię i ściskam dłoń Stantona, uśmiechając się niczym pieprzony Ebenezer Scrooge w Boże Narodzenie. – I było to naprawdę łatwe. – Podchodzę do drzwi. – Później pogadamy. Dziękuję, nie wiem, ile czasu zajęłoby mi wyciągnięcie głowy z piasku bez waszej pomocy.

– Nie potrzebuję sobie tego wyobrazić – mówi ze śmiechem Sofia.

Stanton rzuca:

– Bierz ją, tygrysie.

Właśnie taki mam plan.



Przed wizytą u Chelsea, zatrzymuję się w biurze prokuratora. Jadę windą do gabinetu Toma Caldwell, który, jak zakładałem, siedzi przy biurku.

Opieram się o futrynę, rozglądając się po pomieszczeniu.

– To naprawdę mały gabinet. Wiedziałem, że są małe, ale ten wydaje się mniejszy niż klatka hycła.

– Jest powód twojej wizyty, czy chcesz jedynie porównywać się na gabinety, Becker?

Kiwam głową.

– Słyszałeś o Holtenie?

– Oczywiście, że słyszałem, to ja będę oskarżał tego sukinsyna. Dlaczego nie siedzisz na komisariacie, ochraniając go przed gradem niewygodnych pytań? – Musiałbym być głuchy, żeby nie usłyszeć sarkazmu w tym pytaniu.

– Zrezygnowałem z tej sprawy.

Wytrzeszcza oczy.

– Bez jaj! Jonas musiał być wniebowzięty.

– Rzuciłem pracę. – Wzruszam ramionami.

– Ha. – Caldwell mierzy mnie wzrokiem. – Nie interesuje cię czasem jasna strona mocy? Moglibyśmy znaleźć tu dla ciebie jakąś ciasną klitkę.

Śmieję się.

– Nie... Zamykanie ludzi nie jest w moim stylu. Piękna kobieta powiedziała mi kiedyś, że z natury jestem... obrońcą. – Podchodzę do niego, wyciągam z kieszeni wizytówkę. – Chciałem tylko zostawić to dla Sabriny Holten. Mój domowy numer oraz komórka. Powiedz jej, że chcę pomóc.

Caldwell przygląda się wizytówce.

– Pomóc? W czym?

Wkładam ręce do kieszeni.

– W czymkolwiek.

Obracam się do wyjścia.

– Jake?

Ponownie na niego spoglądam.

– Tak?

Tom wydaje się wahać, po czym podejmuje decyzję.

– Rozmawiałem ostatnio z Chelsea, no wiesz, powiedziała, że nie czuje między nami „iskry”. – Palcami kreśli cudzysłów. – Zaszufładowała mnie jako przyjaciela. – Wzrusza ramionami. – Podejrzewam, że taka informacja cię zainteresuje.

Mam coraz lepszy nastrój.

– Interesuje. Dzięki, Tom.

– Na razie, Jake.

No proszę, proszę – mimo wszystko Caldwell nie jest skończonym kretynem.







Kiedy podjeżdżam, zastaję dzieciaki na trawniku przed domem. Riley trzyma Regan, Rory goni krzyczącą Rosaleen, a Raymond ćwiczy triki na deskorolce.

– Załóż ten przeklęty kask, Raymond!

Dzieciak przewraca oczami, ale go zakłada.

– Jaaake! – piszczy Rosaleen, aż uszy mi krwawią. – Pomóż! – Rzuca się na mnie, choć Rory depcze jej po piętach, machając trzymaną w palcach gaśienicą. – Rory mówi, że włoży mi tego robaka do ucha, a on wejdzie do mojego mózgu, złoży jaja, a kiedy małe gaśienice będą chciały wydostać się z mojej głowy, to ona wybuchnie!

Piorunuję szczeniaka wzrokiem.

– Co się z tobą dzieje?

Rory wzrusza ramionami, głaszcząc robaka.

– Musi się nauczyć, że nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy.

Zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć, z boku krzyczy Riley:

– Ja cię uratuję, Rosaleen! – Strzela wysoko w powietrze z dwóch pistoletów na wodę.

– Tak, pistolety na wodę! – wrzeszczą Rory i Rosaleen niemal w tym samym czasie, biegnąc w kierunku Riley.

Zwijam dłonie w trąbkę przy ustach i przypominam im:

– Nie podchodźcie do basenu!

Obserwuję ich przez chwilę. Łagodny uśmiech błąka się na moich ustach. Wchodzę do domu. Chelsea jest w kuchni, wyciera blat. Ma rozpuszczone włosy, które spływają na jej plecy miękkimi, lśniąco falami, ma na sobie jeansy i koszulkę, co wygląda na niej bardziej zjawiskowo niż jakakolwiek sukienka.

Unosi głowę, gdy wchodzę do pomieszczenia.

– Hej. Nie wiedziałam, że miałaś dzisiaj wpaść.

Nie waham się ani chwili, nie daję sobie czasu na przesadne analizowanie. Szczerze mówiąc, i tak cholernie długo z tym czekałem.

Podchodzę do niej, obejmuję jej twarz i całuję w usta. Pieszczota jest miękka i słodka, po czym mocna i wymagająca. Całuję ją, aż zaczyna jęczeć i przytrzymuje się moich ramion, ponieważ miękną jej kolana.

Głaszczę palcami jej policzek, patrząc w te spektakularne niebieskie oczy. Mój głos jest ochryply i surowy:

– Kocham cię.

Chelsea patrzy mi w twarz, jej uśmiech jest wesoły i pełen nadziei.

Z początku.

Jednak wracają do niej wspomnienia i ten uśmiech gaśnie. Odsuwa się ode mnie, stawia krok w tył. Opadają jej ramiona, twarz przybiera maskę obojętności.

– Kiedy o tym zdecydowałaś?

Może we mnie wątpić, ile tylko chce. Nigdzie się nie wybieram.

– Wiedziałem to już od jakiegoś czasu. Po prostu... postanowiłem przestać zachowywać się jak kretyn. Przestać z tym walczyć. – Ruchem głowy wskazuję na okno, zza którego dobiega pięć roześmianych głosików. – Żeby było jasne, ich też kocham. Są okropni, ale doskonali... kocham ich, jakby byli moi. Jakby byli nasi.

Chelsea przygryza wargę, jej oczy są wilgotne i błyszczące. Podchodzę bliżej. – Proszę, nie płacz. Kocham... – Krztuszę się na tym słowie, gardło mnie pali, oczy pieką. – Kocham cię.

Chelsea pociąga nosem, obejmuje się ramionami, pozując na twardzielkę.

– Mam tak po prostu zapomnieć o ostatnich tygodniach? O tych rzeczach, które powiedziałeś... Jak zimny byłeś...

Pocieram kark.

– Właściwie, to miałem nadzieję, że... tak zrobisz.

Patrzy pod nogi.

Podchodzę jeszcze bliżej i unoszę jej podbródek.

– Chciałem cię chronić. Chciałem dla ciebie czegoś lepszego, Chelsea. Dla nich. Dobrego mężczyzny. Nie sądziłem, żebym się nadawał. Nie uważałem, że jestem tym, kogo potrzebujecie.

Spogląda mi głęboko w oczy.

– A teraz?

– Teraz wiem, że dam radę. Ponieważ... nikt nie mógłby cię kochać tak mocno jak ja. Jesteś dla mnie wszystkim, jedynym, co się liczy.

Łza spływa jej po policzku. Chelsea leciutko się przysuwa.

– Już mnie nie krzywdź, dobrze?

– Nie skrzywdzę.

– Nie odsuwaj się znów ode mnie.

– Nie potrafię.

Tuli się do mnie, ściskając tak mocno, że wyciska mi z płuc powietrze. To najlepsze uczucie na świecie. Mija jedynie chwila, zanim jej usta znów odnajdują moje. Obejmuje mnie nogami w pasie, jakby nie była w stanie dostatecznie się zbliżyć. Przechyla głowę, całując mnie intensywnie, jakby nie mogła wsunąć języka wystarczająco głęboko. Wbijam palce w jej plecy, gdy nasze serca biją szybko w jednym rytmie.

Sadzam ją na blacie, odsuwam się i unoszę jej koszulkę, ponieważ potrzebuję dotknąć jej skóry.

– Dzieci – dyszy.

Całuję jej szyję, ucho, piękną twarz.

– Usłyszymy, że coś jest nie tak. Póki krzyczą na podwórku, wiemy, że nic im nie jest.

Słyszymy je głośno i wyraźnie przez okno. Bawią się i dowodzą – to najlepszy z możliwych dźwięków.

Nasze języki tańczą ze sobą, przy czym jęczę. Chelsea mówi zdyszana:

– Ale mogą tu wejść. Mogą nas zobaczyć.

Ma rację. *Szlag*.

Rozglądam się, gorączkowo przeszukując pomieszczenie. Spizarnia! Niosę ją tam, zatraskuję nogą drzwi i sięgam za siebie, żeby szybko zamknąć zasuwkę.

Chelsea skubie zębami moje wargi, ssie płatek ucha.

– Zawsze się zastanawiałam, po co w spizarni zasuwka.

Jedyne, co jestem w stanie wydusić to:

– Zasuwki są fajne.

Śmieje się przy moich ustach. Staje na podłodze jedynie na tyle, żeby zdjąć nasze ubrania. Ponownie ją podnoszę, opieram o ścianę plecami, więc znów obejmuje mnie nogami w pasie.

Trzymając członek w ręce, sprawdzam jej wejście – jest cudownie wilgotne i wyśmienicie gorące. Wchodzę w nią powoli i delikatnie, ponieważ wiem, że od ostatniego razu minęło trochę czasu. Kiedy nie ma już nic między nami, a nasze ciała są w pełni połączone, Chelsea szepcze:

– Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Zaczynam poruszać biodrami w gładkim, niespiesznym rytmie. To takie cholernie doskonale i prawdziwe. Takie dobre. Nic nigdy w moim życiu nie było tak właściwe.

Chelsea odchyła głowę, więc zamykam oczy. Pieszczę ustami jej szyję, szepcząc przy tym jak jest piękna. Mówię o wszystkim, co chciałbym z nią zrobić. I o tym, ile dla mnie znaczy.

Ściska mnie mocniej, przyciąga bliżej nogami, wplatając palce w moje włosy.

Dyszy:

– Ko... Kocham cię. O Boże, Jake... tak bardzo... Tak bardzo cię Kocham.

To zbyt wiele. Jestem przytłoczony. Mimo to nie mam dosyć.

Przyjemność wzrasta, jej cipka jest ciasna, mokra, fantastyczna. Najczystsza ekstaza buduje się w moim ciele, przez co moje tempo staje się szybsze, zmieniam kąt, w którym trzymam Chelsea. Razem odnajdujemy spełnienie, ocierając się i dotykając, ściskając i jęcząc.

Chwytam powietrze tuż przy policzku Chelsea. Moje serce jeszcze tego nie czuje, ale czas, żeby zwolnić. Odsuwam jej włosy z czoła i spoglądam w anielską twarz.

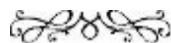
– Też mnie Kochasz, co?

Chelsea uśmiecha się, oczy ponownie jej wilgotnieją.

– Tak. Kocham cię odkąd zaniósłeś mnie chorą do łóżka i powiedziałeś, że wszystko będzie dobrze. Kocham cię całego, nawet te rzeczy, których nie chcesz mi pokazać. I nawet jeśli czasami bywasz idiotą, będę cię Kochać już zawsze.

Śmieję się i całuję ją czule.

– Dobrze wiedzieć.



Zostaję u Chelsea na noc. Kładziemy dzieci spać, po czym połowę nocy spędzamy na

rozmowie. Planujemy. Przez pozostałą część... nie rozmawiamy. Nasze słowa nie układają się przynajmniej w spójne zdania.

Następnego dnia zawożę swoją rezygnację i czynię niezbędne przygotowania, żeby odejść z Adams & Williamson. Nadal uważam, że to słuszna decyzja.

Czekamy z Chelsea, aż dzieciaki wrócą ze szkoły. Zbieramy je w salonie, żeby omówić nasze plany.

– Wiem, że wydaje się to zbyt szybkie – mówi Chelsea, gdy kołyszę Ronana na kolanie. – Ale był taki film w latach osiemdziesiątych, który uwielbiali wasi rodzice, nazywał się *Kiedy Harry poznał Sally*...

– Brzmi kiepsko – przerywa Rory.

– Był kiepski – potwierdzam pod nosem.

Jednak Chelsea i tak mnie słyszy.

– Nie był kiepski! Był cudny. Tak czy inaczej, padło w nim ważne zdanie: „Kiedy znajdziesz osobę, z którą chcesz spędzić resztę życia, chcesz, aby zaczęło się to natychmiast”. – Spogląda na mnie. – Właśnie tak czujemy się teraz z Jakiem.

Wcinam się:

– Ale jeśli macie coś przeciwko, chcę, żebyście nam powiedzieli. W porządku, jeśli odmówicie, nie zranicie mnie. Chciałbym się do was przeprowadzić, pod warunkiem że naprawdę mnie tu chcecie.

Spoglądają po sobie. Zastanawiają się. To trochę dziwaczne, ponieważ są cicho.

– Zamieszkasz w sypialni rodziców? – pyta Riley.

Puszczam oko do Chelsea, ponieważ już o tym rozmawialiśmy.

– Właściwie – mówi Chelsea – myśleliśmy, żeby przebudować mój pokój na dole. Dostosować go dla dwóch osób, może powiększyć łazienkę i garderobę. Pokój waszych rodziców... Myśleliśmy z Jakiem, żeby zrobić na górze pokój rodzinny. Miejsce, gdzie moglibyśmy wspólnie spędzać czas. Moglibyśmy mieć tam stół do bilarda, wielką kanapę, nowy telewizor...

– I maszynę z gramami!

Najwyraźniej Rory nie ma nic przeciwko.

Chelsea kiwa głową.

– I mogłabym namalować na ścianach, co tylko chcecie. Moglibyśmy zrobić to razem.

– Och, och, chcę motylki! – krzyczy Rosaleen. – I jednorożce i tęczę.

– I monstertrucki – dodaje Rory.

– I deskorolki – rzuca Raymond, przybijając z bratem żółwika.

– I – mówi Riley – moglibyśmy przykleić plakaty One Direction i 5 Seconds of Summer.

– Tak, możemy to zrobić – mówi Chelsea.

– Będzie wyglądało jak pokój schizofrenika – mruczę pod nosem, a ona się śmieje.

– To co z tą przeprowadzką Jake’a do nas? Zgadza się na nią?

– Czy ja też będę mogła zamieszkać kiedyś z chłopakiem? – pyta Riley, ponieważ jest mądra.

– Jasne – odpowiadam. – Kiedy będziesz miała dwadzieścia sześć lat i szóstkę dzieci na wychowaniu, oczywiście, że będziesz mogła z nim mieszkać i nawet słówka na ten temat nie pisnę. Ale do tego czasu nie ma takiej możliwości. – Bo jestem mądrzejszy.

Przewraca oczami.

– Nieważne, i tak głosuję za. Jake powinien się przeprowadzić.

– Zgadza się – mówi Rory.

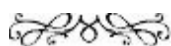
Rosaleen uśmiecha się szeroko, gdy podbiega, żeby mnie uściskać.

– Tak, tak, tak!

– Jasne – dodaje Raymond.

Wszyscy patrzymy na Regan, która uśmiecha się słodko i przypieczętowuje sprawę słowem numer pięć:

– Tak.



Wieczorem, po odrobieniu wszystkich zadań domowych i przebraniu w piżamy, dzieci leżą z nami w salonie, gdzie oglądamy telewizję. Moja komórka odzywa się na stole. To Brent.

– Cześć.

– Cześć, jak leci?

Spoglądam na Chelsea.

– Prawdę mówiąc, niesamowicie.

Śmieje się.

– Fajnie. Słuchaj, miałbyś jutro chwilę w okolicach lunchu? Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Stanton i Sofia także.

– Tak, jestem wolny. Co się stało?

– Cóż, chodzi o to, że jestem właścicielem takiego jednego budynku...

– Masz na własność cały budynek?

– Tak, i to dość fajny...





# EPILOG

## *Rok później*

Gabinet, w którym pracuję od pół roku jest większy niż mój poprzedni – znajduje się na ostatnim piętrze, w narożnym pomieszczeniu z widokiem na miasto. Nie dzielę go z nikim. Ustawy i literatura prawnicza wypełniają regały przy ścianie, a na moim biurku stoi wiele rodzinnych zdjęć. Brent, Sofia i Stanton mają podobne gabinety na tym samym piętrze.

Bycie partnerem, założycielem kancelarii ma swoje zalety.

Budynek, o którym wspominał Brent? Znajduje się w centrum. Został gruntownie odnowiony, w tej chwili na jego drzwiach znajduje się logo naszej firmy.

Kancelaria prawna Becker, Mason, Santos i Shaw.

Fajnie brzmi, nie?

Kiedy zdecydowałem się uciec z Adams&Williamson, Brent, Stanton i Sofia również zaczęli rozważać odejście z pracy. Chcieli spróbować czegoś na własną rękę, walczyć o własne sprawy. Było to ryzykowne, jednak dla całej czwórki gra warta była świeczki.

Pani Higgens przeszła wraz ze mną. W tej chwili jej głowa pojawia się w drzwiach, kobieta ma na sobie kolczyki z perłami i elegancką sukienkę.

– Jake, zaraz się spóźnisz!

– Nie spóźnię się. Nigdy się nie spóźniam. – Zerkam na zegarek. – Cholera, zaraz się spóźnię!

Mój skórzany fotel odjeżdża, gdy wstaję zza biurka. Sprawdzam kieszenie czarnego garnituru – kluczyki, portfel, telefon – wszystko na miejscu.

– Idź już – pogania pani Higgens. – Pozamykam.

– Dobrze, dziękuję. Spotkamy się na miejscu, pani Higgens.

Spieszę cztery przecznice do przedszkola, gdzie część dnia spędzają Regan i Ronan. Witam się z opiekunką przez szybę i podpisuję listę przy imionach dzieci. Chwilę później otwierają się drzwi do kolorowego pokoju i do moich uszu docierają nuty wesołej piosenki.

Stają mi wszystkie włoski na karku – miałem koszmary związane z tą piosenką.

Druga z opiekunek przyprowadza szkraby, trzymając je za rączki. Ronan ma jakieś półtora roczku – głowę pełną blond loków, piegi na nosku i diabelską iskrę w oczach, co bardzo przypomina mi jego brata. Chodzi wolno i niestabilnie, dlatego biorę go na rękę, a Regan na drugą. Dzieci machają opiekunce, gdy wychodzimy.

– Robiliśmy dzisiaj papierowe kwiatki i mój był największy. Później pani Davis przyniosła wielkiego pluszowego misia i mogłam go trzymać, kiedy czytaliśmy bajki. Był szary. Miał dwoje czarnych oczu, cztery łapy i muszkę, która była czerwona i... – Regan małymi rączkami obejmuje moją twarz i przygląda mi się, marszcząc czoło. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?



– Tak, tak. – Przebiegam przez ulicę. – Cztery łapy, czerwona muszka, nadajam.

Osiem miesięcy temu Regan zaczęła mówić coraz więcej słów... i od tamtego czasu nie przestała.

– A potem czytaliśmy książkę kucharską, bo ktoś miał przynieść marchewkę, a ktoś inny kapustę, a jeszcze inny...

Ronan śmieje się, gdy pędzę, kołysząc go na ręce. Chwilę później docieramy niemal na czas pod kościół. Stawiam dzieci na ziemi, poprawiam koszulę Ronana i od nowa wiążę żółtą jedwabną kokardę na sukience Regan.

– Zdążyłeś. Już się bałam, że się spóźnisz. – Chelsea schodzi ze schodów, wygląda oszalamiająco. Ma satynową ciemnoniebieską sukienkę, która niesamowicie komponuje się z jej kremową skórą. Podkreśla wszystkie właściwe miejsca i spływa, kończąc się tuż pod kolanem. Ma też głęboki dekolt w serek, przez który ślinka dosłownie napływa mi do ust. Zostawiła rozpuszczone włosy, które zakręcone błyszczą w słońcu.

Dotykam ich, gdy przyciągam ją bliżej.

– Nigdy się nie spóźniam. Wyglądasz fantastycznie. Ta sukienka jest sexy.

Staje na palcach i szepcze mi do ucha:

– Powinieneś zobaczyć, co mam pod spodem.

– Och, zamierzam się temu przyjrzeć. Taki mam plan.

Pochylam głowę i przez dłuższą chwilę całuję ją głęboko.

– Hej, hej. – Słyszę głos mądrali. – Przez to całe całowanie będziecie musieli zapłacić nam za kolejną terapię.

Ściągam brwi, patrząc na uśmiechniętego Rory'ego.

Gdy Chelsea ociera mi kciukiem szminkę z ust, przy czym w słońcu połyskuje kamień w jej pierścionku zaręczynowym. To dwukaratowy brylant szlifowany w kwadrat, otoczony cyrkoniami, oprawiony platyną. Dałem jej go już kilka miesięcy temu, nawet przyklęknąłem na jedno kolano. Z ogromnym entuzjazmem zgodziła się wyjść za mnie.

Na dniach Chelsea kończy studia z historii sztuki. W tym roku wróciła na zajęcia. Ma już nawet załatwioną pracę na pół etatu, będzie to niewielka galeria, filia instytutu Smithsonian.

Bierze mnie za rękę i ruchem głowy wskazuje na Riley, która stoi na chodniku obok szczupłego, ciemnowłosego dzieciaka z krawatem na gumce.

– Riley chciałaby ci przedstawić swojego dzisiejszego partnera. – Ciągnie mnie w ich stronę.

– Jake – mówi Riley z uśmiechem. – To Parker Elliot.

Dzieciak wyciąga rękę.

– To zaszczyt pana poznać.

Spoglądam na wyciągniętą rękę, to znów na młodego, mój wzrok jest ostry i bezlitosny. Taksuję go aż po buty. Ponownie wracam spojrzeniem do jego twarzy – z odgłosem obrzydzenia kręcę głową.

Następnie odchodzę.

– Nie przejmuj się, on tak wszystkich traktuje – słyszę, jak pociesza go Riley.

Chelsea chichocze tuż za mną.

– To nie było miłe.

– I dobrze. Ostatnią rzeczą, której pragnę jest to, żeby ten mały fiutek myślał, że jestem miły. – Pochylam się i ponownie ją całuję, ponieważ jest prześliczna. I dlatego, że mogę.

W połowie schodów wskazuję na gromadkę sześciorga dzieci i ich ciotkę oraz pieprzonego Parkera, żeby do mnie podeszli.

– Chodźcie drużyno, czas na nas. – Obracają głowy w moją stronę, przyglądając mi się z uwagą. Odchrząkuję. – To wyjątkowy dzień dla Stanton i Sofii, chcemy, żeby był idealny. Przez następne czterdzieści pięć minut liczę na to, że będziecie się zachowywać jak dżentelmeni i damy. Oznacza to brak szeptów, szczypania, ciągnięcia za włosy, dogryzania, bójek, chichotów, dłubania w nosie, przezywania, płakania... – Szepczę do Chelsea: – Przeoczyłem coś?

– Patrzenia na siebie nawzajem – odpowiada również szeptem.

– Ach, tak. – Dodaję głośniej: – Żadnego patrzenia na siebie nawzajem. – Przechodzę do wielkiego finału. – Konsekwencje będą natychmiastowe i dotkliwe. – „Dotkliwe” oznacza dla nich weekend bez telewizji i Wi-Fi. – Wszyscy zrozumieli?

Kiwają głowami, więc klaszczę w dłonie.

– Dobra, to wchodzimy.

Chelsea niesie Ronana, prowadząc zgraję do kościoła, ja czekam, upewniając się, że nikt nie zostanie na zewnątrz. Raymond zamyka kolumnę. Przygląda się limuzynie panny młodej, która właśnie podjechała, wysadzając piękną druhnę.

Przepiękną młodą druhnę.

– Presley wygląda super, nie? – pyta, wzdychając, patrząc na opaloną czternastoletnią blondynkę, która pomaga Sofii z trenem sukni, gdy ta wysiada z limuzyny.

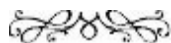
*Niech mnie szlag.*

– Wiesz, że jest od ciebie starsza? – pytam.

– Tak, wiem. Dlatego muszę poczekać. Zacznę się starać dopiero, gdy będę właścicielem firmy przynoszącej milionowe dochody.

Klepię go w plecy, przez co przekrzywiają mu się okulary.

– Dobry plan, Raymond.



Ślub Stanton i Sofii przebiega gładko. Suknia panny młodej jest zarówno seksowna, jak i oszałamiająca: ma kolor kości słoniowej, mnóstwo cekinów i głęboki dekolt, od którego Stanton nie potrafi oderwać wzroku. Oboje krztuszą się podczas składania przysięgi, cholernie dobrze widzieć ich tak bardzo szczęśliwych.

Wesele jest eleganckie, odbywa się na sali hotelu Ritz-Carlton. Stanton opłacił lot z Sunshine w stanie Missisipi praktycznie całemu miasteczku, co w połączeniu

z braćmi Sofii i ich rodzinami oraz kilkoma osobami z Brazylii tworzy całkiem spory tłum. Nie muszę chyba dodawać, że jedzenie jest wyśmienite, drinki kolorowe, a ludzie wspaniali.

Rosaleen znajduje mnie przy barze, włoski ma zakręcone w śrubki Shirley Temple, w jej niebieskich oczach połyskuje ekscytacja.

– Jake! Nie mówiłeś nic o moim błyszczyku! Riley pozwoliła mi użyć swojego, ładnie mi?

– Jesteś piękna, ślicznotko. Tak piękna, jak twoja ciocia.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, a ja chichoczę, gdy bierze Rory'ego za rękę i ciągnie na parkiet, żeby z nią zatańczył.

Matka Stantona przygląda mi się, oceniając.

– Wiesz, Jake, przez ostatnie pół godziny widziałam więcej twojego uśmiechu niż przez cały czas, jaki cię dotąd znałam.

– Cóż, mam teraz siedem niesamowitych powodów do uśmiechu.

Klepie mnie w ramię, po czym idę do Chelsea. Po drodze mijam Brenta, rozmawiającego z siostrą Stantona, Mary, który stara się przekonać dziewczynę:

– Nie chcesz się wiązać z takim facetem jak ja, Mary. Jestem samotnikiem, buntownikiem...

Chelsea obejmuje mnie za szyję, kołyszemy się na parkiecie do powolnego rytmu.

– Zgadnij co? – prosi.

Ocieram nosem o jej nos.

– No co?

– Rozmawiałam właśnie z twoją mamą. Zaoferowali z Owenem, że wieczorem zabiorą dzieci do domu. Więęęć... Zarezerwowałam tu pokój.

– Cholera, jesteś genialna – mruczę. – Mówiłem ci kiedyś, jak bardzo kocham twój umysł?

– Myślałam, że kochasz moje ciało – droczy się, tuląc się bardziej.

– Och, możesz mi wierzyć, kocham. Dziś w nocy i jutro rano pokażę ci nawet jak bardzo.

– Ale będziemy jutro spać, Panie Pobudka Punkt Piąta – odpowiada z naciskiem.

Uśmiecham się.

– Cóż, będziemy w łóżku... ale chyba nie będziemy spać.

Chelsea opiera policzek na mojej piersi.

– Brzmi idealnie.

*Prawda?*

Nie chcę się chwalić, ale ostatnio wszystko w moim życiu wydaje się idealne, ponieważ... takie właśnie jest.





# PODZIĘKOWANIA

Nigdy nie uprawiałam gimnastyki artystycznej, ale zawsze uwielbiałam oglądać ten sport. Sposób w jaki gimnastycy wyskakują w górę, panując nad prawem grawitacji, sprawia, że wydaje się to proste. Wszystkie te ćwiczenia wyglądają tak niesamowicie – jednak raz na jakiś czas któreś się wyróżnia.

Jest niesamowite. Czyste. Nie ma zachwiania, poprawek, upadku. To praktycznie idealnie wykonany układ, gdy zawodnik zawsze stabilnie ląduje na macie.

Tak właśnie czułam się kończąc pisać *Skazanie*. Jakbym dwoma nogami stanęła na ziemi. Pewnie. Niezachwianie.

Zatrzymując się stabilnie.

Koniec książki nie zawsze się taki wydaje. Kocham wszystkie moje historie, nie mam co do tego wątpliwości, jednak często mam dylemat, czy spodobają się one czytelnikom. Czy fabuła nie jest zbyt naciągana? Czy opowieść jest wystarczająco zabawna, czy też upojna? Czy akcja jest spójna? Czy będziecie rozczarowani? Czy będziecie chcieli wykastrować głównego bohatera (co mi się często zdarza :))?

Po korekcie i poprawkach, po powtórnej korekcie i ponownych poprawkach, te wątpliwości nieco się rozmywają – przynajmniej do dnia premiery. Jednak przy tej książce od początku czułam się inaczej. Historia Jake'a i Chelsea jest głęboka i przejmująca, mocno chwyta za serce, jednocześnie pozostaje zabawna. Ich pasja, nadzieje i obawy, smutek i radość były niesamowitym doświadczeniem – nie pamiętam, żebym była kiedykolwiek bardziej podekscytowana, mogąc podzielić się tekstem z czytelnikami.

Każdy, kto mnie zna, może powiedzieć, że nie jestem nazbyt pewną siebie osobą. Właściwie, trochę się martwię, że przelewanie tych myśli na papier okaże się za bardzo śmiałe (Drew Evans z dezaprobatą kręci głową). Naprawdę nie chodzi mi o jakieś chwalenie się. Chyba staram się wam przekazać, że dla mnie *Skazanie* jest szczególną książką. Historią, po której człowiek ma kaca i myśli o szczęśliwym zakończeniu.

A co ważniejsze, mam nadzieję, że taką właśnie szczególną książką jest też dla was.

Pisarze nie są jednak w stanie w pojedynkę wydać dobrej historii, ja również nie mogłabym tego zrobić bez niesamowitego zespołu ludzi, który mi pomagał.

Dziękuję agentce, Amy Tannenbaum z Jane Rotrosen Agency – za każdą radę, każdy telefon, każdy e-mail (nawet w weekendy). „Jesteś cudowna”, w ogóle nie oddaje tego, co czuję!

Dziękuję mojej redaktorce, Micki Nuding – praca z Tobą jest wszystkim, o czym mogłam marzyć, odkąd pomyślałam o zawodowym pisaniu. Nieustannie zadziwia mnie to, jak dogłębnie rozumiesz moje postacie. Czuję się niesamowicie bezpiecznie, wiedząc, że wyłapiesz wszelakie potknięcia i ukształtujesz moją historię, żeby była najlepsza. Dziękuję, że pomagasz mi sięgać coraz wyżej i rozwijać moje pisarskie

skrzydła!

Jestem niezmiernie wdzięczna moim promotorkom, Ninie Bocci z Bocci PR jak i Kristin Dwyer (mojemu księżycowi i gwiazdeczkom) z Simon& Schuster za wiarę we mnie, za słowa, które zostały wypowiedziane we właściwym czasie i za niestrudzoną pracę, żeby ta historia trafiła do ludzi. Rządzicie!

Dziękuję autorce Katy Evans – kocham Cię! Wiele znaczą dla mnie nasze pogaduchy, dziękuję, że mnie wspierasz, podpowiadasz to czy owo i dajesz znać, że nie jestem sama :).

Dziękuję Christinie Lauren, Alice Clayton i wszystkim przyjaciółom-autorom – wasze wsparcie, zachęta i śmiech są pięknym podarunkiem, który codziennie doceniam.

Dziękuję również mojej asystentce Juliet Fowler za przypomnienie, kiedy często o czymś zapominam i za bezbłędną pracę, żebym mogła skupić się na pisaniu! Zginęłabym bez Ciebie!

Gorące podziękowania dla Molly O'Brien, ponieważ pilnujesz, żeby nic się nie rozpadło, gdy ja siedzę zamknięta w gabinecie z moimi postaciami! Buziaki.

Podziękowania dla Simone Renou z In My Dreams Design oraz Hang Le z By Hang Le Graphic Design za talent włożony w piękne grafiki do promocji!

Dziękuję również córce za pomoc przy dialogach z udziałem nastolatków – nie ma mowy, żeby wyszły tak fajnie, gdybym tworzyła je sama.

Dziękuję Fener Deonarine za pomoc z tymi trudnymi prawniczymi rzeczami.

Dziękuję wszystkim w Gallery Books, wliczając w to Marłę Daniels, Sarah Leiberman, Liz Psaltis i Paula O'Hallorana, dziękuję grafikom za piękne okładki oraz moim niesamowitym wydawcom: Jennifer Bergstrom i Louise Burke.

Dziękuję fantastycznym blogerom, którzy poświęcają swój czas, żeby przeczytać i napisać tak wiele zabawnych i szczerych recenzji – dziękuję, że wspieracie tę nową serię i za to, że dajecie znać czytelnikom, iż mają sięgnąć po te historie!

Dziękuję czytelnikom – nie ma wystarczającej ilości słów, żeby wyrazić moją wdzięczność. Bardzo mi miło rozmawiać z Wami na Twitterze i Facebooku, śmiać się z Wami przy podpisywaniu książek, rozmawiać o historiach i książkowych chłopakach – bardzo Wam dziękuję za entuzjazm i pozytywną energię!

Dziękuję rodzicom, bratu i siostrze oraz całej rodzinie – za cierpliwość, miłość i nieustanne wsparcie przy mojej pracy. Dziękuję mojemu wspaniałemu mężowi i dwójce ukochanych dzieci – jesteście moją inspiracją, moim światem.



# Emma Chase

## seria *Tangled*



**SEKSOWNA, ZABAWNA,  
BŁYSKOTLIWA... GENIALNA!**

Zaplątani

---

Zakręceni

---

Zniewoleni

---

Związani

**FILIA**







# SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

EPILOG

# PODZIĘKOWANIA

Reklama

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: Sustained

Copyright © 2015 by Emma Chase

Copyright for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo FILIA

Gallery Books  
An Imprint of Simon & Schuster, Inc.  
1230 Avenue of the Americas  
New York, NY 10020

First Gallery Books trade paperback edition April 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Olga Reszelska  
Zdjęcie na okładce: © Tony Watson/Arcangel

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-173-6

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl